MOC CZYTANIA | Drony i my: broń się przed lękiem ▪ Późne rodzicielstwo
Komu komunia nie na rękę ▪ Nauka i mity o rasach ▪ Korea kreuje trendy

Kraków 17 – 23 września 2025 nr 38 (3976) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Tomasz Kot: Dorosłe życie grzecznego chłopca

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl a8e0c41eb7

rampa
50 LAT
TEATR NA
TARGÓWKU

ZŁY

WARSZAWSKA JAZZ OPERA

NA PODSTAWIE POWIEŚCI „ZŁY" I „DZIENNIKA 1954" LEOPOLDA TYRMANDA
SCENARIUSZ - MICHAŁ WALCZAK / REŻYSERIA - JERZY JAN POŁOŃSKI
PREMIERA 26-09-2025

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

PATRONI MEDIALNI:
tokfm · Jazzpress · jazz forum · SKARPA · showify · TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNERZY:
kicket | PGE

AKS ZŁY

REKLAMA

Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl, Biuro Obsługi Widzów i Kasa tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004, Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com

KS. ADAM

Boniecki: *Zmiany są dobre*

Jezus nie opracował formularzy mszy świętej, nie powiedział nic o kanonizacji, nie ustanowił prałatów ani, ściśle biorąc, księży, nie określił zasad wyboru następców Piotra, nie mówiąc o stroju hierarchów. Słowem, to ludzie poustanawiali różne rzeczy w Kościele, a innym nadali odpowiednie do aktualnych potrzeb formy. Gdy ten dorobek się zmienia, czasem jesteśmy zachwyceni, czasem wściekli. Nie zawsze łatwo odróżnić, co jest dziedziczeniem wiary, co zaś dziedziczeniem nawyków kulturowych lub ludzkich słabości.

Oczywiście zmiany form, nawet daleko idące, są niezbędne, łatwo bowiem pozostają z nich tylko niewiele mówiące rutyny. Czasami też stare formy zanikają i rodzą się nowe, adekwatne do mentalności, kultury. Mówiąc krótko, nawet w sferze tak, wydawałoby się, oderwanej od spraw ziemskich, człowiek pozostaje zmienny, i coraz to inaczej goni za współczesnością. Towarzyszy temu typowe dla nas, ludzi, zjawisko, że na starość, kiedy już w jakimś stopniu jesteśmy zanurzeni w jutrze, jednocześnie to stare formy, nawet nie zawsze dobrze zrozumiane, są nam bliższe. Tymczasem to, co dla nas było nowością i świeżością, dla innych jest czymś oczywistym i starym.

Wiele zależy od środowiska. We Francji czy innych krajach komunia przyjmowana nie od ust, lecz podawana na rękę, jest czymś całkowicie zwyczajnym, podczas gdy u nas wciąż pozostaje wyjątkowa. Wkładanie komunii do ust może być wtedy szokiem, czymś całkowicie obcym, niepojętym, wręcz odrażającym dla tych, którzy do tego nie przywykli, bo się z tym po prostu nigdy nie spotkali. Jak wychowana w Irlandii ośmioletnia córka naszej Czytelniczki, o której przypadku pisze Artur Sporniak w dziale Wiara: księża w Małopolsce trzy razy odmówili jej podania komunii na rękę, co skończyło się łzami w kościele. „Kilku księży swoim widzimisię zniszczyło w niej radość przyjmowania Pana Jezusa" – napisała do nas jej matka.

W Polsce, choć komunia na rękę w zasadzie się przyjęła, nie można powiedzieć, że przyjęła się powszechnie. Wciąż są księża, którzy w imię czci dla Jezusa w Eucharystii nie godzą się jej podawać w ten sposób i nie ma sposobu, by ich przekonać. Nie potrafię zrozumieć wynikającej z rozumu czy wiary racji tego sprzeciwu, ale wiem, że spory na nic się tu nie zdadzą. Wiem też, że samo życie, wymiana pokoleń duchownych sprawi, że problem wkrótce zniknie. Tak zresztą już wielokrotnie było – kiedy patrzymy na Kościół sprzed kilku wieków, przecieramy oczy. A co by było, gdybyśmy zobaczyli Kościół w wieku dwudziestym czwartym?

Musimy się zdecydować, czy chcemy wiarę traktować poważnie. Jeśli tak, to czekają nas (niekoniecznie dosłownie nas, choć kto wie...) trudne doświadczenia. Jakaś epoka dobiega końca, jakaś się zaczyna. Granice epok odkrywano zwykle *post factum*, więc i tę nową epokę chrześcijaństwa, z właściwszym rozumieniem wiary, dostrzeżemy po czasie. Tymczasem potrzebna jest roztropność, bo w zamęcie naszych czasów łatwo dać się nabrać. Czytajmy Ewangelię, czytajmy mądrych autorów i nie spieszmy się z określaniem siebie, swojej wiary. Obok naszych własnych kombinacji jest na niebie (i w nas) Bóg. Nie będę się z nikim bił o to, „czy jest, czy nie ma", ale będę słuchał w ciszy. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP ZA TYDZIEN WŁOCZYKIJ KULTURALNY NA JESIEŃ

PREMIERY TEATRALNE – sprawdź, jakie spektakle w najbliższym czasie pojawią się na polskich scenach i dlaczego warto je zobaczyć.

WYSTAWY W MUZEACH I GALERIACH – od klasyki po sztukę współczesną. Podpowiadamy, gdzie czekają wyjątkowe ekspozycje.

KULTURALNY PRZEWODNIK – inspiracje dla tych, którzy chcą odkrywać sztukę w różnych odsłonach i być na bieżąco z tym, co dzieje się w kulturze.

Między dwiema emocjami wędrowały moje myśli, kiedy w piątkowy wieczór kończyliśmy pracę nad tym wydaniem „Tygodnika". Pierwszą wgrała mi do głowy **ANNA GOC** za sprawą wywiadu z **TOMASZEM KOTEM**. W rozmowie padają tytuły kilku sztuk teatralnych, ale Kot opowiada w gruncie rzeczy o sztuce znacznie trudniejszej, której uczył się latami i chyba jeszcze nie do końca ją opanował. „Wstać rano, zrobić przedziałek i odpieprzyć się od siebie" – mówi o niej słowami Wiktora Osiatyńskiego.

To nie tylko kwestia dystansu do siebie. To też umiejętność stawiania przed sobą celów, które naprawdę warto osiągnąć. Unikania zwycięstw, których nie trzeba odnosić ani nad sobą, ani nad innymi. Ale także konsekwencji w zmierzaniu do upragnionego celu, gdy wszystko i wszyscy dokoła mówią, żeby już odpuścić.

Do lektury tego wywiadu przeszedłem po pracy nad tekstem, który również buzuje od emocji, tyle że innego zupełnie rodzaju. **MONIKA BIAŁKOWSKA** opisuje w nim nieznaną szerzej dynamikę relacji polskich duchownych, wypalonych przez podejrzliwość i codzienne gesty drobnych, ale odczuwalnych złośliwości. Księża mówiący o sobie językiem wspólnoty i jednocześnie niszczący ją od wewnątrz wskutek uwikłania w niezdrowo pojmowaną hierarchiczność i brak szacunku dla kolegów. Nie znajdziecie w tym tekście zbyt wielu przykładów – jakby autorka, znająca w końcu polski Kościół od podszewki, z premedytacją unikała epatowania szczegółami – ale z jednym obrazkiem trudno się szybko rozstać. Wikary śpiący w aucie przed kościołem, bo proboszcz złośliwie zamknął mu drzwi przed nosem.

Ksiądz ma być twardy – pisze Białkowska, choć to nie jej postulat, lecz przywołanie jednego punktu ze zbioru kościelnych metod tzw. formacji kleryków. Księża sami zaczynają dostrzegać, że to droga donikąd, i organizują w niektórych diecezjach nieformalne grupy wsparcia, które mają pomóc dotkniętym efektami kościelnego zimnego chowu. Oni też chcą wstać rano i zrobić symboliczny przedziałek między sobą a instytucją, której częścią się stali. ©℗

MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TEMAT TYGODNIKA

12 W swoim czasie
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Średnia wieku Polki rodzącej pierwsze dziecko wynosi obecnie 29 lat – o sześć więcej niż w latach 90. Późne rodzicielstwo staje się w Polsce normą.

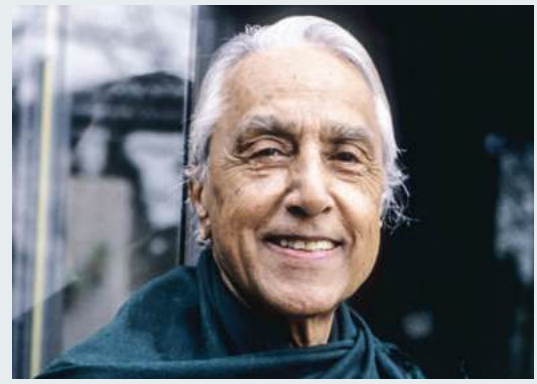

49 Dobra nowina z Varanasi
MACIEJ BIELAWSKI
przybliża postać Raimona Panikkara, który inspiracji dla chrześcijaństwa szukał w hinduizmie.

72 W co gra Korea
DOMINIKA CHYBOWSKA-JANG
Popularność K-popu to tylko jeden z wielu przejawów rosnącego wpływu kultury Korei Południowej na globalną popkulturę.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // BASSO CANNARSA / OPALE / LEEMAGE / EAST NEWS // MATERIAŁY PRASOWE WARNER MUSIC

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Słodko-gorzki smak kryzysu
OLAF OSICA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Dolina obolałych serc
JULIUSZ PIELICHOWSKI
Rok temu przez Kotlinę Kłodzką przeszła wielka powódź. Wielu mieszkańców regionu to wspomnienie budzi nadal w nocy

21 Matki gorszego sortu
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Szpitale powiatowe jeden po drugim pozbywają się oddziałów ginekologiczno-położniczych

25 Gra pozorów
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ:
O co chodzi w nagłym otwarciu USA na Białoruś?

■ ■ ŚWIAT

28 Uratowana pamięć o zamordowanym sztetlu
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Historia tego litewskiego projektu – jednego z najciekawszych nowych muzeów Europy – przypomina baśń

32 Paryski klincz
SZYMON ŁUCYK *analizuje najnowszą odsłonę francuskiego kryzysu politycznego*

35 Wywiad z wampirem
ANTONINA PALARCZYK
z charkowskiego centrum rehabilitacji nietoperzy

■ ■ WIARA

44 Kościelna złośliwość
MONIKA BIAŁKOWSKA:
Relacje księży naznaczone są nieżyczliwością, mikroagresją i podejrzliwością

47 Komu to nie na rękę
ARTUR SPORNIAK
o kontrowersjach wokół komunii na rękę

ROZMOWA TYGODNIKA

AGNIESZKA KOT

40 Kolejny level życia
Od samego początku, od momentu wejścia na scenę, nie wchodzisz na nią, tylko w pewnym sensie z niej znikasz.
ANNA GOC *rozmawia z aktorem* TOMASZEM KOTEM

■ STRONY SPECJALNE ■

38 ŚLADAMI MARCINA LUTRA – LUTHERLAND

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **53** ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
TOMASZ KOT
FOT. AGNIESZKA KOT

49 Dobra nowina z Varanasi
MACIEJ BIELAWSKI

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Dałbym się za niego zarżnąć
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI:
Zenon Ciemniejewski był jednym z najcenniejszych agentów Gestapo w Wielkopolsce. Po wojnie ślad po nim zaginął

■ ■ NAUKA

58 Rasy nie istnieją
ŁUKASZ KWIATEK:
Co współczesna nauka mówi nam o rasach ludzkich?

■ ■ KULTURA

64 Madame Warszawa
JAN TOPOLSKI:
Opera ma mitotwórczą moc. Dzieje odbudowy Warszawy potrzebują jej szczególnie

68 Moment zagapienia
MARCIN TUSIŃSKI
w ramach „Projektu Pracownia" zagląda do warsztatu artystycznego Marcina Mroczkowskiego

72 W co gra Korea
DOMINIKA CHYBOWSKA-JANG

74 Ostatni rave
ANITA PIOTROWSKA
zaprasza na film „Sirât" Ólivera Laxe'a

75 Budowanie tratwy
LEKTOR *o „Tratwie z pomarańczami" Macieja Hena*

■ ■ PSYCHE

78 Chroń głowę
ROZMOWA Z PAULINĄ PIASECKĄ, EKSPERTKĄ DS. BEZPIECZEŃSTWA, *o sposobach zachowania odporności na zagrożenia nie tylko realne*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

SŁODKO-GORZKI SMAK KRYZYSU

Dwadzieścia dronów, które Rosja wysłała nad Polskę, to początek nowej ery w polityce bezpieczeństwa w naszej części Europy.

OLAF OSICA

POWYŻEJ:
Prezydent Karol Nawrocki na spotkaniu z polskimi pilotami F-16 i pilotami państw sojuszniczych NATO, którzy brali udział w akcji obrony terytorium Polski w nocnym ataku 19 rosyjskich dronów 10 września. Lotnisko Krzesiny k/Poznania, 11 września 2025 r.

A tak, agresja, wtargnięcie? W każdym z tych słów zawiera się element opisu tego, co zdarzyło się 10 września, gdy ok. 20 rosyjskich dronów naruszyło przestrzeń powietrzną Polski, wymuszając czasowe zamknięcie lotnisk cywilnych w Warszawie, Modlinie, Lublinie i Rzeszowie. Rosja testowała nie tylko reakcje polityczne w Polsce i za granicą, ale też sojusznicze procedury i zdolności wojskowe. Jakie wyciągnęła wnioski? Tego nie wiemy.

Przebieg wydarzeń – od operacji NATO na polskim niebie i zestrzelenia największych (zapewne uzbrojonych) dronów, przez zwołanie przez Polskę konsultacji w ramach art. 4 Traktatu NATO, po specjalną sesję Rady Bezpieczeństwa ONZ – pozwala jednak na nutę optymizmu: zarówno nasi rządzący, jak i sojusznicy nie wyszli z tego starcia przegrani. Mimo to lekcje, które płyną z ostatnich dni, powinny stać się początkiem głębokich zmian w myśleniu o naszym podejściu do bezpieczeństwa.

KWESTIA ZANIECHANIA | Po pierwsze, trwająca modernizacja sprzętowa sił zbrojnych w niewystarczającym stopniu uwzględniła dotąd (a zdaniem wielu pominęła) doświadczenia z pola walki w Ukrainie. Kupujemy ogromne ilości bardzo drogiego sprzętu (część z niego wejdzie efektywnie do służby za kilka lat), a jesteśmy nieprzygotowani na atak „tu i teraz" relatywnie prostym i tanim uzbrojeniem, które można szybko produkować, jakim są drony.

Bez realnego przyspieszenia zamówień i produkcji, uelastycznienia procedur i szybkiego reagowania na zmiany, których poligonem jest Ukraina, nie stworzymy efektywnej zdolności do reagowania na rosyjskie zagrożenie.

KWESTIA GOTOWOŚCI | Po drugie, w sytuacji testowania przez Rosję działań na progu art. 5 Traktatu NATO (z pomocą różnych metod i środków) musimy mieć świadomość, że nie istnieje idealny system – jakaś „tarcza", która da nam stuprocentową pewność, że nic i nikt się nie prześlizgnie. To niby oczywiste, ale przez dekady stabilności i rozwoju, których nie podważyła nawet wojna w Ukrainie, staliśmy się społeczeństwem o małej tolerancji na ryzyko geopolityczne. Oczekujemy od państwa

spokoju i trzymania nas z dala od problemów świata.

Tego jednak nie da się już utrzymać. Musimy być gotowi zarówno na śmielsze wejście do gry o pokój w Ukrainie, jak też na straty wynikające z rosyjskich prowokacji.

Po trzecie, nasi europejscy sojusznicy, jak i NATO jako organizacja, pokazali solidarność i sprawczość. Holandia, Dania, Szwecja, Niemcy, Włochy i Czechy zadeklarowały też wsparcie w sprzęcie i ludziach dla Polski i państw bałtyckich. Sojusz uruchomił operację „Wschodni Strażnik", by wzmocnić siły na wschodniej flance.

SHOW TRUMPA | Na tym tle reakcja prezydenta USA jest po prostu złym prognostykiem. Przez wiele godzin nie było komunikatu Białego Domu. Potem ukazał się dziwny wpis: „O co chodzi z tym, że Rosja narusza polską przestrzeń powietrzną dronami? No to zaczynamy!". Następnie Trump odbył rozmowę z prezydentem Nawrockim, która nie przyniosła żadnych decyzji. Na koniec, gdy wszyscy zainteresowani w Polsce i Europie zgodzili się, że akcja Rosji była działaniem świadomym, Trump napisał, że „mogła być to pomyłka".

Ostatnim aktem politycznego show w wykonaniu Trumpa było ogłoszenie, że jest gotów nałożyć sankcje na reżim Putina „kiedy wszystkie państwa NATO zgodzą się i zaczną robić to samo, i kiedy wszystkie państwa NATO przestaną kupować ropę z Rosji".

To żądanie samo w sobie jest sensowne (i trzeba je wymuszać na tych sojusznikach, którzy nie widzą w tym problemu). Ale czy to oznacza, że Rosja nie zapłaci żadnej ceny za wtargnięcie w polską (czyli sojuszniczą) przestrzeń, bo rosyjska ropa jest wciąż w obrocie globalnym?

TRUMP-VERSTEHER | Temu ultimatum Trumpa towarzyszy zapowiedź zerwania przez Stany umów podpisanych w 2024 r. (także przez Polskę), które dotyczą wypracowania jednolitego podejścia do identyfikowania i ujawniania dezinformacji. A także zapowiedź zniesienia części amerykańskich sankcji na białoruskie linie lotnicze – co jest nie tylko politycznym wzmocnieniem Łukaszenki, ale i potencjalnym otwarciem okna dla rosyjskiego sektora awiacji, który zyskałby dostęp do części zamiennych.

Oba te działania USA są w najlepszym razie nieprzemyślane, a w najgorszym jawnie ignorują interes bezpieczeństwa Polski. Są bowiem zachętą dla Rosji, aby kontynuowała wojnę i testowała spójność Sojuszu na wschodniej flance.

Być może jest tak, jak przekonywał w sobotnim wywiadzie dla radia RMF były prezydent Andrzej Duda, że nie należy przywiązywać wielkiej wagi do wypowiedzi Trumpa, które są bardzo często „nawet i mylące dla jego przeciwników".

Ale równie dobrze może być tak, że konfuzja słowami i działaniem Białego Domu jest w Polsce tak duża, że mamy nad Wisłą rosnącą rzeszę Trump-Versteher. Ludzi, którzy – tak jak kiedyś Niemcy wobec Rosji – na przekór zdrowemu rozsądkowi będą bronić jego polityki bez względu na konsekwencje.

WNIOSEK KAGANA | 10 września ma zatem dla Polski słodko-gorzki smak. Z jednej strony całe NATO, w tym dyplomacja USA i amerykańscy dowodzący, udzieliło nam wsparcia. Z drugiej strony prezydent USA zrobił wiele, aby siłę tego komunikatu zrelatywizować i osłabić.

Robert Kagan – nestor amerykańskich politologów i autor ważnych książek (jak „Potęga i Raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata") – pisze:

„To, że Trump nie robił nic w odpowiedzi na ciągłe ataki na cele cywilne w Ukrainie, to jedno. Jeśli nie zrobi nic w odpowiedzi na rosyjski atak na Polskę, Europejczycy będą musieli przestać się oszukiwać i zmierzyć się z faktem, że Amerykanie tak naprawdę nie są dla nich oparciem".

Trudno się z tym nie zgodzić. ©

Tekst ukończono 14 września.

Jak reagować na rosyjskie prowokacje – czytaj też na s. 78

Czwarta jesień

WOJCIECH PIĘCIAK

Ostrzeżenie przyszło z nagła. Najpierw jedno, potem kolejne, wreszcie każde auto jadące z przeciwka mrugało alarmująco światłami. Dojeżdżaliśmy do rogatek Sambora, powiatowego miasta na ziemi lwowskiej. Od południa jest tu jeden wjazd: przez żelazny most na Dniestrze.

Jechaliśmy furgonetką na polskich numerach. Był to kolejny, od grudnia 2024 r. szósty już transport z pomocą na Ukrainę, zorganizowany dzięki czytelnikom „Tygodnika" i Inicjatywie Sąsiedzkiej (o bilansie naszej akcji napiszemy wkrótce). Lecz kierowcy i tak mrugali.

Nie chodziło o kontrolę prędkości. Wjazd na most blokowali mundurowi. Sprawdzali mężczyzn, ich stosunek do służby. Nie, nie byliśmy świadkami scen z nagrań, których pełna jest dziś ukraińska sieć: jak to wojskowi z komend uzupełnień łowią „uchylanta", by z miejsca zabrać go na komisję lekarską, a stąd do jednostki. „Ludokradcy" – tak są nazywani dość powszechnie.

Gdyby zapytać kierowców, którzy nas ostrzegali, pewnie każdy zapewniłby, że jest patriotą, i że trzeba stawiać opór Rosji, mimo ogromu ofiar. Sprzeczność? Bez wątpienia. U progu czwartej jesieni wielkiej wojny społeczeństwo Ukrainy pełne jest sprzeczności. Każdy chce żyć. W sieci krążą wieści, ile trzeba zapłacić, by zejść z ewidencji. Albo – kolejny paradoks – by trafić do lepszej jednostki, a nie takiej, gdzie „kombat" szafuje życiem ludzi. Chyba że ktoś sam się zgłosi, wtedy może wybrać.

Jednak ochotników jest niewielu. Zdaje się, że głównie są to najmłodsi: ci, co osiągnęli 18 lat i chcą iść śladem ojca czy starszego brata. Poza tym: kto miał się zgłosić, już to uczynił.

Ukraińskie rezerwy ludzkie „szorują po dnie", najbardziej w piechocie.

Stąd przesunięcia. Artur, syn Wasyla, naszego współpracownika (imiona zmienione), dostał rozkaz. Choć jest szkolonym specjalistą, jego brygada przeciwlotnicza ma wystawić zbiorczy oddział – posiłki na „zerówkę". Padło i na niego. Wasyl przyłapał się na myśli: czy powinien prosić, by zostawili syna, gdzie jest? Jedynego syna. Artur skrócił dylemat: „Tato, pójdę". Rodzice kupili mu więc hełm, lepszy niż ten z fasunku. My przywieźliśmy filtry do wody, kamelbak, rękawice, maści przeciwbólowe i antygrzybicze. Oraz agregat dla jego nowego oddziału.

Mają poczucie, że innej opcji nie ma. Że jeśli przestaną stawiać opór, stracą wszystko. Świadomość braku alternatywy to też motywacja. U progu czwartej jesieni wojna o istnienie Ukrainy trwa. Bez perspektyw na rychły koniec. ©℗

MAREK LAPIS / FORUM

Rozpalony region

MAREK KĘSKRAWIEC

Katar przeżywa w ostatnich dniach potężny kryzys. Malutki kraj, który gości na swym terytorium potężną bazę USA, liczącą 8 tys. żołnierzy i dziesiątki samolotów, jeszcze niedawno wydawał się nie do ruszenia, na dodatek pełnił w regionie specyficzną rolę. Sprawni dyplomaci emira Hamada Al-Thaniego negocjowali bezpieczną ewakuację Amerykanów z Afganistanu, w Katarze odbywały się też liczne rozmowy USA z Iranem, Rosji z Ukrainą (tajne), a przede wszystkim: Izraela z Hamasem.

Rola brokera tego ostatniego porozumienia właśnie się skończyła – 9 września izraelska rakieta trafiła w hotel w Dosze, w którym negocjatorzy Hamasu debatowali nad warunkami rozejmu. Atak na palestyńską wierchuszkę się nie powiódł, ale i tak wywołał ogromną konsternację. Nie tylko u wściekłych Katarczyków (zginęli w większości przypadkowi ludzie i niżsi rangą hamasowcy), ale też u Donalda Trumpa, który miał zapewnić emira, iż taki zamach więcej się nie powtórzy. Tyle że już następnego dnia Beniamin Netanjahu zażądał od Katarczyków wydania wszystkich członków Hamasu. Jeśli tego nie uczynią, Izrael weźmie sprawy w swoje ręce.

Według doniesień mediów Trump miał być rozwścieczony postawą premiera Izraela i przeprowadził z nim ostrą rozmowę. Prezydenta USA frustruje, że w czasie napięć w relacjach z Rosją i Chinami musi nieustannie zajmować się człowiekiem wywołującym kolejne ogromne kryzysy. Nie dość, że Stany mają coraz większy problem z żyrowaniem działań Izraela w Strefie Gazy, które prawie cały zachodni świat uważa co najmniej za zbrodnie wojenne, to jeszcze Netanjahu wepchnął USA w wojnę dwunastodniową z Iranem. Teraz zaś rozważa oficjalną aneksję Zachodniego Brzegu, co może rozpalić cały region.

Płomień już się tli. Władze w Kairze ostrzegły, że nie zgodzą się na wysiedlenie 2 mln Palestyńczyków (wielu z nich zapewne próbowałoby przedostać się do Egiptu), po czym wysłały na Synaj 40 tys. żołnierzy i zaproponowały państwom arabskim sojusz na wzór NATO. Druga regionalna potęga, Turcja, od tygodni zaangażowana jest w wymianę coraz bardziej bezpośrednich gróźb z Izraelem. Żądzą zemsty na pewno kipi też Iran. Jeśli Trump nie powstrzyma Netanjahu, ta beczka prochu w końcu eksploduje. ©℗

Izraelski nalot na hotel w Dosze, w którym miała przebywać delegacja negocjatorów Hamasu. Doha, Katar, 9 września 2025 r.

JACQUELINE PENNEY / AFPTV / AFP / EAST NEWS

Powrót Sary

ANNA GOLUS

W pozornie spokojnej scenerii [...] dochodzi do prawdziwego starcia tytanów myśli. Z jednej strony redaktor Sara Małecka-Trzaskoś [...]. Z drugiej strony Grzegorz Braun" – czytamy w opisie wywiadu opublikowanego kilka dni temu na kanale „Perspektywa Sary" na YouTubie. Film nosi tytuł „PRZYGOTUJCIE SIĘ NA WSTRZĄS! Grzegorz Braun w najbardziej szczerym wywiadzie, jaki widzieliście", a prowadząca ma 12 lat.

O projekcie „Perspektywa Sary" i wówczas 10-letniej dziewczynce z niepełnosprawnościami – którą rodzice wykreowali na „najmłodszą dziennikarkę sejmową" i przekonywali, że praca w Sejmie to forma terapii – zrobiło się głośno w lipcu zeszłego roku, gdy Jarosław Kaczyński odmówił (kolejnej) rozmowy z nią. Po naszym tekście „Perspektywa Sary" („TP" 32/2024) Kancelaria Sejmu przestała wydawać dziecku akredytację prasową.

Rodzice nie zrezygnowali jednak z projektu – nadal publikują filmy nagrane w zeszłym roku w parlamencie (niekiedy informując, że Sara wróciła do Sejmu, co jest nieprawdą) i walczą w sądzie administracyjnym o akredytację dla córki. Najnowsza rozmowa z Braunem to tzw. *rage bait* – materiał prowokujący (ang. *bait*) do wściekłości (*rage*), a co za tym idzie, do emocjonalnych reakcji, które zwiększają zasięgi w sieci.

Rodzice dziewczynki, Franciszek i Marzena Małeccy-Trzaskoś, muszą być świadomi, że wystawiają córkę na hejt.

Świadczy o tym m.in. fragment opisu: „Ten wywiad to materiał, który zmusi Cię do myślenia, wywoła skrajne emocje i na pewno nie pozwoli Ci zasnąć".

Choć komentarze na YouTubie są wyłączone, widać je na Instagramie i TikToku, gdzie rodzice Sary opublikowali fragmenty wywiadu. I na Facebooku, gdzie fragment zamieścił Braun. Nienawistnych komentarzy – także wymierzonych w dziewczynkę – nie da się zliczyć. Ani czytać.

„Prowadząca nie jest tylko tłem – jej reakcje, kiwanie głową i drążące pytania nadają tej rozmowie niesamowitą dynamikę" – czytamy w opisie, a na nagraniu widzimy próbę zrobienia z niepełnosprawnego dziecka dziennikarki w stylu Moniki Olejnik, „gotowej zadać każde, nawet najtrudniejsze pytanie". W zeszłym roku dziewczynka zadawała politykom pytania w stylu: „Co to jest manipulacja i czym się różni od propagandy?". Teraz pyta Brauna o osoby LGBT i komory gazowe.

Jakie jeszcze granice przekroczą rodzice dziewczynki, a także ocieplający się przy niej politycy, zanim ktoś im skutecznie powie „stop"? ©

NA PUNKTY

CUD W SEJMIE
Posłowie niemal jednogłośnie wybrali nowego prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Kandydaturę Mariusza Haładyja, dotychczasowego szefa Prokuratorii Generalnej, wcześniej wiceministra kilku resortów za czasów rządów PiS, poparło aż 421 posłów, 4 było przeciw, 6 się wstrzymało.

SPÓR W BIURZE
Zgodni w jednej sprawie, przedstawiciele klasy politycznej kłócą się w innych, np. Kancelaria Prezydenta twierdzi, że szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz ma dostęp do informacji niejawnych, a rzecznik Ministra Koordynatora Służb Specjalnych upiera się, że nie ma, szef dyplomacji Radosław Sikorski zaś niedyplomatycznie wzywa Cenckiewicza, by pokazał dyplom profesorski.

KRADZIEŻ W TRÓJMIEŚCIE
Służby specjalne w ogóle mają ostatnio mnóstwo na głowie: z informacji „Super Expressu" wynika, że musiały zdecydować o wzmocnieniu ochrony Donalda Tuska po tym, jak w Trójmieście skradziono samochód należący do rodziny szefa rządu.

Gniezno – laboratorium pokoju

DAWID GOSPODAREK

Na cztery dni Gniezno stało się laboratorium pokoju. Szukania pokojowych inspiracji w religijnych tradycjach, czego uczyły zakonnica, rabinka i muzułmanka. Modlitwy o pokój, prowadzonej przez greckokatolickich i prawosławnych duchownych. Ekumenicznego błogosławieństwa, o które prymas Polski prosił duchownych innych Kościołów. Świadectwa bp. Khairallaha z Libanu o tym, jak przebaczył mordercom swoich rodziców, i łez tłumaczki, przekładającej jego słowa. Obecności tych, którzy skandalicznie długo byli w Kościele i społeczeństwie wykluczani i krzywdzeni – osób nieheteronormatywnych i ofiar przemocy seksualnej ze strony duchownych. Głosu migrantów, osób doświadczających wojny w Ukrainie czy Palestynie. Warsztatów dających konkretne narzędzia do przeciwstawiania się polaryzacji, ideologiom, podziałom i przemocy.

„Doświadczenie jedności wzmacnia misję pokoju" – napisał w przesłaniu do uczestników patriarcha Konstantynopola Bartłomiej (na zdjęciu). XII Zjazd Gnieźnieński, pod hasłem „Odwaga pokoju. Chrześcijanie razem dla przyszłości Europy", był okazją do weryfikacji tych słów.

RADEK PIETRUSZKA / PAP

A opracowane metodą synodalną końcowe „Posłanie na rzecz trwałego pokoju" było nie tylko syntezą prac, ale przede wszystkim mocnym apelem o dialog i pojednanie w obliczu kryzysu: społecznego, politycznego, ekologicznego. Pokój jest osobistą decyzją – przypomniano. Dlatego jest zawsze dostępny.

Podobne inicjatywy bywają ulotne – pełne głębokich symboli i pięknych deklaracji, które nie zawsze przekładają się na codzienność rodzin, parafii, społeczności. Przesłanie Zjazdu może pozostać jedynie symbolicznym wyrzutem sumienia albo stać się impulsem do zmiany. Dlatego o spotkaniu w Gnieźnie mówiono jako o przystanku w drodze – do nabrania sił, by wędrówkę kontynuować, do zapraszania do niej innych, do umacniania pokoju w sobie. By rezonował na instytucje, systemy i rzeczywistość, którym „odwagi pokoju" wciąż brakuje. ©

Pyrrusowe zwycięstwo banków

MAREK RABIJ

Rzeczniczka generalna TSUE Laila Medina wydała opinię w sprawie kredytów o zmiennym oprocentowaniu opartym na wskaźniku WIBOR. Przedstawiciele banków uważają to za swój sukces. W orzeczeniu istotnie czytamy, że w tego typu sprawach sąd nie może badać samej metody ustalania WIBOR-u.

Choć polskie banki stopniowo wycofują się już ze stosowania tego wskaźnika, to od lat konsekwentnie przekonują, że pod prawnym względem jest on bez zarzutu. Rzecz w tym, że opinia nie kończy się na wyłączeniu oceny WIBOR-u ze sfery kompetencji krajowych sądów. Rzeczniczka stwierdziła bowiem, że sąd musi też sprawdzić, czy zastosowanie zmiennej stopy oprocentowania opartej na tym wskaźniku nie powoduje znaczącej nierównowagi stron umowy ze szkodą dla konsumenta.

„Sposób, w jaki kredytodawca dostarcza te informacje – pośrednio albo bezpośrednio – musi powodować w rezultacie, że w pełni ujawnią one zastosowaną metodę i główne elementy powodujące wahania stawki wskaźnika i nie dadzą zniekształconego obrazu charakteru wskaźnika" – podkreśliła.

W praktyce rzeczniczka TSUE poparła więc najnowszą linię procesową polskich klientów banków, którzy przed krajowymi sądami coraz częściej podnoszą nie nielegalność samego WIBOR-u, lecz właśnie brak należytej staranności banków w informowaniu, jak działa ten wskaźnik i jaki wpływ jego wahania mogą mieć na wysokość zadłużenia oraz stawki miesięcznych rat.

W praktyce Laila Medina uchyliła więc posiadaczom kredytów złotowych drzwi do relatywnie prostego, choć jeszcze dalekiego do automatyzmu znanego z umów frankowych, unieważnienia ich zobowiązań bankowych.

Ostatnie zdanie w tej sprawie dopiero za kilka miesięcy powie Trybunał Sprawiedliwości UE, ale opinie rzecznika TSUE przygotowywane dla sędziów niemal zawsze pokrywają się z ich późniejszymi orzeczeniami. Oznacza to jedno. Polskie banki może czekać wstrząs, przy którym dobiegający już końca i sromotnie przegrany przez nie spór z frankowiczami będzie przypominać niewinną sprzeczkę. ©℗

Organy krzyżowców

MUZYKA SAKRALNA ▪ Milczały przez osiem wieków, teraz odzyskały głos. 9 września w jerozolimskim klasztorze Franciszkanów zaprezentowano najstarsze kościelne organy na świecie.

Instrument zbudowano w XI w. we Francji dla opactwa Fleury albo któregoś z podparyskich kościołów – w oparciu o dostępne dziś materiały źródłowe nie da się tego ustalić. Wiadomo natomiast, że sto lat później krzyżowcy przewieźli go do Ziemi Świętej, gdzie przez kolejny wiek używany był w betlejemskiej Bazylice Narodzenia Pańskiego. W czasie oblężenia Jerozolimy przez Turków chorezmijskich w 1244 r. organy ponownie zdemontowano, ułożono w skrzyniach i zakopano. Odnaleziono je przypadkowo w 1906 r. podczas budowy hospicjum dla pielgrzymów, zinwentaryzowano (skarb zawierał 222 piszczałki z brązu, karylion z 13 dzwonkami, a także inne przedmioty liturgiczne), po czym złożono na strychu muzeum archeologicznego przy Kościele Biczowania w Jerozolimie i zapomniano na kolejne sto lat.

Do rekonstrukcji organów przystąpiono dopiero w 2020 r., gdy znaleziskiem sprzed wieku zainteresował się David Catalunya, hiszpański muzykolog z Oksfordu. „Piszczałki zachowały się w niemal nienaruszonym stanie – mówił badacz podczas konferencji prasowej. – Widoczne są na nich nawet oznaczenia producenta, które dostarczyły nam bezcennych informacji na temat sposobu ich wykonania, dzięki czemu możliwe będzie wykonanie reprodukcji brakujących elementów". Oryginalny instrument tworzyło 360 piszczałek, po 18 na jeden ton (co pozwalało zwiększyć siłę głosu), wytwarzających dźwięki w zakresie dwu i pół oktawy. Można było na nich wykonywać jedynie utwory unisono i prawdopodobnie ze względu na tę „przestarzałą" konstrukcję zostały wywiezione do Ziemi Świętej (we Francji już w połowie XII w. pojawiły się nowoczesne instrumenty z dodatkowymi rzędami podwójnych oktaw).

„Organy Betlejemskie brzmią zupełnie inaczej niż współczesne" – mówił Catalunya, który podczas konferencji wykonał XI-wieczny utwór liturgiczny „Benedicamus Domino Flos Filius", z wykorzystaniem 6 odnowionych i 10 zrekonstruowanych piszczałek. „Wydobycie dźwięku zamkniętego przez 800 lat było jak otwarcie grobowca faraona – dodał. – Mimo upływu wieków wytwarzają zaskakująco pełny dźwięk, zdolny wypełnić nawet duże przestrzenie architektoniczne".

Odnowione organy będą wystawione w jerozolimskim Muzeum Sztuki i Historii Ziemi Świętej. Planowane jest również wykonanie kilku replik instrumentu, które trafią do Betlejem i najważniejszych ośrodków muzyki dawnej w Europie.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

David Catalunya i zrekonstruowane Organy Betlejemskie. Jerozolima, 9 września 2025 r.

MAHMOUD ILLEAN / AP PHOTO / EAST NEWS

60. edycja Wratislavia Cantans

MUZYKA ▪ Mimo istotnej ekspansji festiwalu na cały Dolny Śląsk, to właśnie Wrocław, a dokładniej sale Narodowego Forum Muzyki pozostają centrum muzycznych wydarzeń. Wratislavia Cantans, choć ma za sobą różne historyczne wahnięcia, potrafi utrzymać związek ze swą oratoryjno-kantatową genezą (przypomnijmy: festiwal powstał w czasie głębokiego PRL-u jako wyzwanie rzucone władzom), ale dyskusja nad miejscem koncertów wciąż trwa: świetna i pojemna sala NFM czy wrocławskie kościoły? Wciąż bowiem część słuchaczy tęskni do tego specjalnego nastroju koncertów w gotyckich wnętrzach i współdziałania muzyki z dziełami architektury.

Dla tęskniących do czasów, gdy kościoły były jedynym miejscem mogącym pomieścić Wratislavię, tegoroczny festiwal zaproponował perfekcyjny balans: spośród głównych, wieczornych koncertów pięć odbyło się w NFM, i tyleż samo w świątyniach miasta. Tym razem przede wszystkim – pozwolę sobie tu na osobistą ocenę – w najwybitniejszej budowli gotyckiej na ziemiach polskich, czyli założonym na planie krzyża greckiego, strzelistym, dwupoziomowym kościele Św. Krzyża.

Ponadto muzyka zabrzmiała w bazylice św. Marii Magdaleny (niegdyś była to baza festiwalu) oraz w przestronnej, halowej farze miejskiej – kościele św. Doroty. Architektura Wrocławia imponuje, ale jeśli chcemy naprawdę słuchać muzyki – powinniśmy jednak pozostać w NFM. Jedynym w pełni udanym koncertem we wnętrzu kościelnym była średniowieczna muzyka do tekstu „Pieśni nad pieśniami" w wykonaniu kameralnego bazylejskiego Ensemble Peregrina Agnieszki Budzińskiej-Bennett. Tu muzyka idealnie współgrała z ogromnym pogłosem gotyckiej świątyni, a odbicia dźwięku tylko dodawały czaru namiętnym, pojedynczym głosom.

NFM przynosiło olśnienie za olśnieniem: dość wspomnieć fenomenalne występy Marthy Argerich (mimo że był to ponownie słuchany „I Koncert" Beethovena – za to z dodatkiem dwóch bisów!) i Charlesa Dutoit (podobne dyrygowanie muzyką Ravela współcześnie jest po prostu nieosiągalne), Johna Eliota Gardinera z jego nowymi zespołami Constellation Choir and Orchestra, wciąż najlepszego dziś basa, René Papego, w może największej wagnerowskiej partii – Gurnemanza w „Parsifalu" (dyr. Robertas Šervenikas zamiast niedysponowanego Christopha Eschenbacha), albo też orkiestry Il Giardino Armonico pod dyr. Giovanniego Antoniniego, byłego już dyrektora festiwalu.

© JAKUB PUCHALSKI

NORADOA / ADOBE STOCK

Obwody czerwieni: jak mózgi przetwarzają kolory

NEURONAUKA ▪ Człowiek jest z natury dobry czy zły? Na czym polega fenomen życia? Dlaczego istnieje raczej coś niż nic? Czy twierdzenia matematyczne są odkrywane (ponieważ istnieją niezależnie od ludzi, którzy zgłębiają je swoim umysłem), czy konstruowane? Wśród pytań wywołujących niekończące się debaty filozofów znajdują się nie tylko te największego kalibru. Są wśród nich też pozornie błahe, takie jak: czy dwoje ludzi postrzega ten sam kolor dokładnie tak samo?

Pytanie to jest punktem wyjścia do debaty na temat subiektywnego przeżywania doświadczeń zmysłowych (te przeżycia – widzenie czerwonego koloru czy doświadczanie smaku truskawki – filozofowie nazywają qualiami). Stąd już tylko maleńki kroczek do problemu świadomości, która jest przecież strumieniem tego rodzaju przeżyć. Choć narzędzia, którymi dysponuje nauka, wydają się bezradne wobec subiektywnych doświadczeń, to jednak czasem zdarzają się naukowe eksperymenty, które pozwalają filozofom przynajmniej na dopisywanie kolejnych rozdziałów w swoich publikacjach. Jeden z takich eksperymentów opisali w „Journal of Neuroscience" Michael M. Bannert i Andreas Bartels z Uniwersytetu w Tybindze.

Badacze postanowili sprawdzić, w jaki sposób kora wzrokowa mózgu, zlokalizowana w płatach potylicznych, przetwarza informacje o różnych kolorach i czy mechanizm tego przetwarzania funkcjonuje identycznie u różnych ludzi. W tym celu przeskanowali mózgi 15 osób, którym wyświetlano kolorowe bodźce. Zebrane dane posłużyły do wytrenowania modelu sztucznej inteligencji, który następnie przetestowano na skanach mózgów kolejnych osób. Model miał odgadnąć, na podstawie wzorców aktywności mózgu, jaki kolor obserwowały osoby badane. Z zadaniem tym sobie poradził, co potwierdza, że mózgi różnych osób wykorzystują te same obwody neuronów do przetwarzania konkretnych kolorów.

Eksperyment nie rozstrzyga jeszcze ostatecznie, że doświadczamy tych samych kolorów tak samo – ale dostarcza poważnego argumentu za taką tezą.

Współczesna neuronauka postrzega mózg jako niezwykle skuteczną maszynę do uczenia się pod wpływem docierających do niego bodźców, a ten proces rozpoczyna się już w okresie płodowym (np. gdy idzie o przetwarzanie języka). Wiemy jednak, że mózg nie przypomina rozważanej przez nowożytnych filozofów „niezapisanej tablicy" i że nasza wiedza pochodzi nie tylko z doświadczenia. Przychodzimy na świat z zakodowanymi intuicjami dotyczącymi rzeczywistości (nawet praw fizyki), które psycholożka Elizabeth Spelke nazywa „wiedzą rdzenną", oraz z architekturą mózgu, która sprawia, że doświadczenia nie są przetwarzane chaotycznie, lecz w sposób zorganizowany, w wyspecjalizowanych obwodach. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

W SWOIM CZASIE

Rodzicielstwo od wieków było jednym z pierwszych wyznaczników dorosłości. Dziś decyzje o posiadaniu dzieci podejmowane są później i bardziej świadomie, ale niosą też nowe wyzwania. I dla rodziców, i dla dzieci.

TEKST: MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA | ILUSTRACJA: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Chwila przed pierwszym dzwonkiem, rodzice odprowadzają swoje pociechy do szkoły. Na tle tatusiów machających dzieciom na pożegnanie mocno wyróżnia się Adam. Jest wysoki i postawny, na nosie ma okulary, a jego siwe włosy przyciągają uwagę. Ma 51 lat, jego córka Tosia jest wesołą 9-latką. – Któregoś dnia, gdy przyprowadziłem ją do przedszkola, jedno z dzieci zapytało: „Dlaczego odprowadza cię dziadek?". Tosia wybuchnęła śmiechem i spokojnie wyjaśniła, że jestem jej tatą – wspomina Adam i dodaje, że nie ma z tym problemu. – Wiem, że nie wyglądam jak typowy ojciec małej dziewczynki. Tak potoczyło się życie – mówi. Tosia urodziła się, gdy miał 42 lata, została poczęta metodą *in vitro*. Jest oczkiem w głowie, wyczekanym i wytęsknionym dzieckiem.

Maj 2000 roku, zbliża się Dzień Matki. 8-letnia wówczas Małgosia przygotowuje w szkole laurkę z podobizną swojej mamy. Szybko orientuje się, że stworzony przez nią portret odbiega od tego, co widzi u koleżanek. – Ich mamy miały blond włosy, torebki i okulary przeciwsłoneczne, moja na ich tle wyglądała jak postać z innej epoki: książka, okrągłe okulary, naszyjnik z pereł. Wtedy zorientowałam się, że moi rodzice różnią się od rodziców moich rówieśników – wspomina. Jak przyznaje – nigdy nie czuła się z tego powodu inna, nie słyszała przykrych czy złośliwych komentarzy. – Raczej była to ciekawostka – opowiada. Dziś Małgosia ma 33 lata, a jej rodzice są po siedemdziesiątce. Dziewczyna jest ostatnim z trójki ich dzieci i żartuje, że jej narodziny były dla nich przysłowiową wisienką na torcie.

Rodzice 18-letniej Misi, która jest w klasie maturalnej, są po sześćdziesiątce. Mają dwójkę starszych dzieci, od 2 lat są szczęśliwymi dziadkami. – Szczerze mówiąc, nigdy specjalnie nie zastanawiałam się nad ich wiekiem – mówi nastolatka. Jej podejście zmieniło się, gdy poszła do liceum. Zorientowała się, że rodzice rówieśników są niewiele starsi od jej rodzeństwa. – Pamiętam, że wtedy wiek rodziców zaczął mnie trochę uwierać, bałam się oceny – tłumaczy. Po chwili przyznaje, że dziś to nie opinie znajomych zaprzątają jej głowę. Niepokoi ją to, że rodzice coraz częściej są zmęczeni, brakuje im sił. – Nie chce im się wychodzić ani wyjeżdżać, ich zdrowie się pogarsza. Moi rówieśnicy tego nie doświadczają – podsumowuje Misia.

Ula ma 42 lata, jest mamą 3-letniej Izy. Macierzyństwo ją uszczęśliwia, z dumą patrzy, jak córka odkrywa świat i staje się coraz bardziej rezolutna i samodzielna. Przyznaje jednak, że radość z upragnionego dziecka jest podszyta lękiem. – Gdy ona będzie w moim wieku, ja będę miała osiemdziesiąt lat, o ile dożyję – mówi. W swojej rodzinie kobieta obserwuje niemal bliźniaczą sytuację. Jej babcia ostatnie dziecko urodziła po czterdziestce. – Kiedy najmłodszy syn przyjeżdża do niej w odwiedziny, za każdym razem żegnają się tak, jakby to miał być ich ostatni raz. Myślę sobie czasami, że u mnie będzie podobnie.

Markery dorosłości

Prof. Katarzyna Suwada, socjolożka i wykładowczyni na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, zauważa, że na przestrzeni lat późne rodzicielstwo (za „późnych rodziców" uznaje się osoby, które na dziecko decydują się po 35. roku życia) przestało być w Polsce czymś niezwykłym. Stało się nową normą i wyraźnym trendem społecznym. Potwierdzają to dane GUS, według których w 2023 roku średnia wieku Polki rodzącej pierwsze dziecko wyniosła 29 lat – czyli o sześć lat więcej niż w latach 90. Podobne przesunięcie obserwuje się i w innych krajach wysoko rozwiniętych, gdzie średni wiek matki decydującej się na pierwsze dziecko zwykle przekracza 30 lat. Jak przekonuje prof. Suwada – w Polsce również będziemy obserwować to zjawisko.

Zdaniem psycholożki dr Beaty Rajby, późne rodzicielstwo jest trendem proporcjonalnym do wydłużania się życia (w Polsce według danych GUS statystyczny mężczyzna żyje prawie 75 lat, a statystyczna kobieta – 82 lata) i poprawy jego jakości. – Dłuższe i zdrowsze życie sprawia, że dłużej czujemy się młodzi. Wolniej też wchodzimy w dorosłość, a w konsekwencji później się starzejemy. To naturalne, że wiek decyzji o dziecku również się przesuwa – tłumaczy ekspertka. ↦

↦ Na pytanie o to, co stoi za zmianami w podejściu do posiadania dzieci, socjolożka odpowiada, że są one wypadkową wielu czynników społeczno-kulturowych. – W starszych pokoleniach ważne były markery dorosłości, czyli wydarzenia, które musiały zajść, by człowiek mógł być postrzegany lub by sam siebie uważał za osobę dorosłą – wyjaśnia prof. Suwada. Były nimi ukończenie edukacji, stała praca, wyprowadzka z domu rodzinnego, zawarcie związku małżeńskiego i wreszcie – rodzicielstwo. W przeszłości następowały one płynnie, jedno po drugim, w dość przewidywalnym porządku. Dziś ten schemat mocno się zaburzył.

– Coraz więcej osób idzie na studia, a to przekłada się na długość edukacji, którą dziś kończy się w wieku 25-26 lat – tłumaczy ekspertka i dodaje, że wyzwaniem jest też znalezienie stałej pracy, która będzie przynosiła wystarczające dochody. Badaczka zauważa również, że w grupie młodych dorosłych widoczny jest wysoki poziom niepewności ekonomicznej, a to – jak przekonuje – ma wpływ na zachwianie się kolejnego markera dorosłości, czyli opuszczenia domu rodzinnego. – Brak dostępu do sensownego rynku mieszkaniowego sprawia, że wielu młodych ludzi, często z powodu niestabilnego zatrudnienia, nie stać na kredyt. A trudno planować założenie rodziny bez własnego dachu nad głową, który dla wielu osób jest fundamentem poczucia bezpieczeństwa – uważa prof. Suwada.

Nie bez znaczenia w tym kontekście jest również fakt, że Polacy zmienili swoje podejście do związków małżeńskich i na przestrzeni ostatnich 30 lat coraz rzadziej się na nie decydują. – To, że rodzicielstwo mocno przesunęło się w czasie, jest pokłosiem zaburzenia czterech pierwszych markerów dorosłości. Dziś młodzi dorośli skupiają się na budowaniu stabilności i mówiąc kolokwialnie, chcą pożyć: podróżować, sprawdzić się w pracy, zbudować karierę – wyjaśnia socjolożka, która zwraca uwagę na to, że kulturowy scenariusz „najpierw stabilizacja, potem dzieci" nie ogranicza się już tylko do mieszkańców miast. – Badania CBOS dotyczące planów prokreacyjnych jasno wskazują, że młodzi ludzie ze wszystkich środowisk wymieniają dziś wykształcenie, stabilną pracę i mieszkanie jako warunki konieczne do posiadania dzieci – podsumowuje ekspertka.

Odwrócone priorytety

Obserwujemy także zmianę mentalności i priorytetów życiowych. Dla pokoleń powojennych rodzicielstwo było warunkiem bycia „pełnoprawnym dorosłym", dodatkowo w przeszłości rodzina stanowiła także nadrzędną wartość – dawała poczucie przynależności, bliskości i wspólnoty, była również swego rodzaju „gwarancją" opieki na starość. Dziś sprawy mają się inaczej – młodsze pokolenia, urodzone w latach 80. i 90., potrzeby, które w przeszłości zaspokajała rodzina, próbują realizować w inny sposób, a dziecko traktują jako wybór, a nie życiowy obowiązek. Opublikowany niedawno sondaż panelu badawczego Ariadna wskazuje, że coraz mniej milenialsów i przedstawicieli pokolenia Z ceni sobie spełnienie w roli rodzica. – Dziś bezdzietność czy późne rodzicielstwo nie wywołują społecznego zdziwienia. Po pierwsze zdajemy sobie sprawę z tego, jakie czynniki wpływają na opóźnienie decyzji o dziecku. Po drugie mamy też większą świadomość tego, że wiele par zmaga się z niepłodnością i że dla wielu osób zostanie rodzicem jest wynikiem wieloletniej walki – wyjaśnia prof. Suwada.

42-letnia Ula przyznaje, że na dziecko zdecydowała się dopiero wtedy, gdy miała poczucie, że jej sytuacja zawodowa i finansowa jest stabilna. – Urodziłam się w 1983 roku, jestem z pokolenia wyżu demograficznego. W Polsce brakowało dla nas miejsc w szkołach i pracy, więc potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa – mówi. – Nie bez znaczenia było też znalezienie partnera, który miałby podobne priorytety – dodaje. I choć jak sama przyznaje, decyzja o powiększeniu rodziny zapadła w jej życiu dość późno, to nie czuje się w tej kwestii wyjątkiem. – Wiele koleżanek w podobnym wieku również dopiero teraz ma małe dzieci – podsumowuje.

Dziś tego typu historie faktycznie są normą i nie budzą kontrowersji, a wątpliwości dotyczące biologii i ryzyka związanego z późną ciążą również ewoluują. Psycholożka dr Beata Rajba przypomina, że jeszcze dekadę temu kobieta rodząca pierwsze dziecko w wieku 34 czy 36 lat często słyszała u ginekologa, że jej ciąża jest geriatryczna, a ona sama jest „starą pierworódką". – Obecnie nikogo nie dziwi 40-latka z wózkiem, nikt również nie posądza jej o bycie babcią dziecka – tłumaczy ekspertka, podkreślając jednocześnie, że należy pamiętać, iż dojrzalszy wiek wiąże się z większym ryzykiem wystąpienia wad genetycznych oraz niepłodności. Na szczęście współczesna medycyna pozwala szybciej diagnozować i reagować na potencjalne zagrożenia, zwiększając szanse na urodzenie zdrowego dziecka – wiele operacji wykonywanych jest już w łonie matki, mamy też dostęp do nowoczesnych badań prenatalnych, do zaawansowanego leczenia niepłodności i do zapłodnienia *in vitro*. – To daje wielu ludziom realną szansę na rodzicielstwo nawet w późnym wieku – zauważa prof. Suwada.

Późne dzieci, dojrzali rodzice?

Pytanie o to, czy dojrzali rodzice – w myśl starego przysłowia, że im człowiek starszy, tym mądrzejszy – faktycznie podchodzą do wychowania dzieci bardziej świadomie, często pojawia się w dyskusjach na temat późnego rodzicielstwa. Jak wyjaśnia prof. Katarzyna Suwada, dostępne w literaturze socjologicznej badania sugerują, że starsi rodzice w relacjach ze swoimi dziećmi faktycznie wykazują się większą cierpliwością oraz większą kontrolą emocjonalną. Mają również bardziej refleksyjne podejście do rodzicielstwa, a tym samym są skupieni na budowaniu relacji z dziećmi. – Co ciekawe, badania zwracają uwagę również na to, że młodsi rodzice częściej borykają się z niestabilnym zatrudnieniem czy niedokończoną edukacją, co może przekładać się na to, że w ich przypadku rodzicielstwo dzieje się gdzieś w tle – tłumaczy ekspertka.

Macierzyństwo zmieniło życiowe priorytety Uli. – Przekonałam się, że nie da się łapać dziesięciu srok za ogon – śmieje się i wspomina, że przez pierwsze dwadzieścia lat dorosłego życia bardzo dużo pracowała. – Po narodzinach Izy praca zeszła na dalszy plan. Chcę spędzać z nią każdą wolną chwilę, bo wiem, że czas płynie nieubłaganie. Po przedszkolu idziemy na rower, na zakupy, pieczemy ciasto, ona aktywnie uczestniczy w naszym codziennym życiu – opowiada i dodaje, że wspólnie z mężem chcą wychować dziewczynkę na świadomą obywatelkę. – Zależy nam na tym, by nasze dziecko miało

zarówno swoje zdanie, jak i szacunek do innych ludzi, do zwierząt, by było otwarte i tolerancyjne – podsumowuje.

Spokój, poczucie bezpieczeństwa, cierpliwość, zaufanie i partnerstwo od samego początku były fundamentami relacji Małgosi i jej rodziców. – W podstawówce koleżanki bały się mówić rodzicom o kiepskich ocenach, bo ich reakcje były gwałtowne. U mnie tego nie było, rodzice zawsze podchodzili do tego z wyrozumiałością i powtarzali, że to proces, że to naturalne, iż popełniam błędy. Nie czułam presji z ich strony – wspomina. Podkreśla również, że paradoksalnie, mimo tego że była najmłodsza, rodzice pozwalali jej na samodzielność, dzięki której miała przestrzeń do budowania swojej autonomii i tożsamości. – Z perspektywy czasu myślę, że byli dla mnie uważnymi kompanami, którzy pozwalali mi eksplorować życie po swojemu – opowiada.

Misia od osób ze swojego towarzystwa często słyszy, że jest odpowiedzialna, rozważna, że ogarnia życie. – Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało, ale chyba faktycznie coś w tym jest, bo wielu moich rówieśników ma poczucie, że świat kręci się dookoła nich – mówi nastolatka i dodaje, że sądzi, iż to zasługa wychowania. – Nie byłam rozpieszczana, nigdy nie dostawałam wszystkiego, o co prosiłam. Jeżeli spodobały mi się droższe buty, musiałam sobie na nie uzbierać, a rodzice ewentualnie do nich dokładali. Mam poczucie, że wychowali mnie w poszanowaniu pieniędzy i pracy, od małego wpajali mi również to, że każdy człowiek zasługuje na szacunek – mówi Misia. Dziewczyna przyznaje również, że jej rodzice – z racji wieku – do wielu nastoletnich bolączek podchodzą z większym luzem i spokojem. – Oni sporo przeżyli i korzystają ze swojego doświadczenia życiowego. Rozumieją, że jedynka z chemii czy opuszczenie jednego dnia w szkole to nie koniec świata. Znajomi trochę mi tego zazdroszczą – śmieje się.

Dr Beata Rajba zastrzega jednak, że na relacje dojrzałych rodziców i ich dzieci nie należy patrzeć zero-jedynkowo. Psycholożka, posiłkując się badaniami, zwraca uwagę na to, że owszem, wraz z wiekiem w rodzicach może (ale nie musi) wzrastać inteligencja emocjonalna, która może przekładać się na lepszą relację z dzieckiem, ale nie jest ona gwarancją dobrych stosunków. – Więź między rodzicem a dzieckiem jest więzią dwojga ludzi – dużego i małego. Tu istotną rolę odgrywa osobowość rodzica, dlatego jednoznaczne stwierdzenie, że im starszy rodzic, tym lepsze relacje z dzieckiem, jest dużą generalizacją – tłumaczy.

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Średnia wieku Polki rodzącej pierwsze dziecko wynosi 29 lat – czyli o sześć więcej niż w latach 90. W większości krajów wysoko rozwiniętych kobiety zaczynają rodzić po trzydziestce.

„Weź się, tato"

Trudno nie zgodzić się z dr Rajbą – tym bardziej że w kwestii rozważań na temat późnego rodzicielstwa łatwo wpaść w sidła idealizowania dojrzałości. Większe doświadczenie życiowe „późnych" rodziców nie oznacza, że naprawdę są dojrzali, a w ich relacjach z dziećmi nie ma tarć i niesnasek. Wręcz przeciwnie – są i często z racji dużej różnicy wieku, która czasami obejmuje dwa pokolenia – urastają do rangi światopoglądowych konfliktów. Ostatnio na własnej skórze przekonuje się o tym Misia, która zauważa, iż jej podejście do życia i wizja przyszłości mocno rozmija się z poglądami rodziców. – Im jestem starsza, tym wyraźniej dostrzegam to, jak wielu rzeczy nie rozumieją. Mama jest otwarta i bardziej postępowa, ale tata sztywno trzyma się swoich zasad. Zapomniał, że był młody ponad 40 lat temu, czyli w zupełnie innej epoce – kwituje dziewczyna.

Z doświadczeniami Misi utożsamia się Małgosia, która przyznaje, że jako nastolatka czuła dokładnie to samo. Jej rodzice należą do pokolenia *baby boomers*, urodzonego w latach 50., ona urodziła się na początku lat 90. Z perspektywy czasu widzi, że dzieliła ich spora przepaść. – Moje pokolenie miało kapitalizm, globalizację, wszystko na wyciągnięcie ręki. U nich wartości były z kompletnie innej bajki: etos pracy, stabilność, pragmatyzm, tradycyjne wychowanie – wspomina. – Do tego oczywiście dochodziła kwestia rozwijającej się technologii. Coś, co dla mnie było normalne i naturalne, dla nich było wyzwaniem. Pamiętam, że nie rozumiałam, jak mogą mieć problem z obsługą komputera lub komórki – mówi Małgosia.

Adam zapewnia, że wciąż – mimo pięćdziesiątki na karku – nadąża za światem swojej córki. Na jego korzyść działa to, że na co dzień pracuje w branży marketingowej i jest na bieżąco z trendami. Plusem jest też fakt, że sam bardzo lubi gry, zabawki i oglądanie kreskówek. – Z Tosią trzymamy sztamę, moja żona często siedzi z boku i patrzy na nas jak na kosmitów, bo kompletnie nie rozumie języka, którym się posługujemy – śmieje się mężczyzna.

Adam oczywiście nie ma złudzeń i wie, że prędzej czy później w relacji z córką pojawią się tarcia, tym bardziej że dziewczynka niedługo wejdzie w nastoletni wiek. – Wiem, że nie zawsze będzie różowo. Mam jednak nadzieję, że będę dla niej oparciem, że będę umiał ją wesprzeć i dam jej narzędzia, które pozwolą jej radzić sobie w życiu – mówi i dodaje, że doskonale pamięta, jak sam w nastoletnim wieku darł z rodzicami przysłowiowe koty. – Nie chcę być typowym, moralizującym i wszechwiedzącym ojcem. Wiem, że świat się zmienia – deklaruje.

Matematyki nie oszukasz

O ile w początkowych etapach rodzicielstwa wiek i upływający czas nie są aż tak widoczne i doskwierające, bo wielu „późnych" rodziców deklaruje, iż dzięki małym dzieciom dłużej czują się młodo i mają więcej energii niż ich rodzice w podobnym wieku – to im dalej w las, tym, jak przekonuje dr Rajba, pojawia się coraz więcej lęku i niepokoju o przyszłość.

Adam wspomina, że gdy na świat przyszła Tosia, mocno wziął się za siebie. Rzucił palenie, zaczął regularnie uprawiać ↦

↦ sport, by dotrzymywać kroku córce i jak najdłużej być w dobrej formie. – Martwię się o to, że zachoruję, że coś mi się stanie, że za szybko zabraknie mnie w życiu Tosi. To dla mnie bardzo trudne, bo jestem z nią mocno związany – mówi. Ula, która jest w podobnej sytuacji, ma identyczne refleksje. – Czy zdążę ją wykształcić, zobaczyć, jak wchodzi w dorosłość i być przy niej w ważnych chwilach? Te myśli wracają do mnie jak bumerang.

Okazuje się, że lęk o przyszłość jest obustronny, bo czują go również dzieci dojrzałych rodziców, które dużo wcześniej niż ich rówieśnicy mierzą się ze starością i przemijaniem. – Matki i ojcowie moich rówieśników mają po czterdzieści kilka lat, więc oni zupełnie nie zawracają sobie głowy tym, że ich rodzice się starzeją. Ja o tym myślę, bo widzę coraz większy regres w ich zdrowiu – mówi 18-letnia Misia.

Na pytanie, czy obawia się tego, że być może w niedalekiej przyszłości będzie musiała opiekować się rodzicami, Małgosia odpowiada, że faktycznie czuje strach, ale zastrzega, że to raczej lęk przed nieznanym. – Nie mam złudzeń, wiem, że to na pewno przyjdzie, ale trochę zaklinam rzeczywistość, że zdarzy się, gdy będą bliżej osiemdziesiątki – mówi. – Dzieci młodszych rodziców mają więcej czasu na przygotowanie się, na zastanowienie, co będzie, gdy rodzice się zestarzeją – wyjaśnia dziewczyna. W jej przypadku plusem sytuacji jest to, że sama nie ma dzieci, którymi musiałaby się opiekować.

> Starszy rodzic to lepszy rodzic? Z wiekiem istotnie możemy zyskiwać na inteligencji emocjonalnej, ale nawet ona nie daje nam gwarancji dobrych relacji z dziećmi.

Biorąc pod uwagę społeczne trendy, można założyć, że późne rodzicielstwo odbije się w strukturze społeczeństwa. Socjolożka prof. Katarzyna Suwada zauważa, że zjawisko to już dziś wpływa na dynamikę relacji rodzinnych. – Gdy dzieci dojrzałych rodziców same decydują się na powiększenie rodziny, to często nie mają już wsparcia dziadków. Powód jest bardzo prosty: ich rodzice nierzadko sami są schorowani i wymagają wsparcia – wyjaśnia ekspertka. Ponieważ ta „odwrócona opieka" pojawia się szybciej, przybywa osób z tzw. *sandwich generation*, obłożonych opieką z obu stron. To jednak nie koniec społecznych wyzwań związanych z tą kwestią – późne rodzicielstwo wiąże się również z tym, że ludzie mają mniej dzieci, bo jeżeli ktoś decyduje się na potomstwo w wieku np. 38 lat, to raczej mało prawdopodobne jest, że będzie miał ich trójkę. – W efekcie w przyszłości ewentualna opieka nad starzejącymi się rodzicami będzie spoczywać na jednym dziecku – tłumaczy socjolożka. Ekspertka przyznaje również, że w przypadku polskiego społeczeństwa, które się starzeje i w którym to głównie rodzina (najczęściej kobiety) dostarcza i organizuje opiekę nad seniorami, niezbędne będzie większe zaangażowanie państwa i rozwój opieki instytucjonalnej. Zarówno nad dziećmi, jak i nad osobami starszymi. – To naprawdę poważne wyzwanie – podsumowuje socjolożka.

Kończąc rozmowę, Adam przyznaje, że odkąd na świecie jest Tosia, jego życie się zmieniło. – Bycie ojcem mnie odmłodziło, czuję się, jakby ubyło mi 15 lat – mówi. Opowiada, że uwielbia drobne, codzienne momenty: odprowadzanie do szkoły, wspólne szalone zabawy, dziecięce wyznania miłości. – Czuję się, jakbym przeżywał dzieciństwo drugi raz z super kumpelą u boku – uśmiecha się i deklaruje, że warto było na to czekać. – Mimo tego, że wyzwań jest i będzie sporo, cieszę się, że mogę się z nimi mierzyć. Naprawdę kocham być tatą.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): Michał Kuźmiński
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępczyni redaktora naczelnego: Ewelina Burda
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY

JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOLINA OBOLAŁYCH SERC

Pod koniec lata Biała Lądecka sprawia wrażenie spokojnej i ujarzmionej. Ale to pozór. Gdy codzienna krzątanina ustaje, wielu mieszkańców położonych nad rzeką wsi i miasteczek wciąż zmaga się z traumą zeszłorocznej powodzi.

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Jadę do Żelazna, jednej z kilku miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej, które dwanaście miesięcy temu, w połowie września, ucierpiały najbardziej. Żywioł, jaki nawiedził kameralną wówczas dolinę Białej Lądeckiej, przyniósł z sobą obrazy prawdziwie surrealne: pozbawione domów dachy, rzucone między kamienie i pnie połamanych drzew, których korzenie zawisły w powietrzu; sterty śmieci, bezkresne morza mułu i piasku, wraki samochodów powyginane przez żywioł tak bardzo, że nie sposób było rozpoznać ich marki. Wreszcie pustka po miejscach, które znikając, pozbawiały wyobraźnię naturalnych, niewzruszonych dotąd punktów odniesienia. Ledwie rok temu, w pierwszych dniach po przejściu fali powodziowej, cała okolica była jak otwarta rana.

Na ścianach mijanych budynków dostrzegam charakterystyczne, mówiące wszystko zacieki. Zostawiam drogę krajową, biegnącą w stronę granicy z Czechami, i niespiesznie wjeżdżam do wsi. Zatrzymuję się nieopodal położonego na niewielkim wzniesieniu kościoła.

Po przejściu kilkuset metrów po prawej stronie wąskiej drogi pojawiają się białe kontenery z kolorowymi dekoracjami i napisem „Nasza szkoła". Dochodzi trzynasta, na przyszkolny plac jeden po drugim podjeżdżają samochody. Zarówno rodzice, dzieci, jak i nauczyciele są już przyzwyczajeni do wizyt oficjeli i dziennikarzy.

Nigdy nie mów nigdy

Obok zbudowanej z kontenerów szkoły stoi namiot, służący za salę gimnastyczną. W dawnym budynku bardzo jej brakowało. Dyrektorka placówki mówi o niej z dumą. Postawiona przy wsparciu wojska, do dziś objęta jest patronatem MON. Do poprzedniej siedziby nie ma powrotu, stoi na terenie uznanym za najbardziej narażony w przypadku kolejnej powodzi. Ale, po prawdzie, nikt nie chce do niej wracać. Trwają prace projektowe nad zupełnie nową szkołą, w miejscu, którego woda nigdy nie dosięgnie. W głosie mojej rozmówczyni wyczuwam jednak wahanie: – Nigdy nie mów nigdy, prawda?

W Żelaźnie nikt nie wątpi w prawdziwość tych słów.

Okolice dawnego gospodarstwa rybnego w Radochowie, 9 września 2025 r.

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Gdy wychodzę z powrotem na szkolny korytarz, czekają na mnie pełne zaciekawienia i ufności spojrzenia dzieci. Wiele z nich, jak usłyszałem, jesienią i zimą nie chciało wracać po lekcjach do smutnych, dotkniętych kataklizmem domów.

Ruszam w górę rzeki, zerkając na jej od wielu już lat uregulowane – przynajmniej na tym odcinku – brzegi, na których powoli odrastają gęste zarośla. Czy to, co dla mieszkańców doliny było katastrofą, jest nią także w porządku natury?

Na kwadrans zatrzymuję się w Ołdrzychowicach Kłodzkich. Parkuję samochód przy skrzyżowaniu z drogą na Jaszkową Górną. Obok szosy wzrok przykuwa billboard z wielkim napisem: „Dziękujemy za pomoc. Mieszkańcy Gminy Kłodzko".

Po przejściu kilkudziesięciu metrów stoję na kamienistym brzegu Białej Lądeckiej. Gdzieniegdzie widać jeszcze kupki naniesionych przez wodę odpadów, kłębowiska posklejanych mułem gałęzi i traw. Nad samą rzeką kwitnie na czerwono ozdobny mak, którego nasiona musiały trafić tu z jakiegoś ogródka, w wielu miejscach można spotkać rośliny, które kaprys powodzi rzucił w nowe siedliska.

Kilka kilometrów dalej, w Trzebieszowicach, trwają prace nad umocnieniem brzegów rzeki. Jasnożółte koparki transportują potężne głazy nad samą wodę. Stoję na moście, na którym rok temu przyglądałem się zrujnowanemu nadrzecznemu krajobrazowi. Dziś prawie nie widać śladów po zniszczeniach.

Niedaleko przebiega nasyp nieczynnej dziś linii kolejowej. Za sprawą powodzi – a raczej potężnego zastrzyku pieniędzy, jaki wygenerowała – już niedługo, po przeszło dwudziestu latach, ponownie zaczną kursować pociągi do Stronia i Lądka. W wielu miejscach można odnieść wrażenie, że powódź, choć rzecz jasna była tragedią, stała się także impulsem do inwestycji, które bez niej być może jeszcze długo nie miałyby tu miejsca.

W Radochowie, w którym zniszczenia były jeszcze większe niż w Żelaźnie, parkuję w pobliżu dawnego gospodarstwa rybnego. Zbiorniki, w których kiedyś roiło się od pstrągów, są dziś wypełnione kamieniami i piaskiem.

Tu umarła moja matka

Z jednego z domów wychodzi na papierosa mężczyzna po sześćdziesiątce. Witamy się raczej powściągliwie. Pytam go, jak wszystkich, o miniony rok. Większość sąsiadów nie planuje powrotu, zaczęli układać sobie życie w innych miejscach. Gdy zagajam o plany na przyszłość, na jego twarzy pojawia się trudny do jednoznacznej interpretacji grymas.

– Ja się w tym domu urodziłem, w pięćdziesiątym siódmym.

Gestem głowy wskazuje w kierunku pokoju w sieni budynku. – Tutaj umarła moja matka. Gdzie pójdę? – mężczyzna podnosi z wytartego kamiennego stopnia starą, pamiętającą PRL popielniczkę, gasi papierosa i znika wewnątrz budynku.

Ruszam dalej drogą prowadzącą przez wieś. Po ogromnej wyrwie w jezdni nie ma już śladu. Została zasypana, ale wciąż obowiązuje tu zakaz ruchu. Patrzę na podnoszącą się jak po brutalnym ciosie miejscowość. Położony w centrum wsi most wciąż czeka na remont. Na brzegu Białej kwitną przyniesione tu przez wodę słoneczniki.

Zaglądam do małżeństwa, którego dom rok wcześniej znalazł się pośrodku opływającej go z dwóch stron wezbranej rzeki. Znamy się od ponad trzydziestu lat. Zapraszają mnie do środka. Remont dobiega właśnie końca. Wszystkie pomieszczenia wewnątrz budynku zostały skute do nagich murów i urządzone na nowo.

Rozmawiamy o pieniądzach. Po powodzi w 1997 r., gdy z ust ówczesnego premiera Włodzimierza Cimoszewicza padły skądinąd słuszne, choć niefortunne w tamtych okolicznościach słowa o konieczności ubezpieczania się, niemal wszyscy tak właśnie zrobili. Wśród poszkodowanych dominuje jednak poczucie zawodu. Otrzymane w ostatnim roku pieniądze stanowiły często zaledwie dwadzieścia, w najlepszym przypadku trzydzieści procent spodziewanych sum. Gdyby nie pomoc rządowa, ubezpieczenia nie pozwoliłyby na pokrycie wszystkich kosztów. Ale i w przypadku zapomóg od państwa wiele osób uznaje procedury ich rozliczania za niejasne i zawiłe.

Wspominam o zbiornikach retencyjnych, które miały powstać na Białej Lądeckiej. Jeden z nich planowany był w górnej części Radochowa. W odpowiedzi słyszę, że do dziś nikt nic nie wie. Jak się potem dowiaduję, trwają dopiero prace projektowe.

Oglądamy odremontowany dom. Żartuję, że tak dobrze wyglądał on ostatnio ↦

↦ sto lat temu, gdy dopiero co został zbudowany przez Niemców. Jego obecni, polscy właściciele, którzy mają za sobą czwartą w życiu powódź, uśmiechają się do mnie z dumą. Pytam, czy rozważali wyprowadzkę. Bez wahania potwierdzają, że zeszłej jesieni byli zdecydowani opuścić Radochów na zawsze.

Na zadbanym trawniku, oddzielającym dom od spokojnej dzisiaj, lśniącej w słońcu rzeki, pytam, jak zeszłoroczne wydarzenia odbiły się na psychice mieszkańców wsi. Dwoje ludzi, którzy w stojącym za nami budynku przeżyli razem ponad czterdzieści lat, przyznaje, że dopiero latem udało im się odstawić środki uspokajające. Gdy słyszą o zbliżających się falach opadów – o niżach niosących gigantyczne masy wody – nie mogą w nocy spać.

– Budzę się i sprawdzam, czy do domu nie wdarła się woda. Choć to nawet nie jest ten dom – mówi z wypisanym na twarzy bólem kobieta. Jak wielu, na czas remontu zamieszkali gdzie indziej.

Wszystko rośnie jak szalone

Półtora kilometra dalej zostawiam za sobą ostatnie zabudowania wsi i ponownie schodzę nad Białą Lądecką. Rzeka jest tu niemal nie do poznania. Zniknęły setki drzew porastających brzeg. Zniknęły malinowe zarośla. Zniknęła droga. Na nagim, kamienistym brzegu, który i tu został zeszłej jesieni uregulowany przez wojsko, gdzieniegdzie dostrzegam czerwone punkty. Gdy podchodzę bliżej, widzę, że to dojrzewające w słońcu zdziczałe pomidory. Życie, w najmniej spodziewanych formach, wraca nad rzekę.

Kolejny przystanek na mojej trasie to położona w północno-zachodniej części Lądka-Zdroju ulica Langiewicza, która w wyniku kolejnych powodzi, na przestrzeni niespełna trzydziestu lat właściwie przestała istnieć. Ostały się raptem trzy czy cztery domy, z których tylko dwa są na stałe zamieszkane. Przed powodzią w 1997 r. było tu kilkanaście gospodarstw.

Na położonym najbliżej miasteczka budynku większość tynku jest skuta do gołej cegły. W obejściu wciąż można dostrzec zniszczone sprzęty gospodarstwa domowego, materiały budowlane. Obok stoi nieduży biały kontener z przyklejoną na jednej ze ścian kartką: Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych.

> Gdy słyszą o zbliżających się gigantycznych niżach i falach opadów – nie mogą w nocy spać.
> **Budzą się i sprawdzają, czy do domu nie wdarła się woda. Choć to przecież nie jest ten sam dom.**

Na odsłoniętym murze starego domu widnieje czarny napis: „PANZER HAUS. TSUNAMI. 15 IX 2024”. Nad starymi cegłami wznosi się już nowy, blaszany dach. Życie toczy się dalej, myślę, i zerkam w stronę mieszczącego się tuż obok zakładu kamieniarskiego. I on się ostał. Ale dawna kładka, która pozwalała szybko przejść na drugą stronę rzeki, do dziś nie została odbudowana, odcinając ulicę Langiewicza od codziennego życia miasteczka. Nie ma też śladu po kapliczce, która stała tam od zawsze w cieniu dwóch majestatycznych lip.

Na lądeckim starym mieście życie wróciło do normalności. Na rynku rozmawiam z kilkoma osobami, które prowadzą nieduże biznesy. I tu słyszę, że dzięki pieniądzom z ubezpieczenia oraz wsparciu rządu szybko udało im się stanąć na nogi. Ci, którzy pamiętają powódź z 1997 r., podkreślają, że tym razem pomoc przyszła bardzo szybko.

Idę w stronę słynnego kamiennego mostu, na którym do zeszłej jesieni stała figura świętego Jana Nepomucena. Sam most przetrwał, a raczej jego masywne, kamienne przęsła. Wciąż jednak pozostaje zamknięty; nakryto go blaszanym dachem. Gdy kilka godzin później, wieczorem, widzę go na tle zachodzącego słońca – jeden z klasycznych lądeckich widoczków – moją uwagę przykuwa fragment metalowej bariery, jaki ostał się wzdłuż drogi. Część jej grubych, stalowych prętów do dziś wygięta jest do środka koncentrycznie, sprawiając wrażenie niemal dekoracyjne.

Ruszam dalej w górę rzeki. Po zeszłorocznej powodzi los położonego pomiędzy Lądkiem-Zdrojem a Stroniem Śląskim Stójkowa wydawał się przesądzony. Dolina Białej Lądeckiej w niektórych miejscach ma tu raptem kilkadziesiąt metrów szerokości. Stare, poniemieckie domy w większości stoją nad samą rzeką, wiele z nich było tu zalanych po piętro. Dopiero nowe, zbudowane w ostatnich latach, położone są trochę wyżej – głównie dlatego, że tylko tam było jeszcze miejsce.

Do dziś nie został odbudowany most, który pozwalał mieszkańcom łatwo dostać się na szosę do Stronia. Dziś droga – nieutwardzona – prowadzi górą przez pola i las.

W jednym z ogrodów, za zasłoną bujnych kwiatów, dostrzegam zastawiony stół i zgromadzonych wokół niego ludzi. Nieśmiało inicjuję rozmowę. Gospodyni proponuje, żebym się przysiadł, i częstuje kanapkami. Podsuwa także półmiski z ogórkami i pomidorami z przydomowego warzywniaka. – Jedyna korzyść z tej powodzi, że wszystko rośnie jak szalone – mówi.

W zeszłym roku była na miejscu, u sąsiadów. I ją pytam o plany. Mówi, że nie ma innych planów niż umrzeć – za dwa, może trzy lata. Współbiesiadnicy gwałtownie protestują. Ale twarz starej kobiety wydaje się spokojna i pogodzona. I ona podkreśla, że nigdzie się stąd nie ruszy, choć dzieci próbowały namówić ją, żeby z nimi zamieszkała, a stary, nadwerężony dom sprzedała. – Jak będzie pan w moim wieku, zrozumie pan.

Uśmiecham się. Myślę, że rozumiem.

Stronie: zabliźniona rana

Gdy w niedzielę 15 września 2024 r. tuż po dwunastej w Lądku gruchnęła wiadomość, że tama w Stroniu pękła, już po kilku godzinach wszędzie dało się słyszeć, że wprawdzie Lądek nigdy nie widział większej wody, ale Stronie – wprost przestało istnieć. Nagrania i zdjęcia, jakie obiegły nie tylko Polskę, pokazywały skalę zniszczenia, która kazała powątpiewać, czy miasteczko w ogóle będzie w stanie się podnieść.

Po dwunastu miesiącach Stronie Śląskie – a przynajmniej jego centralna, nadrzeczna część – jest wielkim placem budowy: drogi, chodniki, rzeczne umocnienia. Także nastroje mieszkańców są dziś zupełnie inne niż rok temu. Gdy pytam właściciela jednego ze sklepów położonych nad samą rzeką o to, jak miasto poradziło sobie z tragedią, uśmiecha się odrobinę ironicznie. – Bez przesady. Trzeba tylko trochę posprzątać.

Obaj wiemy, że to nieprawda. Ale jakoś trzeba sobie radzić z ciężarem wspomnień. Opowiedzieć je – sobie i innym – tak żeby dłużej nie raniły. Krótki spacer ulicami położonymi po obu stronach rzeki szybko pozwala odczuć, jak głęboko żywioł wdarł się w życie kilkuset mieszkańców miasta i jak wiele pracy czeka ich jeszcze, żeby przeżyty dramat zatarł się w pamięci.

Moje odczucia potwierdzają wolontariuszki Stowarzyszenia Tratwa, którego początki sięgają jeszcze 1997 r. Od blisko trzydziestu lat niesie ono pomoc mieszkańcom i gminom dotkniętym lub zagrożonym klęską powodzi. Od zeszłej jesieni w Stroniu funkcjonuje punkt pomocowy, utworzony w gminnym pawilonie w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło – kilkadziesiąt metrów od tamy na Morawce, niepozornym dopływie Białej Lądeckiej. Gdy zapora pękła, zatopiła całą dolinę.

W miasteczku panuje spore ożywienie. Za kilka dni odbędzie się w nim seria wydarzeń kulturalnych na rzecz powodzian. Ze wsparciem dla rodzinnych stron pospieszyli nie tylko artyści, ale także ludzie, którzy często z tych stron się wywodzą.

Po wyjściu z pawilonu idę w kierunku wyrwy w wale ziemnym przy strońskiej tamie. W zeszłym roku, z odsłoniętymi czerwonawymi skałami, przypominała ranę. Dziś wydaje się zabliźniona – okrywają ją, jak w wielu miejscach, brzegi Białej Lądeckiej, potężne głazy. Ale niepewność pozostała. Co będzie, gdy nad okolicę nadciągną kolejne potężne deszcze?

Gdy wyjeżdżam ze Stronia, patrzę na budynek dawnego dworca kolejowego, w którym dziś mieści się lokalne centrum kultury. Do niedawna wydawało się to nierealne, że wrócą tu pociągi.

Jadę w stronę Przełęczy Lądeckiej. Od kilku miesięcy regularnie przypomina mi się opowiadanie Hemingwaya „Rzeka dwóch serc". Kiedyś, za całkiem realnymi górami i lasami, czytałem je w Radochowie w domu, któremu zeszłoroczna powódź położyła kres. Przypominają mi się twarze ludzi, z którymi w ostatnich miesiącach tu rozmawiałem. Miejsca stare i miejsca nowe. Cała dolina obolałych serc. Krok po kroku odradzająca się do dalszego życia.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

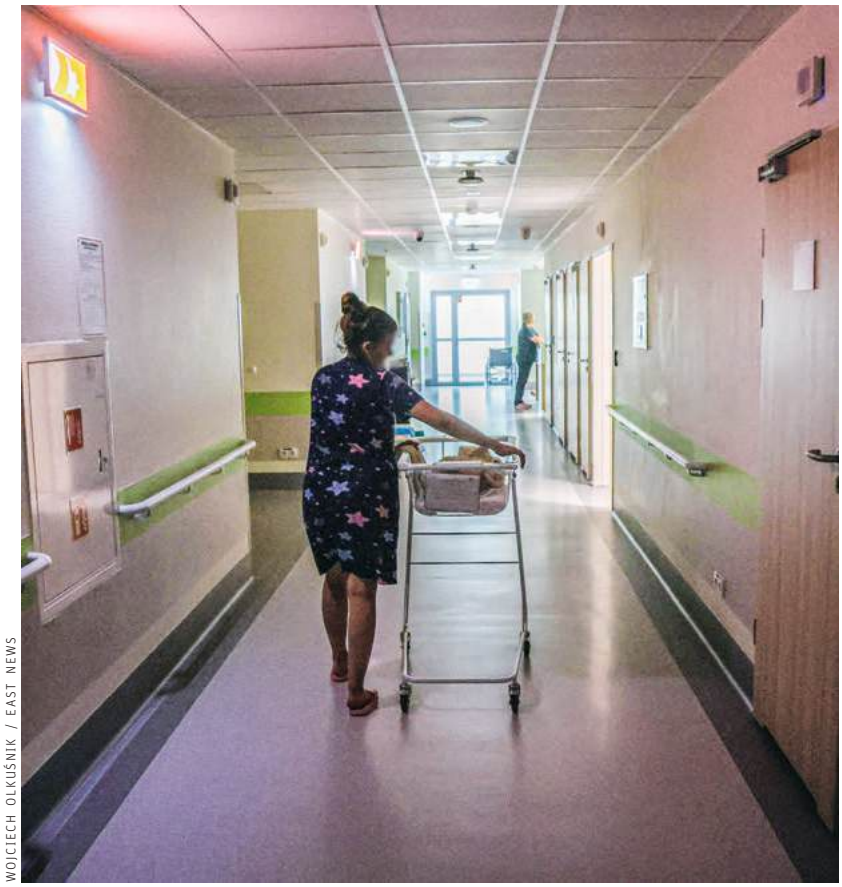

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Oddział ginekologiczno-położniczy w jednym z warszawskich szpitali. 25 czerwca 2024 r.

Matki gorszego sortu

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

ZDROWIE | Szpitale powiatowe pozbywają się oddziałów ginekologiczno-położniczych, bo są nierentowne. Droga kobiet do najbliższej placówki w niektórych miejscach Polski trwa więc dziś nawet dwie godziny. To wstyd dla rozwiniętego kraju.

Janka czuła, że poród zacznie się lada moment, bo skurcze były coraz mocniejsze. Spakowała torbę, zostawiła synów pod opieką dziadków, bo mąż pracował w Niemczech, i poszła na przystanek autobusowy w Zahoczewiu. Był luty 1992 roku, bieszczadzkie drogi zasypał śnieg, Janka szła z trudem po oblodzonej ulicy. Nie chciała dzwonić po karetkę; we wsi był wtedy jeden telefon. A co jak właścicieli nie ma w domu? Straci tylko czas, a czuła, że nie ma go zbyt wiele. Kierowca autobusu wysadził ją pod szpitalem w Lesku. Janka szybko trafiła na stół operacyjny, bo okazało się, że dziecku zanika tętno.

– Lekarze w Lesku uratowali mi życie. Zrobili mamie cesarskie cięcie i dzięki temu mogę pomagać pacjentkom jako pielęgniarka. Niestety, nasz szpital boryka się z kłopotami finansowymi, a władze centralne, choć zapewniały o pomocy, nie wywiązują się z obietnic. Oddział położniczo-ginekologiczny został zawieszony. Gdyby dzisiaj jakaś kobieta w zagrożonej ciąży przyjechała do naszego szpitala, odesłano by ją ↦

↦ do Brzozowa albo do Rzeszowa. Nie wiadomo, czy urodziłaby zdrowe dziecko – mówi Magdalena Dąbrowska, przewodnicząca zakładowej organizacji Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych w Lesku.

Porodówka w Lesku do końca czerwca obsługiwała pacjentki z trzech powiatów: leskiego, sanockiego oraz bieszczadzkiego, i była jedyną placówką w tej części regionu. Wcześniej kobiety mogły rodzić również w innych szpitalach, ale w 2020 r. został zamknięty oddział położniczo-ginekologiczny w Ustrzykach Dolnych, a w 2017 r. w Sanoku. Na początku lipca oddział w Lesku też zniknął z mapy (został czasowo zawieszony), więc odległość z niektórych wsi do najbliższego szpitala położniczego zwiększyła się do 100 kilometrów.

– W naszym regionie przejazd takiej odległości zabiera ponad dwie godziny, bo po bieszczadzkich pętlach nie da się prowadzić auta szybko, a w zimie taka jazda to już prawdziwe wyzwanie. Jeśli kobieta dostanie krwotoku lub akcja porodowa zacznie się wcześniej, nie zdąży dotrzeć do szpitala. Jako kobiety czujemy się wykluczone medycznie, a trzeba też dodać, że od lat mierzymy się z wykluczeniem komunikacyjnym. Jeśli nie ma się w Bieszczadach samochodu, nie da się do szpitala dotrzeć autobusem – opisuje Magdalena Dąbrowska.

Rodzić po ludzku

1 lipca 2025 r. pod Ministerstwem Zdrowia w Warszawie odbył się protest mieszkańców Leska. Przywieźli transparenty, na których można było przeczytać: „Nie każcie kobietom rodzić w karetkach", „Rodzić po ludzku także w Bieszczadach". Szpital w Lesku boryka się z zadłużeniem, które przekroczyło 111 mln zł, więc eksperci z ministerialnego zespołu do spraw reformy ochrony zdrowia zaproponowali zmniejszenie zatrudnienia o 100 osób (obecnie pracuje tam ich 345) oraz restrukturyzację placówki. Zmiany te uniemożliwiały zapewnienie bazowych potrzeb mieszkańców i właściwe funkcjonowanie placówki, dlatego zostały oprotestowane przez dyrektorkę i władze powiatu. Podczas demonstracji do mieszkańców Leska wyszła ówczesna minister zdrowia, Izabela Leszczyna, i zapewniła: „Ustaliliśmy dzisiaj, że porodówka w Lesku będzie funkcjonować. Chodzi o ostatni oddział ginekologiczno-położniczy w tej części województwa, który miał być zlikwidowany. Dla pacjentek oznaczałoby to konieczność udania się po pomoc nawet 100 kilometrów". Uczestnicy protestu nagrali słowa pani minister, bo do władz centralnych mają małe zaufanie. Nic to nie dało, nie ma dziś ani oddziału w Lesku, ani minister Leszczyny. Odeszła ze stanowiska; pomocy placówce nie załatwiła.

– Musi zmienić się rodzaj finansowania szpitali powiatowych, gdyż procedury związane z porodem czy zabiegami ginekologicznymi są niedoszacowane. Potrzebne są też rozwiązania systemowe, które pozwolą na zatrudnianie specjalistów w takich małych placówkach jak nasza. Tu nie przyjdzie do pracy neonatolog za pieniądze, które mogę mu zaproponować. No i kolejna sprawa: musiałam utrzymywać oddział położniczo-ginekologiczny w pełnej gotowości, choć zdarzały się dni, kiedy nie było porodu, to zaś generowało zadłużenie – wyjaśnia dyrektorka Szpitala Powiatowego w Lesku, Małgorzata Bryndza.

W 2024 r. w szpitalu w Lesku odbyło się 197 porodów i ponad 700 zabiegów ginekologicznych, takich jak usuwanie mięśniaków macicy. Według GUS wspomniane trzy powiaty zamieszkuje 136 tysięcy mieszkańców, w tym 70 tysięcy kobiet – dziś zostały bez pomocy.

– Nie można „wycinać" wszystkich oddziałów ginekologiczno-położniczych w Polsce tylko dlatego, że nie przynoszą zysków. Obowiązuje nas elementarna solidarność społeczna wobec osób, które żyją w trudnych warunkach, więc nie możemy patrzeć tylko na aspekt ekonomiczny. Takie oddziały jak ten w Lesku powinno obejmować bezpośrednie finansowanie rządowe, one są potrzebne w tym miejscu, bo mogą uratować życie kobiety i dziecka. Zamykając go, nie zwiększymy dzietności w Polsce, a tylko pogłębimy poczucie frustracji w kolejnej grupie wykluczonych z opieki medycznej kobiet – tłumaczy Krystyna Ptok, przewodnicząca Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych.

Szpitale toną w długach

Szpitale powiatowe od lat borykają się z problemami finansowymi. Raport

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

KULTURA W TYGODNIKU

Literatura, teatr, sztuka, muzyka, zjawiska i trendy.
Recenzje, eseje i rekomendacje, które otwierają nowe perspektywy.

Prowadzi MONIKA OCHĘDOWSKA

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

Związku Powiatów Polskich za rok 2024 pokazuje, że na 219 analizowanych placówek tylko 39 wykazało zyski. Środki z NFZ stanowią dla nich podstawę istnienia, jednak, jak wynika z wyliczeń, jest ich w systemie za mało. Dyrektorzy dużych szpitali dzięki oddziałom, na których badania i zabiegi są wysoko wyceniane, zarabiają na oddziały przynoszące straty i w ten sposób bilansują budżet, nie tracąc płynności finansowej.

Szpitale powiatowe zapewniają tylko bazowe potrzeby obywateli, nie mają kontraktów na operacje bardziej zaawansowane, nie zatrudniają też takich specjalistów. W 2024 r. placówki te wydały łącznie 333 mln zł na spłatę odsetek od zaciągniętych kredytów, a 29 jednostek zanotowało dług powyżej 10 mln zł. Zadłużenie sprawia, że dyrektorzy szukają oszczędności i zamykają oddziały, które przynoszą straty. – Z perspektywy zysków dla szpitala bardziej mi się opłaca przyjąć alkoholika przywiezionego z ulicy i podać mu kroplówkę, niż kobietę w ciąży, bo zwrot, jaki za obie procedury uzyskam z NFZ, jest podobny, a zaangażowanie personelu i środków medycznych nieporównywalnie mniejsze – powiedział mi anonimowo jeden z dyrektorów.

Jednak głównym „winowajcą" odpowiadającym za znikanie porodówek jest demografia. Liczby mówią same za siebie – w 2017 r. urodziło się w Polsce 397 tysięcy dzieci, tymczasem w 2024 r. zarejestrowano jedynie 252 tysięcy porodów. Dla przykładu: szpital w Biskupcu w województwie warmińsko-mazurskim w 2022 r. przyjął 80 porodów, a w 2024 – tylko jeden.

– W Polsce rodzi się mniej dzieci, ale nie zmniejsza się liczba kobiet, które potrzebują opieki ginekologicznej, dlatego szpitale powiatowe powinny przekształcić swoje oddziały tak, by odpowiadały populacji na danym terenie. Można przecież zrezygnować z położnictwa i kontraktować ginekologię – tłumaczy Rafał Janiszewski, ekspert w zakresie ochrony zdrowia i doradca specjalizujący się w usługach wspierających rozliczenia z NFZ. – Kobiety w średnim wieku borykają się z licznymi problemami, takimi jak mięśniaki, polipy, nowotwory szyjki macicy. W szpitalach powiatowych mogłyby liczyć na szybką pomoc i diagnostykę, bo w przypadku zmian nowotworowych czas ma ogromne znaczenie.

> W Polsce rodzi się mniej dzieci, ale nie zmniejsza się liczba kobiet, które potrzebują opieki. Tymczasem w wielu miejscach kraju wraz z położnictwem **przestaje funkcjonować także ginekologia.**

Co to mężczyzn obchodzi

Niestety, w wielu miejscach Polski wraz z położnictwem przestaje funkcjonować także ginekologia. Przykładem jest szpital w Szczebrzeszynie, który wygasił oddział ginekologiczny z końcem sierpnia 2025 r., mimo że ten cieszył się w środowisku bardzo dobrą opinią. Na zabiegi usuwania mięśniaków przyjeżdżały tu kobiety z Zamościa, Lublina, Biłgoraja, bo w swoich ośrodkach musiały czekać w długiej kolejce, a kameralny oddział w Szczebrzeszynie zapewniał profesjonalną i komfortową opiekę. Przede wszystkim jednak leczył kobiety z okolicznych gmin.

O zamknięciu oddziału rozmawiam z kobietami w przychodni w Szczebrzeszynie – nie zostawiają suchej nitki ani na dyrektorze, ani na staroście. „Wiadomo, to mężczyźni, co ich obchodzą wypadające macice starszych kobiet czy nasze problemy z mięśniakami". Opowiadają, jak zbierały podpisy po mszy w kościele pod petycją w obronie oddziału i prawa do opieki zdrowotnej. Jest wśród nich Anna, która czeka w kolejce do kontroli po zabiegu abrazji z wynikiem histopatologicznym w ręce. Mieszka na wsi, prowadzi z mężem małe gospodarstwo i dorabia w sklepie. Lipiec to nie był dobry moment na operację, bo żniwa na głowie i trójka dzieci w domu, ale przez trzy tygodnie Anna miała krwotoki i nie mogła ustać za ladą. Hemoglobina spadła jej tak bardzo, że nie miała siły krowy wydoić. Lekarz skierował ją do szpitala, a zabieg odbył się po dwóch dniach.

– Bardzo nam zależało na utrzymaniu oddziału ginekologicznego, zaprosiliśmy na Radę Miasta starostę i dyrektora szpitala, przedstawiliśmy program naprawczy, ale bez rezultatu – mówi z goryczą Marek Pawlak, przewodniczący Rady Miasta w Szczebrzeszynie. – Teraz kobiety w naszej gminie zostały bez pomocy. Niektórych nie będzie stać na leczenie w dużym mieście. Region wyludnia się, nie ma za bardzo pracy, nie ma opieki medycznej, więc nie ma czego tu szukać.

Oddział ginekologiczny w Powiatowym Szpitalu w Szczebrzeszynie liczył dziewięć łóżek i wykonywał zabiegi planowe. Generował o wiele mniejsze straty niż chirurgia czy interna. Pracownicy wyszli z pomysłem cięcia kosztów, bo uważali, że skoro NFZ od 1 lipca zwiększył stawki wycen, zaczną na siebie zarabiać. W ramach oszczędności zrezygnowano też z nocnych dyżurów lekarskich, położne bardzo dobrze radziły sobie z opieką nad pacjentkami po zabiegu. Nic to nie dało.

To dopiero początek

Założenia dotyczące restrukturyzacji szpitali i likwidacji porodówek przyjęte w 2024 r. przez Ministerstwo Zdrowia zakładają, że na rynku pozostaną placówki, w których odbywa się w skali roku minimum czterysta porodów. Według ekspertów resortu taka liczba urodzeń sprawia, że oddział działa prężnie, nie ma przestojów, jest za to dostateczna liczba specjalistów, która daje kobietom poczucie bezpieczeństwa.

Szpitale powiatowe od lat borykają się z małą liczbą porodów i z pozyskaniem do pracy lekarzy o specjalizacji neonatologicznej, pediatrycznej czy anestezjologicznej, nie stać ich też na koszty nocnych dyżurów. W jednej z placówek dyrektor narzekał, że cztery nocne dyżury jednego lekarza kosztują go tyle, ile pensja położnej. Jeśli przyjmiemy, że czterysta porodów stanowi o być albo nie być porodówki, z mapy Polski znikną 172 odziały. I tak dla przykładu, w województwie podlaskim zostanie zamkniętych dziesięć oddziałów, w województwach: warmińsko-mazurskim, lubelskim, łódzkim i dolnośląskim – po jedenaście porodówek. Stabilna sytuacja jest w Małopolsce, na Śląsku i województwie pomorskim. W Wielkopolsce, gdzie na 32 oddziały zagrożonych jest siedem, władze powiatowe w porozumieniu z dyrekcją szpitali próbują wykorzystać wolną rękę, jaką pozostawiło im ministerstwo, ↦

↦ i przymierzają się do zamknięcia także tych porodówek, które spełniają kryterium 400 urodzeń! Taka sytuacja ma miejsce w Jarocinie, gdzie w 2024 r. przyjęto 440 porody, dlatego 28 lipca mieszkańcy miasta wyszli na ulice i domagali się zachowania szpitala w obecnym kształcie.

– Oddział ginekologiczno-położniczy w Jarocinie mieści się na dwóch poziomach, jest nowoczesny, świetnie wyposażony i zapewnia najwyższy poziom opieki pacjentkom i noworodkom. Przez długi czas procedury położnicze i ginekologiczne były niedoszacowane przez NFZ, a to generowało długi, bo nie otrzymywaliśmy pełnego zwrotu kosztów za wykonane usługi. Bronimy nie tylko oddziału i miejsc pracy, ale także prawa kobiet do porodu blisko domu. Zamykanie porodówek nie sprzyja demografii, która, jak widać po liczbie urodzeń, i tak jest dużym problemem – uważa Iga Bambrowicz, położna oddziałowa w szpitalu w Jarocinie.

Położne na bruku

W szpitalu powiatowym w Leżajsku oddział położniczo-ginekologiczny będzie pracował tylko do 1 grudnia 2025 r. Dwadzieścia jeden położnych już dostało wypowiedzenia. Podobnie jak w innych placówkach, władze tłumaczą swą decyzję długami, które generuje oddział.

–„Karta Praw Kobiety Rodzącej" gwarantuje opiekę i szczególną ochronę zarówno matce, jak i jej dziecku. Tymczasem w Polsce nikt na to nie patrzy, rozmawiamy tylko o pieniądzach. Nasi przodkowie walczyli, umierali, zostawali kalekami w obronie ojczyzny, domów, kobiet i dzieci, a współcześni mężczyźni-decydenci skazują matki, żony, córki i wnuczki na brak dostępu do podstawowej opieki medycznej. Nie mogę tego zrozumieć, to upadek człowieczeństwa – mówi Elżbieta Banach, przewodnicząca związku w szpitalu w Leżajsku.

Położne w jej placówce dodają, że władze powiatu nie mają pomysłu na konstruktywną politykę prorodzinną, nastawiają się na opiekę geriatryczną i rozbudowę oddziałów, które przyniosą zysk placówce. „Czy zdrowie i życie kobiet powiatu leżajskiego jest mniej warte niż życie kobiet wielkich aglomeracji?" – pytają retorycznie. I z obawą patrzą na ustawę o działalności leczniczej, zmienioną przez Sejm w sierpniu. Pozwala ona na elastyczne przekształcanie oddziałów i łączenie placówek przez samorządy.

> Według założeń Ministerstwa Zdrowia na rynku mają pozostać placówki, w których odbywa się w skali roku minimum 400 porodów.
> **Oznacza to, że z czasem z mapy Polski znikną aż 172 odziały.**

Umożliwione przepisami likwidacje kolejnych oddziałów położniczo-ginekologicznych nie tylko wydłużą drogę kobiet ciężarnych do szpitala, zwiększą kolejki na zabiegi, opóźnią diagnozę i leczenie pacjentek, ale będą także poważnym problemem społecznym. Szpitale powiatowe umiejscowione w małych ośrodkach są bardzo często największym zakładem pracy w danej gminie. Zwolnienia spowodują jeszcze większe zubożenie, frustrację i przyczynią się do migracji.

Dla przykładu w Jarocinie pracę może stracić 16 kobiet, w Szczebrzeszynie 4, a w Lesku 28. Już dziś na rynku jest wiele położnych, które nie znalazły zatrudnienia po zamknięciu oddziałów w Nisku, Iłży, Lubaczowie, Nowym Mieście Lubawskim i Pyskowicach.

– Pierwsze sygnały od osób, które są zagrożone utratą pracy, przyszły z Podkarpacia, potem zaczęły dzwonić położne z Podlasia i Lubelszczyzny, ostatnio odbieram telefony także z Wielkopolski. Jeśli zamierzało się zamknąć w całym kraju tyle oddziałów, należało zmierzyć się z problemem odpowiednio wcześniej – denerwuje się Krystyna Ptok. – Od dwóch lat toczą się rozmowy w Ministerstwie Zdrowia w sprawie kursu, który zwalnianym położnym dałby szansę zatrudnienia na dodatkowych oddziałach. W Polsce brakuje pielęgniarek, więc położne zagrożone utratą pracy wnioskowały o szybką ścieżkę, czyli kurs uzupełniający w zakresie określonych obszarów pielęgniarstwa, umożliwiający uzupełnienie wiedzy np. w opiece długoterminowej, hospicyjnej. Niestety, projekt kursu utknął w Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, a już mógłby być realizowany.

Co widać z Warszawy

Wykonywanie zawodu położnej wiąże się z działaniami profilaktycznymi, diagnostycznymi, terapeutycznymi, edukacyjnymi oraz opieką nad dwiema grupami pacjentów: kobietą oraz noworodkiem do 1,5 miesiąca życia. Projekt kursu, który uzupełni kształcenie i pozwoli na zdobycie umiejętności pielęgniarskich, ma obejmować 280 godzin. Położne, z którymi rozmawiałam, oburzały się, że czas upływa, a wciąż nie ma w ministerstwie decyzji w tej sprawie. I podkreślały, że podczas epidemii covid, kiedy brakowało rąk do pracy, w wielu szpitalach przekierowano je do zadań na innych oddziałach. Nikt wówczas nie wymagał od nich kursu i dyplomu pielęgniarki, a dziś tracą pracę.

– W Polsce o zdrowiu kobiet i ich dostępie do leczenia decydują urzędnicy z Warszawy, którzy mają co krok szpital i mogą przebierać w usługach medycznych jak w ulęgałkach. Dla nich liczy się tylko ekonomia, nie zdają sobie sprawy, jak tu żyjemy, z jakimi trudnościami musimy się mierzyć. Zamykanie szpitali takich jak nasz jeszcze mocniej utrwala podział na bogate ośrodki i regiony biedy, na Polskę A, w której żyje się na wysokim poziomie, i Polskę B, gdzie po podwórkach „biegają wilki i niedźwiedzie", a kobiety chodzą do znachorów, bo szpital jest za daleko. Dlatego nie ustąpimy i będziemy walczyć o odwieszenie oddziału ginekologiczno-położniczego – deklaruje z uporem w głosie Magdalena Dąbrowska, pielęgniarka w Lesku.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

PETRAS MALUKAS / AFP / EAST NEWS

Swiatłana Cichanouska podczas performance'u Białoruskiego Chóru Wolnego towarzyszącego konferencji prasowej z uwolnionymi więźniami politycznymi. Wilno, 12 września 2025 r.

Gra pozorów

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

POLITYKA | Donald Trump, podejmując rozmowy z białoruskim dyktatorem, wpuścił tlen na pozostającą w stanie pełzającej aneksji Białoruś. Pozwolił Łukaszence na jego ulubioną grę: lawirowanie między Waszyngtonem a Moskwą. Gdzie w tym jest Polska?

Prezydent USA wszedł właśnie w buty przywódców europejskich, którzy długo wierzyli, że można odbić Białoruś z rąk Władimira Putina. By wraz z biegiem czasu i kolejnymi rozczarowaniami uznać, że jest to niemożliwe – ale i tak warto poszerzać pole do działania politykowi, któremu wielu na Zachodzie nie chce nawet podawać dłoni. Zawsze lepiej mieć w Mińsku kogoś, kto nie jest całkowicie skazany na Kreml, niż po prostu namiestnika Putina. Finalnie zwycięzcą takiej polityki był jednak zawsze sam Alaksandr Łukaszenka. Zachód znajdował się na minusie.

Z moich rozmów prowadzonych w środowiskach dyplomatycznych wynika, że wiedza władz w Warszawie na temat odwilży w relacjach Mińsk-Waszyngton oraz celów polityki Trumpa jest umiarkowana. Amerykanie nie dzielą się szczegółowymi informacjami na temat tego, co właściwie chcą osiągnąć rozmowami z reżimem Łukaszenki. Pozostają przy ogólnych i nic niewnoszących deklaracjach o konieczności uzyskania ustępstw humanitarnych, czyli zwolnienia znacznej liczby więźniów politycznych.

Opozycja białoruska w Polsce jest przekonana, że nie stoi za tym żaden plan. – Nie widzę tu głębszej strategii – mówił niedawno w rozmowie ze mną i Witoldem Juraszem w Raporcie Międzynarodowym Onetu jeden z jej liderów Pawieł Łatuszka.

Na czele pominiętych

Zresztą gesty humanitarne Białorusi nie dotyczą w zasadzie Polski. Trend jest wręcz odwrotny. Na początku września pod Witebskiem zatrzymano polskiego karmelitę, ojca Grzegorza Gawła. Został oskarżony o szpiegostwo i zbieranie informacji na temat rozpoczętych w ostatni piątek manewrów Zapad 2025. Z kolei przy okazji głośnego uwolnienia w ub. tygodniu 52 więźniów politycznych różnych narodowości (w tym trzech Polaków) zza krat nie wyszedł najważniejszy zakładnik białoruskiego reżimu z punktu widzenia Polski – Andrzej Poczobut, który odbywa w kolonii karnej wyrok 8 lat więzienia. Tym samym Łukaszenka wykonał gest pod adresem USA, umacniając zarazem rachunek krzywd w relacjach z Polską.

Dla równowagi dyktator wykazał się jednak gestem w dniu, w którym Władimir Putin zdecydował o wysłaniu nad Polskę swych dronów. Z poniedziałku na wtorek siły zbrojne Białorusi miały podzielić się z naszymi służbami informacjami na temat tras ich przelotów. Najpierw poinformowało o tym białoruskie Ministerstwo Obrony, co wyglądało na *fake news*. Później potwierdziła to strona polska, ale radość nie trwała długo. Ostre polskie reakcje na wrogą politykę Rosji i użycie przez nią dronów Łukaszenka określił jako zachowanie „dzikusów", pozwalając sobie równocześnie na wyższościowe uwagi pod adresem kierownictwa naszego państwa.

O co chodzi naprawdę

Jak przekonują w rozmowach z „Tygodnikiem" zarówno polskie, jak też ukraińskie źródła dyplomatyczne, w dialogu Łukaszenki z Trumpem chodzi o coś zupełnie innego niż kwestie humanitarne. W realizacji celów nie jest również istotna Polska. Kluczowe są surowce.

Od wiosny 2025 r. planem Trumpa jest znalezienie pretekstu do tego, by otworzyć świat na białoruską produkcję nawozów mineralnych, i pchać je na rynki poprzez porty na Litwie. Lub w wariancie maksimum – po rozejmie – przez ukraińską Odessę. W ten sposób USA zmieniłyby warunki handlu i podaż tego towaru, którego największymi eksporterami są dziś Rosja, Chiny i Kanada. ↦

Białoruś oczywiście nie może się z nimi równać, ale jest graczem na tyle istotnym, by mieć duży udział w kształtowaniu rynku.

Kolejną kwestią są paliwa i surowce energetyczne. W przypadku ewentualnego rozejmu na Ukrainie i prób unormowania relacji między Kijowem i Mińskiem istotną rolę – nie tylko w odbudowie – mogłaby odegrać rafineria w Mozyrzu. Paliwa z niej są znacznie tańsze niż te oferowane np. przez polskie koncerny. Białoruski przemysł petrochemiczny oferuje również polimery czy asfalt. Podobnie jest z cementem. Tu interesy Polski, Ukrainy i USA mocno się rozjeżdżają.

Warszawa chciałaby odgrywać kluczową rolę w odbudowie Ukrainy, a swoje przejścia graniczne traktować jak regulatora, który ma wpływ na ten proces. Jak przekonuje anonimowo w rozmowie z „Tygodnikiem" jeden z członków polskiego rządu, w prawie ukraińskim nie istnieją zapisy sankcyjnego *lex specialis*, które uniemożliwiałyby współpracę z Białorusią po rozejmie. Przy odrobinie dobrej woli mogłaby ona się rozpocząć dobę po zawieszeniu broni z Rosją. O to też ma chodzić Trumpowi, który widzi przyszłą współpracę Białorusi i Ukrainy jako oś nowego porządku w Europie Wschodniej, odklejającej się z czasem od Rosji. Pytanie, czy podobną optykę mają Kijów i Mińsk – pozostaje otwarte.

Batalia o przesmyk

Poza handlem i gospodarką dla dyplomacji USA Białoruś jest ważna również w kontekście bezpieczeństwa. To zaś jest niezwykle istotne dla Polski – bez rosyjskiej kontroli nad Białorusią nie ma mowy o udanej operacji na przesmyku suwalskim.

Potwierdzeniem tego są manewry Zapad 2025, w których bierze udział zgrupowanie uderzeniowe liczące 30 tys. żołnierzy rosyjskich i białoruskich, a scenariusz zakłada wyrąbywanie korytarza do obwodu królewieckiego. Zdaniem wielu wojskowych państwo rządzone przez Łukaszenkę jest jak balkon, z którego prowadzone są wszystkie istotne działania przeciwko Ukrainie i wschodniej flance NATO. Łukaszenka współpracujący z USA na tym polu mógłby być użyteczny, ale czy ten scenariusz jest w ogóle realny? Może Białoruś, na której Rosjanie rozmieścili swoją broń atomową, jest już dziś po prostu rosyjskim, federalnym okręgiem wojskowym?

> W dialogu Łukaszenki z Trumpem chodzi o coś innego niż kwestie humanitarne. W realizacji tych celów nie jest również istotna Polska. **Kluczowe są surowce.**

W sferze służb specjalnych jest ona w zasadzie delegaturą agencji rosyjskich. Podobnie jest w wymiarze militarnym. Niewykluczone więc, że maksimum dobrych gestów i usług, które Łukaszenka może wykonać pod adresem Zachodu, w tym Polski – to informacje na temat przelotu rosyjskich dronów. Większa próba wybicia się na niezależność mogłaby oznaczać dla niego utratę władzy i próbę zainstalowania w Mińsku namiestnika, który nie szukałby już żadnej odwilży z USA. Na ten problem wskazywał w rozmowie ze mną Łatuszka.

– Pamiętam narady, gdy jeszcze byłem urzędnikiem w administracji Łukaszenki. W okresach odwilży z Zachodem przekonywał, że dyplomacja białoruska musi sprawiać wrażenie chętnej do współpracy. Promowano wówczas język białoruski – mówił Łatuszka. Jego zdaniem eksponowano też motywy suwerennościowe oraz niezależność. Wszystko to było jednak pozorne. Łukaszenka działał w sposób wyrachowany, aby nabrać Zachód. Natomiast ludzi, którzy wierzyli w jego suwerennościowe narracje, traktował jak klasycznych pożytecznych idiotów. – Nigdy nie wykonałby kroku, który wchodziłby w kolizję z interesami Kremla – przekonywał Łatuszka.

Skromna oferta

Polski dyplomata zaangażowany w relacje z Białorusią uważa, że w przypadku analizy polityki lawirowania i dwuznaczności nie chodzi o wiarę w złe czy dobre intencje Łukaszenki. To rachunek zysków i strat. – Już dawno porzuciliśmy naiwność. Nikt nie wierzy w prozachodni zwrot Mińska. Łukaszenka handluje zakładnikami, kupując ludźmi ustępstwa i walcząc o ograniczenie sankcji. Zarazem wciąż rządzi Białorusią, więc może być czasem przydatny. Nawet informacje o trasach przelotów dronów są cenne. Bierzemy to, co możemy uzyskać, bez złudzeń – komentuje mój rozmówca.

Takie podejście do polityki wobec Mińska potwierdza wydana w ubiegłym roku przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych książka byłego *chargé d'affairs* na Białorusi Marcina Wojciechowskiego. „Europejski wybór Białorusi. Stracona szansa?" – to zapis relacji bez lukru; analiza kurczącego się pola do działania dyplomacji polskiej.

Trump w swojej polityce wobec Mińska również zderzy się z ograniczeniami. To kwestia czasu. Już w trakcie swojej pierwszej prezydentury wysyłał na Białoruś Johna Boltona, który starał się przekonywać Łukaszenkę do współpracy z USA. Przed Amerykanami również Brytyjczycy próbowali podobnej gry. Był nawet czas, gdy na poligonach białoruskich z oddziałami powietrznodesantowymi dyktatora ćwiczyli komandosi z SAS. To jednak przeszłość. Dziś oferta na tym polu jest dużo skromniejsza.

Obecnie za jakąś formę współpracy Amerykanie są skłonni zdjąć sankcje z narodowego przewoźnika Bieławia. Samoloty nadal nie będą mogły latać nad Europą (ma to związek z przymusowym lądowaniem w 2021 r. maszyny linii Ryanair w Mińsku i aresztowaniem opozycyjnego dziennikarza Ramana Pratasiewicza), otrzymają jednak dostęp do serwisu i części zamiennych.

Na ustępstwa mogą liczyć również firmy związane z reżimem Łukaszenki. Czy w ten sposób uda się kupić jego samego? Wątpliwe. Swoboda działania tego autokraty kończy się tam, gdzie zaczynają się interesy Rosji. Jeden z byłych pracowników białoruskiego MSW w rozmowie ze mną zapytał retorycznie, czy zakładam, że Władimir Putin zapyta o zgodę Łukaszenkę, gdy będzie chciał rozpocząć operację wojskową wymierzoną w Zachód lub w Ukrainę. Rozmawialiśmy przed inwazją na pełną skalę przeciwko Ukrainie i przed marszem rosyjskich sił z kierunku białoruskiego na Kijów. Putin nie zapytał Łukaszenki o zgodę. Nie musiał.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej".

OLGA

Drenda: *Sacharynowe malarstwo*

Tyran, który próbuje się przypodobać ludziom przezeń sterroryzowanym, to jedno z najwstrętniejszych zjawisk, jakie tyranii towarzyszą. Może trudno to zresztą nazwać przypodobaniem, agresor bowiem dekretuje raczej bez dyskusji, że od dziś będzie tym dobrym, a w ogóle przecież od zawsze miał w sercu jedynie powszechną miłość i zgodę. To połączenie szantażu i przekupstwa: z jednej strony „a teraz macie się cieszyć albo was pozabijam", a z drugiej „kiedy będą mnie rozliczali, przypominam, że dbałem też o wasze rozrywki".

Znakomity artysta i pisarz Maciej Sieńczyk, kolekcjoner wydawniczych osobliwości, opowiadał kiedyś o szczególnym rodzaju odrazy, jaki towarzyszy kontaktowi z błahymi kolaboracyjnymi pisemkami wydawanymi po polsku w czasach okupacji niemieckiej. Takie materiały parzą dłonie bardziej niż zwyczajna, toporna, nienawistna propaganda, bo przyczyniają się do budowania pozorów, że napastnik dba o tych, których zaatakował, a wręcz jest ich dobroczyńcą, który animuje nawet czas wolny. Nie taki zły ten terror – próbują zalotnie mrugać okiem.

W okupowanym przez Rosję Mariupolu agresorzy zniszczyli dzieła sztuki monumentalnej, które – choć powstawały w czasach sowieckich – były tworzone często przez artystów dysydenckich, starających się wywalczyć maksymalną niezależność. Taki los spotkał mozaiki Ałły Horskiej, artystki bliskiej niezależnemu ruchowi Szistdesiatnyky, za której tajemniczą śmierć w 1970 r. prawdopodobnie odpowiadało KGB. Zniszczyli również ukraińskie murale, nie oszczędzając nawet sympatycznej rękawiczki z ludowej bajki, namalowanej kiedyś przez artystów japońskich.

Mam nadzieję, że żaden drań nie przemaluje tego starego murala o mleku i jeśli coś mu zaszkodzi, to tylko czas

OLGA DRENDA

Dzisiaj uzurpatorzy podający się za wyzwolicieli umajają Mariupol muralami, które przypominają połączenie poetyki socrealizmu z wątpliwą urodą wyrobów graficznych z ChataGPT. Robotnik o łagodnym wejrzeniu odbiera od promiennej rolniczki krągły chleba bochen, radosna para zmierza naprzód, oczywiście pod rosyjską flagą. Jest w nich kłamliwie dobrodziejski ton tyrana, który stara się siłą wymusić dobre samopoczucie, ale przede wszystkim uwłaczająca landrynkowość.

O „cywilnym" malarstwie czasów Trzeciej Rzeszy, tych scenkach rodzinnych i zalotnych aktach, pisano niegdyś, że jest „sacharynowe": przesłodzone, erzacowe, sztuczne. Przypominają się stare zapiski historyka sztuki Andrzeja Banacha, który pisał, że kicz to taki rodzaj produkcji artystycznej, który zazwyczaj jest tworzony przez zawodowców, profesjonalnie, lecz w sposób pozbawiony szacunku dla publiczności. Tyranie są królestwem kiczu, a kicz totalitarny zakłada, że odbiorca jest – lub docelowo ma być – głupi. Oryginalna myśl i ekspresja jest dla takiego ustroju nie do zniesienia. Dlatego podsuwa prostackie apoteozy, którymi stara się uwodzić: jeśli pokazujemy siłę, to w postaci karykaturalnie przerysowanego, kanciastego mocarza, jeśli piękno, to ma to być kobieta z rozwianymi włosami. Nawet gdy są konwencjonalnie ładne, a zazwyczaj są, wszak tworzą je fachowcy – to zza tej politury wyziera coś gorszego niż fałsz, czyli dobrowolna zgoda na ograniczenie swobody wypowiedzi. Ma ci się podobać, bo jak nie, to będzie z tobą źle.

Współczesnym muralom tworzonym w krajach zachodnich zarzuca się dzisiaj często – i nie bez słuszności – zbyt łatwą, banalną urodę, sztampę „z okazji" czy „na zamówienie". Często trudno już nazywać je sztuką ulicy, bo nieraz tracą zupełnie oryginalność pomysłu autorskiego i stają się zwyczajną graficzną przeróbką fotografii. To jednak nie czyni ich propagandą ani kiczem, a po prostu ładną dla wielu miejską tapetą. Konwencjonalne obrazy nie są same w sobie czymś negatywnym, podobają się i stanowią szkielet kultury popularnej. Jest jednak konwencja i konwencja, a różnicę między nimi stanowi – jak pisał niegdyś Stanisław Barańczak – czynnik szacunku dla umiejętności myślenia odbiorcy. Kto wie, może i gdzieś w jakimś nieokupowanym przez żadne wrogie siły mieście maluje się murale z dziewczyną z chlebem czy parę idącą z flagą, lecz nie mają one w sobie tego posmaku przemocowo-lizusowatej sacharyny produkcji rosyjskiej. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

URATOWANA PAMIĘĆ O ZAMORDOWANYM SZTETLU

W Szadowie, sennym miasteczku na północy Litwy, powstało jedno z najciekawszych nowych muzeów w Europie. Historia tego prywatnego projektu przypomina baśń.

TEKST I ZDJĘCIA WOJCIECH KONOŃCZUK Z SZADOWA NA LITWIE

Trudy dojazdu rekompensuje piękno krajobrazu. Na północ od Kowna zaczyna się lesista Żmudź, z rzadko rozsianymi wsiami i miasteczkami. Gołym okiem widać, że gęstość zaludnienia Litwy jest trzykrotnie mniejsza niż Polski. Tutaj, w połowie drogi między Szawlami a Poniewieżem, leży trzytysięczny Szadów (lit. Šeduva).

Miejscowość nie zapisała się w historii w żaden szczególny sposób. Inaczej niż słynne, położone o godzinę jazdy autem, Radziwiłłowskie Kiejdany czy Birże. Tu w miasteczku pozostało niewiele zabytków – dominuje współczesna, dość banalna zabudowa, na której odbijają się trudy codzienności głębokiej litewskiej prowincji.

Na peryferiach Szadowa, z oszałamiającym widokiem na łąki i lasy, wznosi się biała budowla pokaźnych rozmiarów. A jednak trudno o bardziej harmonijne wpisanie tego gmachu – już od pierwszego spojrzenia fascynującego – w jego otoczenie.

Szadowski kirkut jest wyjątkiem

Gmach ten tworzy dwanaście połączonych ze sobą brył. Sprawiają wrażenie zwartej małomiasteczkowej zabudowy – to za sprawą wysokich i spadzistych dachów, pokrytych imitacją gontu. Biel architektury komponuje się z odcieniami zieleni krajobrazu i niebieską otchłanią nieba.

Jednak zanim dojdziemy do budynku, wzrok przykuwa kirkut. W tej części Europy zachowało się niewiele takich małomiasteczkowych cmentarzy żydowskich. Większość została zniszczona przez Niemców w czasie II wojny światowej. Dzieła destrukcji najczęściej dopełnili miejscowi chrześcijanie już po 1945 r., wykorzystując nagrobki jako budulec.

Szadowski kirkut jest wyjątkiem. Na powierzchni ponad hektara zachowało się ponad tysiąc macew, a najstarsze pochodzą z końca XVIII w. Jeszcze niedawno zarastała je wysoka trawa, nad którą z rzadka widać było wrośnięte w ziemię nagrobki pokoleń żydowskich mieszkańców Szadowa.

Dekadę temu macewy pieczołowicie odnowiono, a otaczający je kilkusetmetrowy kamienny mur odbudowano. Dziś cały ten teren, z trawą przystrzyżoną jak na wzorowym angielskim trawniku, wygląda wręcz nierealistycznie. Trudno o analogię z jakimkolwiek innym cmentarzem żydowskim w Europie Środkowej i Wschodniej.

Polskie muzeum wzorem

Bezpośrednio za cmentarnym murem bielą emanuje Muzeum Historii Żydów Szadowa „Utracony sztetl" (The Šeduva Jewish History Museum „The Lost Shtetl"). Zadziwiający budynek, który bez wątpienia zapisze się w historii architektury, to dzieło Rainera Mahlamäkiego.

Ten 69-letni fiński architekt znany jest przede wszystkim jako główny projektant Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin" (w latach 2007-11). Jego praca w Szadowie nie jest przypadkiem ↦

Muzeum w Szadowie, na pierwszym planie odnowiony kirkut. Sierpień 2025 r.

Biały korytarz kończy się szklaną ścianą, przez którą rozpościera się widok na kirkut, łąki i lasy. To powiew optymizmu: żydowski Szadów nie został starty z pamięci. Litwa, sierpień 2025 r.

↦ – to jedno z wielu nawiązań do warszawskiego muzeum. „Polin" stało się bowiem wyznacznikiem wzorców w muzealnictwie związanym z historią Żydów w tej części Europy.

Wokół muzeum w Szadowie rozciąga się ogród pamięci, w którym wśród kwietnych łąk posadzono ponad 200 drzew. Z tej perspektywy budynek na tle nieba zasnutego białymi chmurami wygląda niemal jak przezroczysty. Cały kompleks muzealny liczy ponad cztery hektary – co pokazuje, jak ambitne jest to założenie.

Wypełniona luka

Muzeum „Utracony sztetl" prezentuje historię 300-letniej obecności Żydów w Szadowie. Pretenduje jednak również do tego, aby w reprezentatywny sposób ukazać fenomen tysięcy żydowskich miasteczek rozrzuconych na ogromnym obszarze, który z grubsza pokrywa się z ziemiami dawnej Rzeczypospolitej. Na tej ziemi zamieszkiwała większość ówczesnej żydowskiej populacji świata.

Sztetl był zwykle miejscowością niewielką, o charakterze na poły wiejskim. Zamieszkiwali go w znacznym stopniu Żydzi, czasem jako społeczność dominująca. Był to oddzielny i specyficzny świat, który został w brutalny sposób zamordowany w czasie II wojny światowej przez Niemców.

Szadowskie muzeum wypełnia więc ważną lukę w muzealnictwie dotyczącym historii Żydów w tej części Europy. Słynne instytucje muzealne – poczynając od „Polin" aż po Muzeum Żydowskie w Berlinie, otwarte w 2001 r. – pokazują bowiem głównie życie Żydów w miastach. Tymczasem sztetle pozostają na marginesie.

Sytuację tę zmienia właśnie muzeum w Szadowie – nie ma wątpliwości, że już od dnia swojego otwarcia, zaplanowanego na sobotę 20 września, staje się miejscem niezwykle ważnym.

Opowieść o Szadowie

Aby zobaczyć muzealną wystawę, trzeba – podobnie jak w „Polin" – zejść długimi schodami do poziomu pod powierzchnią ziemi. Tutaj, na 3400 metrach kwadratowych, zespół kuratorów z Litwy we współpracy ze specjalistami z Niemiec, Izraela, Polski i USA zaprojektował nowoczesną ekspozycję o historii żydowskiego Szadowa, a zarazem o historii sztetlu.

Zwiedzający mogą usiąść tu także w niewielkiej sali kinowej, gdzie zobaczą kilkuminutowy film – po części dokumentalny, po części fabularny. Poznajemy w nim losy rodziny szadowskich Żydów od początku wieku XX do Zagłady. Film ten, w reżyserii Amerykanki Roberty Grossmann, powstał na zamówienie szadowskiego muzeum, a jedną z głównych ról wirtuozersko zagrała Karolina Gruszka.

Film towarzyszy również zwiedzającym – muzealna ekspozycja jest poprzeplatana kilku- lub kilkunastominutowymi częściami tej filmowej opowieści, co jest zabiegiem ciekawym i innowacyjnym.

Na wystawie, nad przygotowaniem której czuwała słynna Ralph Appelbaum Associates z Nowego Jorku, zobaczymy głównie stare zdjęcia Szadowa i szadowian, wiele z nich powiększonych do wielkich rozmiarów, którym towarzyszy komentarz historyczny.

„Gdybym był Rothschildem"

Zapoznamy się więc z opowieścią o życiu gospodarczym, społecznym i religijnym (m.in. przez rekonstrukcję wnętrza synagogi), która została wpisana chronologicznie w wielką historię z jej kolejnymi przełomowymi punktami.

Jest tutaj opowieść o zgodnym współżyciu chrześcijan i Żydów (na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego przed rokiem 1941 nie dochodziło do pogromów), o ich udziale w litewskiej wojnie o niepodległość. Znaczna część historii lokalnej została zrekonstruowana na podstawie opowieści nielicznych żyjących świadków oraz ich potomków. Znajdziemy tu też rzadkie artefakty historyczne.

Ważne miejsce w tej opowieści zajmuje masowa migracja, która od końca XIX w. spowodowała napływ – głównie do USA – niemal 2 mln Żydów z Imperium Rosyjskiego, czyli w istocie z ziem dawnego państwa polsko-litewskiego. Biedni żydowscy migranci z takich sztetli jak żmudziński Szadów czy podlaska Orla walnie przyczynili się do stworzenia współczesnej Ameryki.

„Gdybym był Rothschildem..." – takie było marzenie wielu szadowskich Żydów, jak głosi fragment ekspozycji.

Wydaje się, że Szadów znalazł swoich Rothschildów. Muzeum jest bowiem prywatną donacją, choć fundatorzy wolą pozostać anonimowi. Wiadomo jedynie, że właścicielem muzeum jest fundacja ze Szwajcarii, za którą stoją, jak słyszę, „hojni ludzie mający swoje rodzinne korzenie w Szadowie".

Garstka ocalonych

Ostatnia część ekspozycji opowiada o najbardziej tragicznym, bo finalnym okresie historii żydowskiego Szadowa. 24 sierpnia 1941 r. w położonym nieopodal miasteczka lesie rozstrzelanych zostało 664 Żydów – głównie przez litewskich kolaborantów, przy asyście dwóch niemieckich żołnierzy. Po wojnie nie wrócił tutaj nikt.

Na wystawie zobaczymy informacje o 27 sprawcach wymienionych z nazwiska, w tym ich zdjęcia i biografie. Byli to sąsiedzi zamordowanych – szewcy, rolnicy, pracownicy fizyczni, kierowcy. To zabieg odważny i bezprecedensowy, bo potomkowie przynajmniej części z nich nadal mieszkają w Szadowie.

Z egzekucji uratowało się jedynie jedenaścioro Żydów – dwaj weterani walki o niepodległość Litwy, lekarz oraz ich żony i dzieci. Uratowali ich miejscowy ksiądz Mykolas Karosas oraz rodzina Paluckasów. Ocalało również kilkadziesiąt osób, które zostały wcześniej zesłane przez Sowietów na wschód lub zdążyły uciec.

O muzeum w Szadowie będzie zapewne głośno, bo to projekt wizjonerski, którego potrzebowała zarówno Litwa, jak też ten region Europy.

Narracja historyczna w szadowskim muzeum jest rzetelna – uczciwie pokazuje najtrudniejszy rozdział, czyli litewską kolaborację i współudział w Holokauście. Mimo trwającej od lat dyskusji temat ten pozostaje na Litwie bardzo trudny.

Zgrzytem są tu jedynie słowa, że „międzywojenna Polska i komunistyczny Związek Sowiecki stanowiły zagrożenie dla państwa litewskiego" – stawianie obu krajów na jednym poziomie (i jeszcze w takiej kolejności) jest zwyczajnie nieprawdziwe.

Będzie o tym głośno

Ciekawym zabiegiem architekta Mahlamäkiego są dwa przejścia między ekspozycjami. Pierwsze prowadzi przez ciemny, wysoki na kilka metrów korytarz, po szklanej podłodze, pod którą widoczna jest roślinność. To symboliczne nawiązanie do lasu, w którym miejscowi Żydzi zostali zamordowani.

Drugie przejście ma zupełnie innych charakter: wielki biały korytarz kończy się ogromną szklaną ścianą, przez którą rozpościera się widok na kirkut, okoliczne łąki i lasy. To swoisty powiew optymizmu – żydowski Szadów miał zostać starty nie tylko z powierzchni ziemi, ale też z pamięci. To drugie zakończyło się fiaskiem.

O muzeum „Utracony sztetl" będzie zapewne głośno, bo jest to projekt wizjonerski, którego potrzebowała zarówno Litwa, jak też ten region Europy. Po raz pierwszy na taką skalę i z tak wielkimi ambicjami – a także, co równie istotne, dysponując ogromnymi środkami finansowymi – opowiada ono o ważnym rozdziale historii nie tylko Żydów. To także część historii Litwy i Polski.

Wolno sądzić, że szadowskie muzeum stanie się kolejnym – po Muzeum „Polin" – ważnym punktem odniesienia dla innych ekspozycji, które będą powstawać w przyszłości. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ISLAM SAFWAT / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Przed protestami pod hasłem „Blokujmy wszystko!": demonstranci gromadzą się na placu Republiki w Paryżu, 10 września 2025 r.

Paryski klincz

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Przed nowym premierem są dwa wyzwania: Sébastien Lecornu musi uśmierzyć społeczny gniew i wyciągnąć kraj z długów. Tymczasem na skutek przewlekłych problemów wewnętrznych słabnie pozycja prezydenta Macrona w Europie.

Pędząca polityczna karuzela: tak wyglądały ostatnie dni we Francji. Najpierw, w poniedziałek 8 września, upadł centroprawicowy rząd François Bayrou. Przetrwał niecałe dziewięć miesięcy – i tak dużo, bo od początku nie miał większości w parlamencie (to, że mógł jednak zaistnieć, zawdzięczał ustrojowi, gdzie premier jest „pierwszym ministrem" prezydenta).

Już dzień później prezydent Emmanuel Macron w ekspresowym tempie powołał na nowego premiera 39-letniego Sébastiena Lecornu. Swojego wiernego współpracownika i od trzech lat ministra obrony w kolejnych rządach.

Zablokowany kraj

Zaraz potem, w środę, przez cały kraj przetoczyły się manifestacje, blokady drogowe i strajki w transporcie oraz wielu branżach sektora publicznego – pod wspólnym hasłem „Blokujmy wszystko!".

Na ulice Paryża, Marsylii, Lyonu, Nantes i wielu innych miast wyszło protestować w sumie ok. 200 tys. ludzi. Sprzeciwiali się polityce zaciskania pasa, którą próbują forsować Macron, liberalny centrysta, oraz jego kolejne rządy. W niektórych miejscach protestujący niszczyli witryny sklepów i przystanki komunikacji miejskiej, podpalali śmietniki. Policja używała gazu łzawiącego do rozproszenia tłumu. Siły porządkowe zatrzymały ponad 300 uczestników zajść.

Protesty te zaplanowano jeszcze przed zmianą na stanowisku premiera, a wybór na premiera akurat Sébastiena Lecornu

– człowieka prezydenta – jak widać nie uspokoił nastrojów. Wręcz przeciwnie: podczas manifestacji na wielu transparentach widniało hasło: „Macron do dymisji!”.

To nie koniec karuzeli: na czwartek 18 września główne związki zawodowe zapowiedziały kolejne strajki i protesty – przeciwko planowanym w budżecie państwa radykalnym oszczędnościom.

Trzy Francje

Szukając bezpośrednich źródeł obecnego zamętu, należy cofnąć się do czerwca 2024 r.

Wtedy to Macron niespodziewanie rozwiązał parlament i rozpisał przedterminowe wybory. W ich wyniku powstały trzy zwaśnione polityczne bloki: lewicowy (zdominowany przez radykalną Francję Nieujarzmioną pod wodzą Jeana-Luca Mélenchona), blok skrajnie prawicowy (Zjednoczenie Narodowe, partia Marine Le Pen) oraz blok centroprawicowy pod patronatem prezydenta.

Od tamtego momentu stworzenie jakiejkolwiek większości rządowej stało się praktycznie niemożliwe. W efekcie Francja przechodzi kryzys o wielorakim charakterze: polityczny, budżetowy i społeczny. Przy czym ostatni rok był „tylko” jego kulminacją, bo zaczął się on wcześniej – Sébastien Lecornu (rocznik 1986) jest już piątym z kolei premierem, licząc od początku drugiej kadencji Macrona, która zaczęła się wiosną 2022 r.

Jego dwaj poprzednicy – Bayrou, a wcześniej Michel Barnier (obaj skądinąd rówieśnicy: rocznik 1951) – upadli z tego samego powodu: po tym jak opozycja odrzuciła projekty radykalnych (przynajmniej jak na szczodrą Francję, o czym za chwilę) oszczędności budżetowych.

Czy to już bankructwo?

„Stan kraju jest krytyczny”, a powodem tego jest ogromne zadłużenie państwa – grzmiał Bayrou z trybuny parlamentarnej tuż przed przegranym dla siebie głosowaniem nad wotum zaufania. Wcześniej ostrzegał przed „Himalajami długu”, z którymi muszą się zmierzyć Francuzi.

W poniedziałek 8 września za odwołaniem rządu Bayrou głosowała zgodnie opozycja – od partii Le Pen przez socjalistów i Zielonych po radykalną lewicę Francji Nieujarzmionej; w sumie 364 deputowanych. Przeciw odwołaniu głosowało zaś tylko 194 deputowanych, głównie z bloku wspierającego rząd.

Wygląda na to, że Bayrou nie przekonał do swojego projektu przyszłorocznego budżetu – z oszczędnościami w kwocie 44 mld euro – nie tylko większości deputowanych, lecz także opinii publicznej.

Starsi Francuzi pamiętają, że już w 2007 r. ówczesny szef rządu François Fillon oświadczył, że „stoi na czele państwa, które bankrutuje”, i które „od 15 lat przeżywa chroniczny deficyt”. Wtedy jedynie nieliczni wzięli te słowa na serio – przyzwyczajono się, że Francja żyje ponad stan.

Rewia starszych panów

Dziś sytuacja jest inna: temat długu i jego konsekwencji zdominował publiczną debatę. Dlaczego zatem Bayrou poniósł w sprawie budżetu tak spektakularną klęskę?

Były już szef rządu zdenerwował rodaków m.in. propozycją likwidacji dwóch dni wolnych od pracy, w tym Poniedziałku Wielkanocnego. W dodatku zraził sobie Francuzów belferskim tonem. Emeryci zapamiętali mu, że to właśnie ich – zwykłych obywateli z pokolenia baby boomerów – obwinił za narastający latami dług państwa.

Jak na ironię, zarówno 74-letni Bayrou, jak i jego rówieśnik Barnier są reprezentantami tejże generacji. Złośliwie można by powiedzieć, że za ich sprawą Francja przypominała ostatnio rewię starszych panów. Chodzi tu nie tyle o wiek obu premierów (w końcu baby boomerzy rządzą dziś od USA po Chiny), ile o ich konserwatywne poglądy połączone z brakiem charyzmy i słabym słuchem społecznym.

Do niepopularności Bayrou przyczyniła się także tzw. afera Bétharram (od nazwy katolickiej szkoły Notre-Dame de Bétharram, położonej blisko Lourdes). Sprawa dotyczy wydarzeń, w które zamieszany był ponad ćwierć wieku temu, gdy był tam lokalnym politykiem.

Do tej pory wpłynęło ponad 200 skarg dawnych uczniów tej szkoły, którzy twierdzą, że doświadczali przemocy fizycznej lub seksualnej ze strony kadry nauczycielskiej. Bayrou, gorliwy katolik i ojciec dzieci uczących się w tej szkole, twierdził teraz, że stojąc na czele departamentu Pireneje Atlantyckie w latach 90. XX w. nie miał o tym pojęcia. Obciążyły go jednak liczne relacje, łącznie z tą jego własnej córki, która wyjawiła, że również ona była ofiarą przemocy w szkole.

Młody zdolny macronista

Wraz z powołaniem nowego premiera nastąpiła zmiana pokoleniowa. Obejmując urząd, Lecornu oświadczył, że zmieni nie tylko metodę, ale i samą istotę postępowania w kwestii negocjacji budżetowych.

Jego nominacja nie zaskoczyła obserwatorów, gdyż już osiem miesięcy temu był jednym z głównych kandydatów na premiera. Wtedy jednak przegrał na ostatniej prostej z Bayrou.

– Lecornu to zdolny polityk gwarantujący realizację polityki Macrona. Od pierwszej kadencji prezydenta jest jego wiernym „gwardzistą”. Dla Macrona bardzo istotne jest to, że nowy premier nie aspiruje do kandydowania w wyborach prezydenckich w 2027 r., co pozwala uniknąć napięć – mówi „Tygodnikowi” Blanche Leridon, ekspertka Institut Montaigne, think tanku o orientacji liberalnej.

– Niepokojące jest jednak to, że prezydent nominował na premiera ministra rządu, który dzień wcześniej został obalony przez parlament. Zwłaszcza że dzieje się to w kontekście ogólnej nieufności we Francji do całej klasy politycznej, a szczególnie odrzucenia samego Macrona – dodaje Blanche Leridon.

Według prestiżowego ośrodka Cevipof tylko jedna czwarta francuskich wyborców ufa politykom (w Niemczech to 47 proc., we Włoszech 39 proc.). Prezydent Macron ma dziś w sondażach rekordowo niskie poparcie: ok. 20 proc. Na podobnym, a nawet niższym poziomie było poparcie dla Bayrou tuż przed wotum nieufności.

Człowiek z kontaktami

Według francuskiej prasy atutem nowego premiera jest jego szeroka sieć kontaktów – od socjalistów po polityków nacjonalistycznej prawicy.

To on miał być w przeszłości sekretnym pośrednikiem między odwiecznymi wrogami, czyli Macronem a Marine Le Pen. Dziennik „Liberation” twierdził w 2024 r., że Lecornu brał udział w tajnych kolacjach z Le Pen i Jordanem Bardellą, jej następcą. Tygodnik „Le Point” twierdzi nawet, że Lecornu wielokrotnie ↦

LUDOVIC MARIN / AFP / EAST NEWS

Prezydent Emmanuel Macron i Sébastien Lecornu (jeszcze w roli ministra obrony) podczas wizyty w Wietnamie, 26 maja 2025 r.

↦ gościł sekretnie szefostwo tej partii w swoim gabinecie ministra obrony, aby przekonać ich m.in. do wsparcia dla programu zbrojeń.

Lecornu, choć ma opinię zręcznego negocjatora, stoi jednak – podobnie jak wcześniej Barnier i Bayrou – przed arcytrudnym zadaniem: do przyjęcia rygorystycznego budżetu musi przekonać większość parlamentu, od Partii Socjalistycznej po prawicę tradycyjną (neogaullistów), a może nawet partię Le Pen.

– Na przykład socjaliści domagają się nowego podatku dla miliarderów, tzw. podatku Zucmana, który jest nie do przyjęcia dla prawicowych Republikanów. Na razie nie widać chęci do ustępstw z żadnej strony – uważa Blanche Leridon.

Nowy premier, stary dług

Skąd taka presja, wręcz determinacja obozu Macrona, w sprawie cięć budżetowych?

Zadłużenie narasta systematycznie od trzech dekad, za kadencji kolejnych prezydentów – tak z prawicy, jak i z lewicy czy centrum. Dziś sięga równowartości blisko 114 proc. PKB Francji.

Według Eurostatu na początku tego roku wysokość francuskiego długu publicznego, liczonego w stosunku do PKB, plasowała ten kraj na niechlubnym trzecim miejscu w Unii Europejskiej (po Grecji i Włoszech). Prawie dwukrotnie przewyższa on polskie zadłużenie.

Biorąc jednak pod uwagę liczby bezwzględne, dług ten wynosi 3 biliony 346 miliardów euro, co daje Francji niechlubne pierwsze miejsce na Starym Kontynencie.

Francuscy ekonomiści liberalni i prawicowi nie stronią od katastroficznych prognoz. Nicolas Baverez, publicysta centroprawicowego tygodnika „Le Point", ostrzega, że państwo francuskie trafi pod kuratelę Międzynarodowego Funduszu Walutowego – tak jak niegdyś Grecja. Większość specjalistów, w tym Christine Lagarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego (a wcześniej długoletnia szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego), wyklucza taki czarny scenariusz.

– Poziom zadłużenia publicznego jest niepokojący, tym bardziej że około połowy naszego długu posiadają inwestorzy zagraniczni. Przeciętni Francuzi zdają sobie na ogół sprawę, że trzeba uporać się z tym problemem. Sęk w tym, że nikt nie chce za to płacić z własnej kieszeni – mówi „Tygodnikowi" Sandrine Levasseur, ekonomistka z ośrodka badań ekonomicznych OFCE.

Na niekorzyść Francji

Levasseur uważa, że jest jeszcze czas, by uzdrowić finanse. I że jeśli rząd tego nie zrobi, zagraniczni wierzyciele mogą nawet kilkakrotnie podnieść stopy procentowe. – Wszystko zależy od przełamania blokady politycznej. To klucz do rozwiązania kwestii długu – dodaje.

Levasseur zwraca uwagę, że dług publiczny, nawet bardzo wysoki, nie świadczy sam w sobie o zapaści ekonomicznej. Najsilniejsze światowe gospodarki mają nawet większy dług publiczny niż Francja – jak USA (ich dług stanowi równowartość 120 proc. PKB) czy Japonia (ponad 200 proc. PKB). Istotne są też inne kryteria, jak dynamika demograficzna czy perspektywy wzrostu gospodarczego – dziś jednak nad Sekwaną bardzo powolnego.

– Na niekorzyść Francji działa spowolnienie gospodarki, w przeciwieństwie np. do szybkiego wzrostu gospodarczego w takich krajach jak Polska. Z drugiej strony, francuskie społeczeństwo się starzeje, ale współczynnik dzietności jest wciąż na niezłym poziomie prawie 1,7 dziecka na kobietę, podczas gdy Polacy, z 1,1 dziecka na kobietę, mają tu problem, który przyczynia się do zwiększania polskiego długu – dodaje Levasseur.

Ekonomistka uważa, że w dłuższej perspektywie Francja będzie musiała dokonać cięć w wydatkach socjalnych – nawet mimo protestów społecznych.

Tymczasem lewica proponuje, by wprowadzić podatek dla superbogaczy (tzw. podatek Zucmana), który miałoby płacić 1,8 tys. najbogatszych Francuzów. Wynosiłby 2 proc. ich całkowitego majątku (a nie rocznego dochodu).

Lavasseur uważa, że podatek Zucmana mógłby tylko tymczasowo załatać dziurę budżetową. Już teraz obowiązkowe obciążenia podatkowe – łącznie ze wszystkimi składkami – czynią z Francji lidera Europy. A milionerzy nieraz pokazali, że świetnie radzą sobie z tzw. optymalizacją podatkową.

Młodzi i radykalni

Powróćmy do protestów z ostatniego tygodnia. Nasuwa się pytanie: czy w najbliższym czasie Francja znowu stanie w ogniu, jak to było w czasie antyrządowego ruchu kontestacji, tzw. Żółtych Kamizelek, w latach 2018-19?

Obecny ruch „Blokujmy wszystko!" zrodził się spontanicznie w mediach społecznościowych. – Pierwsze badania wskazują, że ruch „Blokujmy wszystko!" mocno się różni się od „Żółtych Kamizelek", gdzie było dużo emerytów i robotników. Tu widać głównie młode osoby z radykalnej lewicy. Nie jest na razie jasne, czego dokładnie domagają się manifestanci. Prócz odsunięcia elit, antykapitalizmu i dymisji Macrona – ocenia Blanche Leridon.

Antyrządowe protesty wspiera 30-letnia Anne, pracowniczka (na tymczasowym kontrakcie) paryskiej instytucji kulturalnej. Jest aktywistką małego kolektywu o radykalnie lewicowych poglądach. Mówi, że choć ma dwa dyplomy, od 10 lat nie może znaleźć stałej pracy i zna wielu takich jak ona „prekariuszy".

– Miliardy w kasie znaleźć łatwo, opodatkujmy bogaczy i wstrzymajmy wydatki na zbrojenia – mówi Anne „Tygodnikowi". Zaznacza, że nie szokuje jej demolowanie przez manifestantów banków czy luksusowych sklepów: – Niszczenie tego mienia, bez fizycznego atakowania personelu, może naprawdę wpłynąć na władze. Bo rząd francuski nic sobie nie robi z pokojowych manifestacji.

Chore ogniwo Europy?

Jak kryzys wewnętrzny Francji wpłynie na jej pozycję w Europie i świecie? Już nie tylko prasa zagraniczna, ale i oponenci Macrona nie wahają się określić kraju jako „chorego człowieka Europy". Tak ujęła to ostatnio na swoim wiecu Marine Le Pen.

– Nie, Francja nie jest chorym człowiekiem Europy, ani nie dożywa jeszcze kresu systemu politycznego V Republiki – protestuje Blanche Leridon. Jednak zgadza się, że problemy wewnętrzne osłabiają wiarygodność Macrona na forum międzynarodowym.

– Jeśli nie jest on w stanie utrzymać porządku we własnym kraju, to jak może aspirować do bycia żandarmem świata? – pyta Leridon, która uważa, że mimo trudności w kraju Macron będzie kontynuować swoją linię w polityce zagranicznej. W tym wspieranie „koalicji chętnych" do misji pokojowej na Ukrainie czy uznanie przez Francję państwa palestyńskiego.

– Te inicjatywy zagraniczne Macrona idą w dobrym kierunku, ale problemem jest jego krucha pozycja na scenie krajowej – ocenia Leridon.

Inaczej mówiąc: Francję czeka w najbliższych miesiącach, a pewnie i latach, pilne sprzątanie własnego podwórka. © SZYMON ŁUCYK

Nietoperzowe potomstwo cierpliwie karmione owadami przez wolontariuszki w charkowskim centrum rehabilitacji nietoperzy. Ukraina, lipiec 2025 r.

Wywiad z wampirem

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA

UKRAINA | Na zewnątrz lecą bomby, a oni leczą wieczernice, karliki i mroczki. Witajcie w charkowskim centrum rehabilitacji nietoperzy.

Zapach w piwnicy przywodzi na myśl ogród zoologiczny, pawilon małych ssaków. Schodząc tutaj, szybko można zapomnieć o tym, co zostawiło się na powierzchni, a czym na co dzień żyją mieszkańcy ponadmilionowego Charkowa.

Na miasto niemal codziennie spada rosyjski dron, bomba lotnicza lub rakieta – lub wszystko naraz i w większej liczbie. W nalotach giną ludzie, niszczeją domy, giną zwierzęta. Niektóre z nich – takie, o których wzmianka zdaje się najmniej oczekiwana, gdy mowa o wojnie – znajdują pomoc właśnie tutaj.

Ściany piwnicy – podparte stertami faunariów, plastikowych pojemników do hodowli i transportu zwierząt, obwieszone kartkami z dokumentacją – mieszczą charkowskie centrum rehabilitacji nietoperzy.

WYBITE OKNA | Tak jak w przypadku całego środowiska naturalnego w Ukrainie, działania wojenne wpływają również na populację tych ssaków. Nie tak oczywisty jest jednak fakt, że najbardziej groźne okazały się dla nich wybite okna – zniszczone przez fale uderzeniowe w opuszczonych mieszkaniach, których właściciele wyjechali w spokojniejsze miejsca.

– Najczęściej dochodzi do tego podczas jesiennych migracji – tłumaczy Weronika. Drobna, w kolczykach z ptaszkami, należy do zespołu biologów, którzy tworzą to centrum rehabilitacji.

– Nietoperze wlatują do mieszkania i tam hibernują, a ich kolonia może ↦

↦ liczyć nawet kilka tysięcy. To spory problem, gdy ludzie postanawiają wrócić do mieszkania i zastają w nim zgraję nietoperzy – opowiada Weronika.

Niektórzy szukają pomocy – i wtedy zwracają się do nich. – Ale zdarzają się też takie przypadki, jak ten zeszłej jesieni – mówi Weronika. – W Połtawie, mieście oddalonym od Charkowa o 140 km, kobieta znalazła w mieszkaniu wielką kolonię hibernujących stworzeń i postanowiła po prostu wyrzucić wszystkie przez okno.

SETKA OCALONYCH | Weronika: – Nietoperze mają kilka stanów fizjologicznych. Podczas hibernacji temperatura ich ciała spada do temperatury otoczenia. W tym stanie nie mogą być aktywne, nie mogą latać ani przyjmować pokarmu. Jest to stan całkowitej bezczynności, a powrót do aktywności zajmuje im nieco czasu.

Od chwili, gdy nietoperz zostanie zaniepokojony lub wybudzony w inny sposób, minie mniej więcej kwadrans, tłumaczy biolożka. To za mało, aby dał sobie radę, jeśli nagle zostanie zdjęty ze ściany i wyrzucony przez okno.

– Wtedy w Połtawie nie udało się uratować kilkuset nietoperzy – wspomina Weronika. – Zginęły od obrażeń, jakie odniosły podczas uderzenia o ziemię. Na widok takiej ilości nieruchomych nietoperzy na ziemi ktoś zadzwonił do nas.

Setka zwierząt, która ocalała, trafiła do nich na rehabilitację. – Przez pierwszą dobę pracowaliśmy na okrągło, bez chwili przerwy. Wszczęto też sprawę karną, bo to zwierzęta chronione. Nie wolno ich dotykać, a co dopiero robić im krzywdę.

Z WŁASNEJ RĘKI | Aby unikać takich sytuacji, charkowscy biolodzy – poza rehabilitacją – zajmują się też edukacją. Chcą, mówi Weronika, szerzyć wiedzę o gatunkach nietoperzy rozpowszechnionych w Ukrainie. Wykorzystują do tego Facebook i Instagram (ich profil nazywa się Ukrainian Bat Rehabilitation Centre).

Weronika: – Chcemy też, żeby zamiast się bać, ludzie zwyczajnie je polubili. Obok pokazywania naszej pracy w mediach społecznościowych, prowadzimy prelekcje w szkołach, organizujemy różne wydarzenia nawiązujące do dni poświęconych nietoperzom.

Weronika należy do zespołu biologów, którzy tworzą charkowskie centrum rehabilitacji nietoperzy. Ukraina, lipiec 2025 r.

Pod koniec sierpnia miała miejsce Międzynarodowa Noc Nietoperzy, a we wrześniu poświęcony jest im cały tydzień.

Weronika: – Współpracujemy z charkowskim ekoparkiem, który udostępnia nam wielką klatkę, w której możemy wypuścić nietoperze i sprawdzać, czy są już zdolne do lotu. Przy każdej takiej okazji zbierają się ludzie, a my opowiadamy o naszej pracy i życiu naszych podopiecznych.

W charkowskim ekoparku, a także w innych miastach organizują też uroczyste wypuszczanie tych nietoperzy, które pomyślnie przeszły rehabilitację. To znaczy: są zdolne latać i żyć samodzielnie.

Weronika: – Przy takich okazjach pojawiają się czasem setki chętnych, żeby z własnej ręki wypuścić nietoperza, który poleci, by żyć na wolności.

PUŁAPKI | O ile jesień to sezon migracji i tym samym czas wzmożonej pracy przy rehabilitacji, o tyle lato to sezon badawczy.

Weronika: – Latem większość naszych biologów jest na wyjazdach, badają nietoperze w różnych regionach Ukrainy. W niektórych prowadzimy całoroczny monitoring. Ponadto na terenie ośrodka mamy możliwość prowadzenia badań eksperymentalnych. Nasi biolodzy wydali już niejedną publikację naukową, w tym w „Journal of Applied Animal Ethics Research" z 2022 r.: o tym, jak zniszczone wojną środowisko miejskie w Charkowie staje się śmiertelną pułapką dla nietoperzy.

Według tych badań, niemal połowa budynków wykorzystywanych jako zimowiska dla nocka pospolitego została częściowo lub całkowicie zniszczona przez ostrzały, co mogło doprowadzić do śmierci ok. 7 tys. nietoperzy.

– Do tego dochodzą przypadki uwięzienia nietoperzy w zniszczonych budynkach. Najczęściej problem dotyczy okien starego typu z podwójną szybą – tłumaczy Weronika. – Nietoperze wlatują między szyby i potem nie mogą się z nich wydostać.

W PODZIEMIACH | W Ukrainie występuje 28 gatunków nietoperzy. Najpopularniejsza jest wieczernica ruda (*Nyctalus noctula*, po polsku borowiec wielki), którą spotkać można także w Polsce. Podobnie zresztą jak większość innych tutejszych gatunków.

Weronika: – To także najpopularniejszy z gatunków, jakie trafiają do na-

W charkowskim centrum rehabilitacji nietoperzy, lipiec 2025 r. W tle dwie nastoletnie wolontariuszki cierpliwie karmią owadami trzymane w dłoniach malutkie nietoperze.

szego centrum. Żyją w miastach, zazwyczaj w dużych koloniach. Zresztą, zaraz jedną pokażę. Znajdziemy kogoś pięknego...

Weronika wkłada rękawiczki. – Poza tym dość często mamy w Charkowie do czynienia z karlikiem średnim (*Pipistrellus kuhlii*) oraz z mroczkiem późnym (*Eptesicus serotinus*) z rodziny mroczkowatych, do której należy również wieczernica.

Choć w regionie charkowskim nie ma górskich jaskiń, a więc nie ma też zamieszkujących je gatunków, to na północ od miasta można spotkać wielkie kolonie zimujące w sztucznych podziemiach. Są monitorowane przez naukowców.

Weronika: – Tak było do czasu, gdy miejscowość Lipce, w której znajdowały się takie podziemia, nie znalazła się na linii frontu. W maju 2024 r. Rosjanie przeprowadzili tam z zaskoczenia ofensywę. Podziemia zostały zrujnowane.

SSAKI-SIEROTY | Wieczernica przemawia do mnie w swoim piskliwym narzeczu, przebiera łapkami, szczerzy zęby. Wyciągnięta z zawieszonego w niewielkim kontenerze szmacianego woreczka, w którym mieszka, siedzi jednak grzecznie na dłoni Weroniki. Jak każdy nietoperz w tym centrum, nie może latać – ma zranione skrzydło. Zniecierpliwiona, wierci się.

Na drugim krańcu stołu dwie nastoletnie wolontariuszki cierpliwie karmią owadami trzymane w dłoniach malutkie nietoperze.

– Akurat mamy pod opieką kilkoro dzieci, które urodziły się u nas lub zostały przywiezione z terenu, gdzie straciły mamę. I teraz nam przyszło być ich mamami – mówi jedna dziewczyn.

Piastuje w dłoniach małego ssaka, któremu aż uszy się trzęsą, a w powietrzu rozchodzi się odgłos zapamiętałego mlaskania.

Pod stołem coś przebiega. Weronika robi niewyraźną minę i wyjaśnia: – Nasza sąsiadka z góry hoduje egzotyczne zwierzęta, które karmi myszami. Zdarza się, jak widać, że któraś z nich w pogoni za życiem ucieknie do nas.

TAJEMNICZE I NIETYPOWE | – Dlaczego akurat nietoperze? – pytam. Odpowiedzi Weroniki towarzyszy jednostajny pisk dobiegający z kilkudziesięciu klatek i faunariów. Przypomina dźwięk cykad, tylko nieco cieplejszy w tonie. Obecnie pod opieką centrum jest około pięćdziesięciu osobników.

Dlaczego więc one? – Bo to bardzo ciekawe i bardzo tajemnicze zwierzęta. Nietypowe nie tylko dlatego, że są jedynymi ssakami posiadającymi umiejętność lotu i nie do końca wiadomo, jak w ogóle mogło to się stać i kto jest ich przodkiem pośrednim.

Okres godowy nietoperze odbywają nie wiosną, jak większość gatunków, lecz jesienią. Weronika: – Wtedy też śpiewają swoje pieśni godowe, podobnie do ptaków. W dodatku występuje u nich zjawisko tzw. ciąży odroczonej lub odłożonego rozwoju zarodka. Do zapłodnienia dochodzi jesienią, ale ciąża zaczyna się dopiero wiosną, po wybudzeniu z zimowej hibernacji.

Równie ciekawy jest proces regulacji temperatury ich ciała. – Nietoperze umieją przeżyć i przy minusowych temperaturach, i przy kilkudziesięciu stopniach na plusie. Akurat wczoraj był skwarny dzień, byłam na ekspedycji, badaliśmy kolonię mroczków późnych żyjącą na szczycie nagrzanego wzniesienia. Nam, ludziom, ciężko było wytrzymać. A one spokojnie tam sobie siedziały.

TROCHĘ NADZIEI | Wojna, której skutki dotykają każdy gatunek, od *Homo sapiens* po *Myotis myotis*, sprawia, że od lutego 2022 r. do tej przytulnej piwnicy w południowej części Charkowa trafia więcej poszkodowanych nietoperzy niż wcześniej.

Od tego momentu więcej osób dowiedziało się też o istnieniu centrum. Zespół, który pracuje w takich okolicznościach, zyskał więcej uznania – czego wyrazem są też zaproszenia na zagraniczne konferencje naukowe, propozycje współpracy. Także pomoc finansowa – potrzebna, bo praca w centrum odbywa się na zasadach wolontariatu.

Można by sądzić, że w samej Ukrainie działalność centrum mogłaby wzbudzać irytację, że ktoś mógłby pytać: jak można zajmować się nietoperzami, gdy giną ludzie. Tak jednak nie jest – najczęściej wzmianka o nich wzbudza uśmiech na twarzy. – Może dlatego, że to przynosi ludziom jakąś nadzieję – zastanawia się Weronika. – Że mimo wojny ktoś przejmuje się kimś tak malutkim.

© ANTONINA PALARCZYK

Od domu narodzin do pośmiertnej maski

O spacerach i wycieczkach śladami Marcina Lutra opowiadają Katharina Scholz i Annett Morche-Ruthmann

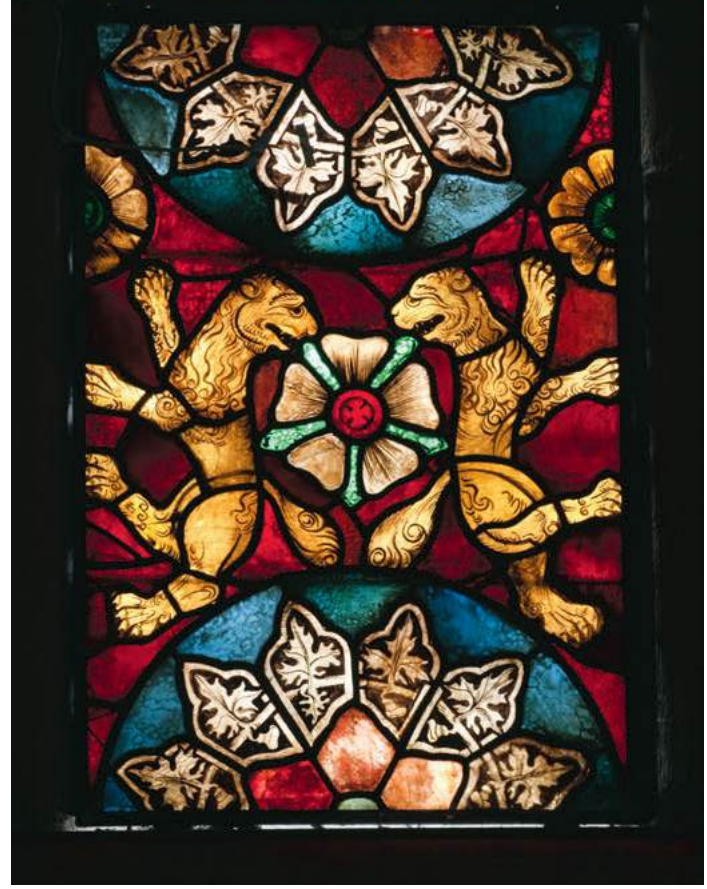

TOMA BABOVIC / THURINGIAN TOURISM GMBH

Fragment witraża w kościele w Erfurcie.

Jacek Taran: Dlaczego warto zacząć podróż śladami Marcina Lutra właśnie w Wittenberdze?

Katharina Scholz: Wittenberga to idealny punkt wyjścia dla każdego, kto chce podążać śladami Lutra przede wszystkim dlatego, że to właśnie tutaj zaczęła się reformacja. To miasto jest prawdziwą jej kolebką. To tutaj na drzwi kościoła zamkowego Luter przybił 95 tez, które stały się początkiem reformacji. Dla odwiedzających dużym atutem jest bliskość Berlina – do Wittenbergi można dotrzeć pociągiem w mniej niż godzinę, co czyni to miejsce idealnym dla zagranicznych gości chcących poznać Lutherland.

Możemy tu zobaczyć dom, w którym Luter mieszkał z rodziną.

Tak, możemy zwiedzać Dom Lutra, który był jego domem przez ponad 35 lat. Początkowo był to klasztor Augustianów, który po rozwiązaniu stał się miejscem zamieszkania Lutra, jego żony Katarzyny von Bora, ich sześciorga dzieci oraz kilku studentów. Obecnie Dom Lutra jest największym muzeum poświęconym Reformacji i znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Odwiedzający mogą zobaczyć oryginalne pomieszczenia, jak pokój Lutra, w którym prowadził słynne „rozmowy przy stole". Niestety tymczasowo Dom Lutra jest zamknięty z powodu renowacji. Ponowne otwarcie planowane jest na wiosnę 2027 roku.

Możemy też przeczytać ważny cytat na wieży kościoła zamkowego.

Został tam upamiętniony pierwszy wers jednego z najsłynniejszych hymnów Marcina Lutra. Brzmi on: „Warownym grodem jest nasz Bóg, tarczą i orężem" (*Ein feste Burg ist unser Gott, ein gute Wehr und Waffen*).

Po Wittenberdze warto pojechać do Eisleben.

Eisleben to miejsce urodzenia i śmierci Marcina Lutra. Urodził się 10 listopada 1483 roku i w miejscowym kościele śś. Piotra i Pawła został ochrzczony. Choć jego rodzina wkrótce potem się wyprowadziła, miasto pozostało ważne jako miejsce jego pochodzenia. Luter powrócił do Eisleben pod koniec życia i tam zmarł 18 lutego 1546 roku, podczas mediacji sporu. Dziś w Eisleben można zwiedzić kilka ważnych miejsc związanych z Lutrem: dom narodzin, dom śmierci oraz kościoły, gdzie miał miejsce jego chrzest i gdzie głosił ostatnie kazania.

Jest tu też słynny „kościół z basenem" – skąd ta nazwa?

Ten przydomek „kościół z basenem" odnosi się do kościoła śś. Piotra i Pawła, słynącego z historycznej chrzcielnicy, w której ochrzczono Marcina Lutra. Niedawno w podłodze zainstalowano również basen chrzcielny – podczas chrztu zarówno pastor, jak i chrzczona osoba wchodzą do wody razem, podobnie jak podczas chrztów w rzece Jordan.

Jak dziś wygląda dom urodzenia Marcina Lutra. Czy od XV wieku dużo się tam zmieniło?

W 1689 roku pożar miasta niemal całkowicie zniszczył oryginalny późnośredniowieczny dom szachulcowy. Został on później odbudowany jako miejsce pamięci Lutra i dziś pełni funkcję muzeum. Znajduje się w nim ponad 250 eksponatów oraz wiernie odtworzone mieszkanie, ukazujące historię rodziny Lutra oraz tradycje górnicze regionu Mansfeld. Zwiedzający mogą dowiedzieć się, jak silne były więzi Lutra z rodzicami i jego ojczyzną – to coś, co on zawsze bardzo mocno podkreślał.

I to tutaj, w kościele św. Andrzeja, Luter wygłosił swoje ostatnie kazanie.

A dokładnie cztery ostatnie kazania, tuż przed swoją śmeircią w lutym 1546 roku. Ustanowił też dwóch pastorów. Również w tym kościele jego ciało po śmierci zostało wystawione przed przetransportowaniem go do Wittenbergi, gdzie został pochowany.

Erfurt to jedno z kluczowych miejsc w życiu Lutra.

Annett Morche-Ruthmann: Miał siedemnaście lat, kiedy przyjechał tu w 1501 roku, by zapisać się na studia na uniwersytecie. Wówczas Erfurt był tętniącym życiem miastem. Po czterech latach studiów podstawowych siedmiu sztuk wyzwolonych, rozpoczął zgodnie z wolą ojca studia prawnicze. Wkrótce jednak zmienił zdanie i postanowił zostać teo-

MATERIAŁ PROMOCYJNY

logiem i mnichem. Spędził w Erfurcie około dziesięciu lat. Tutaj odkrył swoje powołanie i później często nazywał to miasto swoim „duchowym domem".

Podobno jego życie odmieniła burza z piorunami – opowiesz tę historię?
To znana legenda. 2 lipca 1505 roku Luter wracał pieszo do Erfurtu po wizycie u rodziców. W okolicach wioski Stotternheim zaskoczyła go gwałtowna burza. Jeden z piorunów prawie go trafił. Wtedy padł na kolana i modlił się do św. Anny, patronki górników – co było logiczne, ponieważ jego ojciec pracował w górnictwie. W strachu przed śmiercią zawołał: „Ratuj mnie, św. Anno, a zostanę mnichem!". Jego prośby zostały wysłuchane i nie było wyjścia. Przynajmniej tak później tłumaczył ojcu, dlaczego zrezygnował z kariery prawniczej. Historycy uważają, że było to tylko usprawiedliwienie, a tak naprawdę Luter już wcześniej bardziej interesował się teologią niż prawem. Dziś w Stotternheim (obecnie dzielnica Erfurtu) o miejscu tym przypomina pamiątkowy kamień.

Czy możemy dziś po Erfurcie spacerować śladami Lutra?
W Erfurcie jest wiele miejsc związanych z Lutrem, które można zobaczyć i z pewnością będzie to też przyjemny spacer po starym mieście. Przede wszystkim klasztor Augustianów, gdzie w 1505 roku został nowicjuszem. Obecnie jest tu muzeum, ośrodek konferencyjny i miejsca noclegowe. W pobliżu znajduje się stare łacińskie przedmieście, gdzie mieściły się kolegia uniwersyteckie, oraz kościół św. Michała, który był i nadal jest kościołem uniwersyteckim. Szczególnie jego gotycki dziedziniec to prawdziwa perełka. Naprzeciwko znajduje się Collegium Maius, dawny główny budynek uniwersytetu. Dziś są w nim biura Kościoła ewangelickiego. Kulminacyjnym punktem każdego spaceru „śladem Lutra" jest katedra Mariacka, gdzie w 1507 roku Luter został wyświęcony na księdza. W jej wieży znajduje się jeden z największych średniowiecznych dzwonów kościelnych na świecie, z 1497 roku – można go usłyszeć w święta kościelne i podczas święceń.

Luter zachwycał się też witrażami tego kościoła. Podobno są przepiękne.
To prawda, są zachwycające. Pochodzą z początku XIV wieku i są prawdziwymi arcydziełami. Jeden z nich to bardzo znany „Witraż lwów i papug". Lwy symbolizują Chrystusa, „lwa z Judy", papugi nawołują do trwania w wierze, a róże i lilie symbolizują czystość Maryi. Uważa się, że róża z tego witrażu zainspirowała Lutra do stworzenia herbu rodowego – Róży Lutra.

Po Erfurcie warto odwiedzić Eisenach i zamek Wartburg.
Luter przebywał w Eisenach dwukrotnie. Po raz pierwszy w 1498 roku, gdzie przez trzy lata uczył się w Szkole Łacińskiej. Później, w czasie burzliwego okresu Reformacji, po wydaniu wyroku na Lutra i uznaniu go za heretyka, książę Fryderyk II Saski ukrył go w zamku Wartburg. Luter spędził tam 10 miesięcy – od maja 1520 do marca 1521 roku.

Dlaczego musiał się ukrywać?
W 1520 roku jego życie było zagrożone – został obłożony cesarską banicją. Fryderyk chciał go chronić przed prześladowcami. Wartburg był wówczas miejscem niemal zapomnianym. Zorganizowano sfingowane porwanie, a Luter „zniknął" z życia publicznego. W zamku nosił ubrania niższego szlachcica, zapuścił brodę i żył pod fałszywym imieniem Junker Jörg.

I nie próżnował. Przetłumaczył wówczas Nowy Testament.
Zrobił to w bardzo krótkim czasie – w jedenaście tygodni. Dzięki wynalazkowi druku, jego przekład szybko rozprzestrzenił się w niemieckich krajach. Luter stworzył nowe słowa i zwroty, kładąc podwaliny pod wspólny język pisany Niemców – to jedno z jego największych osiągnięć kulturowych.

Dom Lutra w Eisenach to dziś muzeum.
Historyczny dom Lutra z niskimi sufitami i skrzypiącą podłogą oddaje ducha XVI wieku. To jeden z najstarszych zachowanych budynków w Turyngii. Pochodzi z połowy XIII wieku. Luter mieszkał tam jako chłopiec u zamożnej rodziny Cotta. Wspominał ten czas z sympatią. Dziś jest tam muzeum, które w 2015 roku zyskało nowoczesną dobudówkę z wystawą „Luter i Biblia". Ekspozycja jest interaktywna, multimedialna i bardzo przystępna.

W Halle można zobaczyć odcisk dłoni Lutra – skąd się tam wziął?
Katharina Scholz: Odcisk dłoni i maska pośmiertna Marcina Lutra znajdują się w kościele Mariackim w Halle (Saale). Po jego śmierci w 1546 roku, w drodze do Wittenbergi, gdzie został pochowany, jego ciało na jedną noc wystawiono właśnie tam. W tym czasie wykonano odcisk dłoni i maskę – oba obiekty są przechowywane do dziś. W kościele znajduje się również ambona, z której Luter prawdopodobnie głosił kazania, oraz najstarsza protestancka biblioteka kościelna w Niemczech – Biblioteka Mariacka.

W drodze można też odwiedzić miejsca niekoniecznie związane z Lutrem, jak Dessau, Weimar czy Naumburg. Które z nich warto polecić?
Podążając „Szlakiem Lutra", warto zahaczyć o te miejsca. Miłośnicy Bauhausu powinni odwiedzić Dessau i Weimar. Bauhaus powstał w Weimarze w 1919 roku, a w 1925 przeniósł się do Dessau. W obu miastach są świetne muzea i budynki z epoki, m.in. Domy Mistrzów w Dessau, gdzie mieszkali Gropius, Feininger, Klee i Kandinsky. A jeśli ktoś lubi średniowieczną architekturę sakralną, to na pewno zachwyci go katedra w Naumburgu. Imponująca romańsko-gotycka świątynia z realistycznymi posągami fundatorów, została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Naumburg leży też w najdalej na północ wysuniętym regionie winiarskim Niemiec. Dobra wiadomość – wszystkie te miejsca są blisko siebie, więc łatwo je wpisać w jedną podróż. ©℗

Annett Morche-Ruthmann od 27 lat pracuje w branży turystyki międzynarodowej, a ostatnie 10 lat poświęciła swojej małej ojczyźnie, Turyngii. Temat „Marcin Luter" towarzyszy jej od początku i nadal odgrywa ważną rolę w jej pracy.

MATERIAŁY PRASOWE X2

Katharina Scholz jest odpowiedzialna za marketing zagraniczny Saksonii-Anhalt. Marcin Luter i autentyczne miejsca Reformacji odgrywają dużą rolę w strategii tego kraju związkowego.

Luther land
Więcej informacji o atrakcjach turystycznych na **Szlaku Lutra**: www.luther-land.com

ROZMOWA

KOLEJNY LEVEL ŻYCIA

TOMASZ KOT, AKTOR:

Od samego początku, od momentu wejścia na scenę, nie wchodzisz na nią, tylko w pewnym sensie z niej znikasz.

ANNA GOC: Co to za pałki?

TOMASZ KOT: Po naszym spotkaniu mam zajęcia z gry na perkusji. Dotąd myślałem, że pewnych rzeczy nigdy się nie nauczę. Gdy ktoś mnie pytał, na przykład, czy śpiewam, odpowiadałem, że śpiewam, ale raczej nie śpiewam. I cieszyłem się, że proszą mnie o to tylko w reklamach, które trwają do trzydziestu sekund.

Teraz, dzięki scenariuszom, mam okazję wracać do niektórych nieosiągalnych wcześniej rzeczy i okazuje się, że one są w zasięgu.

Ciekawi mnie, dlaczego dawniej nie wierzyliśmy w to, że potrafimy się czegoś nauczyć, a teraz się nam udaje. Być może z czasem przybywa potrzebnego luzu.

Zwłaszcza jeśli byliśmy wychowywani na dzieci grzeczne i najlepiej takie, z których zachowania wszyscy są zadowoleni.

A byli zadowoleni?

Ze mnie? Niekoniecznie. W liceum czułem dużą presję, żeby nie być aktorem. I sam myślałem, że się do tego nie nadaję.

Dlaczego?

Bo jestem nieśmiały.

To jest przeszkoda?

Mam wrażenie, że część moich koleżanek i kolegów ma tak umocowane ego, że ono pomaga im błyszczeć. Są świetni w tym, co robią, a ego dodatkowo wypycha ich przed szereg. I nie mówię tego prześmiewczo, tylko z podziwem. Wydaje mi się, że to jest potrzebne w tej robocie.

Co w tym czasie robi Twoje?

Gdy dostałem pierwszą nagrodę indywidualną, byłem tak oszołomiony, że wymyśliłem sobie, że mój zespół ją z kimś ustalił, żeby pomóc mi się przełamać.

Boję się zapytać, co myślałeś po „Zimnej wojnie".

Im bardziej się idzie w górę, im częściej się gra główne role, im większe się osiąga sukcesy, tym mocniej czuje się takie: „nie ma zmiłuj".

Co się wtedy robi?

Trzeba się nauczyć wielu rzeczy, na przykład jak zarządzać snem, żeby dać radę. Albo jak pogodzić się z tym, że nie ma szans odpowiedzieć na wszystkie maile i wiadomości.

W Cannes, jeszcze przed Oscarami, wywiady były ustalone co do minuty. Brazylijczycy – siedem minut, Hiszpanie – dziesięć minut, bo wynegocjowali te kilka minut więcej. Między kolejnymi – trzydziestosekundowe przerwy. Za plecami stawał facet ze stoperem i gdy się zbliżał koniec rozmowy, najpierw był sygnał „*last minute*", a po chwili dźwięk końca rozmowy, przerwa i kolejna osoba.

I jak się z tego wychodzi?

Percepcja była znokautowana i leżała na deskach. Z książki „Pozwól, że ci opowiem... bajki, które nauczyły mnie, jak żyć" Jorge Bucaya zapamiętałem opowieść Aborygenów. Uważają oni, że ludzie powinni robić co jakiś czas przymusowe przystanki, by dusza mogła nadążyć za dużo szybciej poruszającym się ciałem.

Gdy moja żona była w ciąży, miałem myśl, że gdy urodzi się nasza córka, żona będzie o niej wiedziała wszystko, bo były połączone. I że powinienem zacząć się przygotowywać do pojawienia się człowieka w naszym domu, także pod tym kątem – że będę miał dla niego zawsze czas.

Potrafisz w przystanki?

Mamy taką zasadę: by mieć czas dla rodziny, po każdym filmie robię pauzę.

Ale jest też tak, że samotność mi nie przeszkadza, wiesz? Coraz więcej mówi się o introwertykach, o tym, jak przeżywają kontakt z innymi ludźmi. Odnajduję w tym opowieść o sobie.

Przez długie lata nie wiedziałem, jak się zachować przy oklaskach. Miałem z tym problem jeszcze w Krakowie, już jako etatowy aktor. Denerwowała mnie nie tylko umowność tej sytuacji. Przecież ludzie nie muszą bić braw. W końcu zapłacili za bilet, poświęcili swój czas, znaleźli opiekunkę dla dziecka i przyszli na przedstawienie, które może się okazać kiepskie.

Gdy bili brawo, nie wiedziałem, co zrobić ze sobą, ze swoim ciałem. Aż w końcu ktoś mi powiedział – kłaniasz się, bo w ten sposób dziękujesz. I teraz już zawsze zginam się w pół i po cichu powtarzam: „dziękuję".

Skoro nie wyobrażałeś sobie siebie jako aktora, to jak znalazłeś się na scenie?

W dużym skrócie: przyszedłem do legnickiego teatru i powiedziałem, że chciałbym tylko popatrzeć.

Popatrzeć?

Tak, ale nie tylko jako widz. Dodałem, że fascynuje mnie praca aktora. I jeszcze: że jeśli będą potrzebowali pomocy, w czymkolwiek, to ja chętnie.

Odkryłem to miejsce dzięki mojemu poloniście z liceum. Od momentu, kiedy pozwolili mi przychodzić na próby, żyłem tylko tym. Czekałem na każdy wtorek i na każdy piątek. W czwartej klasie grałem już zawodowo w jednym przedstawieniu, spędzałem prawie całe dnie w teatrze. Przyciągnęli mnie.

Czym?

Mojego kolegę z podstawówki nauczyciele tępili tylko dlatego, że nosił długie włosy. A do teatru przychodzili ludzie kolorowi i wolni. Fascynowało mnie to, że przez chwilę mogłem się przykleić do tej grupy.

Jednak siebie, który wychodzi na scenę i na którego wszyscy patrzą, nie potrafiłem sobie wyobrazić.

I nagle: jeden z członków kółka teatralnego przy legnickim teatrze dostał się na studia i trzeba było ratować spektakl. „Ten długi Tomek – wskazał ktoś na mnie – on już zna wszystkie teksty na pamięć".

Myślałem, że umrę ze strachu.

Strach bywa bliski fascynacji.

Byłem przerażony. Wcześniej zagrałem tylko w jednej szkolnej scence, która trwała pięć minut. I to dziewczynę. Pamiętałem, że przebranie się w sukienkę wcale mi nie przeszkadzało. Raczej poczułem takie: o wow, przez chwilę to nie jestem ja.

Mieliśmy na język polski przeczytać „Makbeta". Przewracałem kolejne strony i nie wiedziałem, kto tu do kogo mówi, o co w tym wszystkim chodzi. Jak mnie to irytowało! Żeby zapamiętać kolejne głosy, zacząłem się wygłupiać. „Blablabla" – to będzie wiedźma, „łułułu" – król. Czytałem i wykrzykiwałem, miny robiłem, machałem rękami. Coraz bardziej się w tym rozpędzałem. I nagle zacząłem rozumieć, o co w tej historii chodzi. A więc tak się robi teatr!

Miałem wtedy szesnaście lat. Odtąd wszystko, co czytałem, próbowałem sobie ↦

AGNIESZKA KOT

↦ wyobrazić, jak bym to zagrał. Wirus teatru wszedł do mojej głowy.

I jak Ci było na prawdziwej scenie?

Rzeczywiście znałem już tekst na pamięć, ale wejście na scenę oznacza nauczenie się całej dynamiki zakulisowej. Zaczynasz się orientować, że jeśli wchodzisz tędy, to ktoś musi ci pomóc z tym, a wtedy światło tu, a spojrzenie – w tamtą stronę.

Jest jedna rzecz, która bardzo mnie porusza, tym bardziej że zdałem sobie z niej sprawę dopiero niedawno, po rozmowie z koleżanką po fachu. Od samego początku, od momentu wejścia na scenę, chodziło o coś innego – nie wchodzisz na scenę, tylko w pewnym sensie z niej znikasz. Nie ma ciebie. Ty i twoje życie, radości i napięcia, zostają w garderobie na najbliższe dwie godziny.

Gdy grałem po raz pierwszy, nie potrafiłem tego tak nazwać, ale intuicyjnie to czułem. Człowiek wypuszcza siebie jak latawca.

Tak lekko?

Masz immunitet roli, możesz zrobić w zasadzie wszystko. Być kimś złym, kimś dobrym. Nie podlegasz żadnej ocenie. Świat jest ułożony i dokładnie wiesz, co ludzie wokół ciebie będą mówić, wiesz, jak zareagują.

Czy to nie jest fascynujące? Dla człowieka, który się krępuje, jak zagadać do dziewczyny?

Trudno mi to złapać, że zostawiasz siebie w garderobie.

Biegasz po scenie i krzyczysz „aaaa" (*krzyczy*). Jasne, na co dzień też biegasz i krzyczysz. Możesz nawet wrzeszczeć: „aaaaa" (*wrzeszczy*). Ale to co innego, gdy robisz to, grając.

Od tamtej pory miałem takie uczucie: dzisiaj gram! Nie jest ważne, jaka to rola. Główna, drugoplanowa. Mogę sobie być kimś złym i gównianym. Mogę z pożądaniem patrzeć na królową, na co w życiu bym sobie nie pozwolił. Mogę wszystko, bo nikt mnie nie będzie oceniał.

Pamiętaj, byłem wtedy gościem, który nie zdał matury i przez pół roku był w niższym seminarium duchownym.

I co ten gość o sobie myślał?

Nie miałem pojęcia, co mnie czeka w życiu.

Skończyłem właśnie śnić sen o malarstwie, bo moi rodzice nie zgodzili się na to, żebym poszedł do szkoły plastycznej i zamieszkał w internacie. W Legnicy nie było takiego liceum.

Bardzo chciałeś?

Szykowałem teczkę. Zauważył mnie na zajęciach plastycznych w domu kultury nasz nauczyciel. „Chodź tu młody, warto poćwiczyć, bo tu jest talent" – powiedział. A ja mu uwierzyłem.

Usłyszałem od rodziców, że to nie ma sensu. Oczywiście byłem załamany, ale już na studiach cieszyłem się, że tak wyszło, życie pewnie poszłoby innym torem i być może nigdy nie trafiłbym do teatru.

Teraz myślę, że to jest tak, jak z tą niezdaną maturą. Na linii życia nigdy nie wiadomo, co było dla nas dobre, a co złe. To się okazuje dużo później.

Seminarium to był Twój wybór?

Byłem wierzący i byłem z wierzącej rodziny. Miałem wszystkie stopnie, od ministranta do lektora. Pomyślałem, że skoro nie liceum plastyczne, to pójdę do seminarium niższego. Miałem takie pragnienie – wylądować gdzieś na misji jak mój „wujek", czyli franciszkanin Zbyszek Strzałkowski, przyjaciel ojca. Byłem bardzo gorliwy.

Szybko się jednak okazało, że i seminarium nie jest dla mnie.

Miałem poczucie, że tu się nie nadaję, tu się nie nadaję, a tam mi iść nie wolno. Że jestem bez swojego miejsca, bez wsparcia.

Rodzice chodzili na premiery?

Czasem tak, a czasem nie. Teatr nie brzmiał jak najlepszy plan na przyszłość, a z drugiej strony to było jedyne miejsce, w którym słyszałem: „jesteś ok!". Naturalne jest to, że przyglądasz się swojemu dziecku, i też naturalne jest to, że obawiasz się nieznanego tobie świata. Zwłaszcza że to były zupełnie inne czasy: czwórka dzieci, tata działał w opozycji i żeby nasz świat miał ręce i nogi, rodzice bardzo ciężko pracowali. Ten żywy przykład pracowitości to jeden z lepszych prezentów, jakie dostałem.

Szkoda, że moi rodzice nie mieli ze szkoły żadnego sygnału, że chłopak ma pasję i że warto go w tym wesprzeć.

To znaczy?

Wygrywaliśmy konkursy ogólnopolskie, jeździliśmy na festiwale międzynarodowe, a po powrocie do szkoły czekał na mnie wpiernicz.

To było ambitne liceum, długa lista zasłużonych uczniów, którzy mieli sukcesy poza szkołą. A ja byłem tym, którego ciągle nie ma i który ciągle ma zaległości. Pamiętam wyjazd na Litwę, gdzie odbierałem nagrodę indywidualną. Opowiadałem z dumą o tym wyjeździe jednej z moich profesorek. „Jeśli twoich rodziców stać na to, żebyś się rozbijał przez tydzień po Wilnie, to proszę bardzo" – powiedziała.

Miałem wrażenie, że zaniżam im średnią. „Dajcie mu przejść, przecież on chce iść do szkoły teatralnej i prawie nie wychodzi z teatru" – mówił mój polonista, który jako jedyny mnie wspierał, ale to i tak było na nic.

Mój tata, który był surowym rodzicem, tylko raz przyszedł i powiedział: „Wiesz Tomek, jak nie zdasz matury, to ja nie będę zły, będzie mi przykro, ale tu się nie bój". Uwalili mnie na ostatnim ustnym i marzenia o szkole teatralnej trzeba było odłożyć na półkę.

Jakie miałeś myśli po niezdanej maturze?

Bałem się wojska. Wojsko było obowiązkowe: jak nie zdasz na studia, idziesz do armii. Pocieszałem się tym, że Janusz Gajos też był w wojsku i też zdawał do szkoły teatralnej cztery razy. Myślałem sobie: skoro taki genialny Gajos mógł, to może i ja mogę.

Dzięki niezdanej maturze zyskałem coś jeszcze – rok w teatrze. Między kolejną maturą a egzaminami do szkoły teatralnej zostałem przyjęty w legnickim teatrze. W szybkim tempie nauczyłem się wielu rzeczy. I z tym potężnym doświadczeniem pojechałem do Krakowa.

Dobry moment?

Przed szkołą aktorską śmiałem się bezgłośnie. Opiekunem naszego roku w Krakowie był Jerzy Stuhr. „Panie Kot, co pan robisz?" – zapytał, jak zobaczył, że próbuję się śmiać. „Jak mi się pan będziesz tak śmiał na scenie, to pomyślę, że ma pan zawał, a nie że jest śmiesznie. Ma pan pół roku, żeby nauczyć się śmiać" – powiedział. I nie żartował.

Dużo się tam nauczyłem. Pamiętam jednak koniec szkoły. Wielu moich ko-

legów i wiele koleżanek już grało. Nie dostałem się do Starego Teatru. Pierwsze depresyjne momenty.

Co było przełomem?

W sposób oczywisty debiut, czyli „Skazany na bluesa", ale w mojej głowie taki świadomy moment to „Bogowie". Od tamtego czasu coraz częściej czytałem scenariusz i myślałem, jak rola, w którą się wcielę, może mi się przydać w życiu. Co mogę z niej wziąć. Zazdrościłem profesorowi odwagi, decyzyjności. Tego, że wie, w którą stronę.

Jak go poznawałeś?

Przygotowując się do „Bogów", odwiedziliśmy panią Annę Wajszczuk-Religę. Zapytałem o zdjęcia męża. W czasach analogowej fotografii najwięcej było zdjęć ustawionych. Każdy z nas ma gotową minę i wyobraża sobie, że z tą miną mu najlepiej. Mój ojciec był fotografem amatorem. W naszej łazience, którą zmieniał w ciemnię, oglądałem zdjęcia, kiedy palec się omsknął – niewyraźne i przypadkowe. I to one mówiły najwięcej o człowieku.

Interesują nas te zdjęcia profesora Religi, które nie wyszły – zagadnąłem panią Anię.

Miała takie?

Miała, i to dużo. Na jednym z nich profesor jest w lesie z uniesioną ręką i niewyraźnym grymasem twarzy. Odbitkę powiesiłem na lustrze w łazience. Chciałem się do profesora zbliżyć. Zrozumieć, co sprawiło, że zrobił taką minę. Wymyśliłem sobie, że ten wyraz twarzy profesora to jest punkt zero. Zaczęła się magiczna zabawa – co było sekundę przed i sekundę po.

„Przestań!" – krzyknąłem przed lustrem, skrzywiłem się, uniosłem rękę. A więc może chwilę wcześniej był zły. Wybuchnąłem śmiechem, uniosłem rękę. A więc może coś go rozbawiło. Dokładałem kolejne sekundy reakcji przed i po. Wszystko po to, żeby wysterować siebie na podstawie tego zdjęcia.

Oczy Ci błyszczą, gdy o tym opowiadasz.

Bo taka zabawa sprawia, że praca, przygotowywanie się do roli przestaje być obowiązkiem, a zaczyna być czymś, co ładuje. Inspirującą przygodą.

AGNIESZKA KOT

TOMASZ KOT (ur. 1977) jest aktorem. Był związany m.in. z Teatrem Bagatela w Krakowie. Zagrał m.in. w filmach „Skazany na bluesa", „Bogowie", „Zimna wojna", „Akademia pana Kleksa". Zimą będzie miał premierę serial „Niebo. Rok w piekle", w którym zagra jedną z głównych ról.

Gdybym poprosiła o kilka zdjęć z Twojego życia, co by na nich było?

Na jednym byłby Wiktor Osiatyński.

Prowadziłem w zastępstwie profesora Osiatyńskiego koncert „Wdzięczni, bo trzeźwi". „Wiktor, jak ja mam to przejąć? Przecież z każdej historii, którą ty opowiadasz, powstaje miniopowiastka filozoficzna. Jak ja mam ciebie zastąpić? Wszystko mi się poplącze" – mówiłem.

Zapytał mnie wtedy, czy w szkole aktorskiej nie powiedzieli mi, że liczy się szczerość. Że ludzie zawsze wybaczą szczerość. Pod warunkiem, że się jej nie nadużywa – nie popełnia się błędu za błędem i każdego nie tłumaczy się szczerością. „Jeśli raz się pomylisz i szczerze do tego przyznasz, ludzie ci to wybaczą i będą z tobą. A ponieważ masz prezencję i miły głos, będą chcieli, żeby ci wyszło" – dodał.

Powtarzam sobie jego słynne zdanie, żeby wstać rano, zrobić przedziałek i się odpieprzyć od siebie.

Trudne?

Był moment, gdy myślałem, że może powinienem być trochę inny. Bardziej przebojowy, chodzić po talk-showach, stać się takim aktorem z obrazka.

Powiem teraz banalne zdanie, ale naprawdę wierzę, że najważniejsza droga, jaką mamy ciągle przed sobą, to ta w głąb siebie.

Wiesz, jak tam dotrzeć?

Czasami sobie wyobrażam, że życie to gra komputerowa. Nie dostanę żadnej odpowiedzi, jeśli nie ukończę levelu, kolejnego etapu – nie poznam zasad, które tu panują, nie znajdę poukrywanych kluczyków.

Tak sobie też wyobrażam rozwój życiowy. Kolejny level nie oznacza jednak, że jest łatwiej. Uczę się wszystkich zasad od nowa, i w sumie jest trochę trudniej. Chodzi też o to, żeby nie zostawać na tym samym levelu, założyć, że są kolejne.

Pomaga?

Jeśli coś mi nie wychodzi, mam zawieszkę, chciałbym być zajebisty, a nie jestem, myślę sobie, że być może jeszcze nie odkryłem wszystkich zasad tego levelu. Dali mi za szybki samochód, a ja nie umiem nim jeździć i znowu się rozwaliłem. Wtedy myślę: dobra, przejdźmy ten poziom jeszcze raz.

Są jeszcze inne zdjęcia?

Trafiliśmy kiedyś z rodziną na plażę z piaskiem wyjątkowo podatnym do budowania.

Jest w „Testosteronie" taka scena, w której jako filmowy Robal lepię kaczki z piasku i jestem trochę nieobecny. Więc na tej plaży opowiedziałem córce o tym, że jeśli kiedyś będzie oglądała ten film, to niech wie, że kilka godzin przed tą sceną dowiedziałem się o jej istnieniu.

Wtedy na wakacjach dzieci były małe, więc chętnie budowali wszyscy. Przyglądali nam się Hiszpanie. W końcu podbiegło do nas ich dziecko i spytało, czy potrafię zbudować słonia z piasku. Wszyscy zaczęli się śmiać, bo to niemożliwe. Odpowiedziałem, że oczywiście nie ulepimy słonia, na którego można wejść, ale możemy go odkopać. Zrobiłem obrys – chodźcie, pomóżcie mi – kolejno miejsce na trąbę, nóżki. Proszę, słonik gotowy. Ukrywa się w tej dziurze bo gorąco! Dziecko zaczęło bić brawo. Zdałem sobie sprawę, że nie musisz zawsze budować, czasem można coś odkopać.

A Ty? Jesteś na którymś z tych zdjęć?

Chyba na jednym, ze spektaklu „Anioł" autorstwa Pierre'a Gripari. Grałem wtedy pierwszy raz w legnickim teatrze. Schodziliśmy po spektaklu, większość się śpieszyła. A ja usiadłem na chwilę w garderobie. Miałbym na tym zdjęciu minę człowieka, który nie może uwierzyć, że jest na scenie naprawdę.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

WIARA

KOŚCIELNA ZŁOŚLIWOŚĆ

To coś mniej niż mobbing, a więcej niż brak uwagi. Codzienna nieżyczliwość niszczy życie kapłańskie.

MONIKA BIAŁKOWSKA

Jedzenie, choć przy jednym stole, to w milczeniu: przez rok, dwa, trzy. Zamiast rozmowy, wyłożone w zakrystii kartki z listą obowiązków na tydzień. Zamknięte drzwi od plebanii, żeby wikariusz nie mógł wrócić do domu po 22, choćby miał spać w samochodzie. To rzeczywistość wielu polskich parafii. Za mało, żeby było przestępstwem, za mało, by złamać prawo kanoniczne, za mało nawet, żeby poskarżyć się do biskupa. Ale właśnie to „za mało", w odpowiednim natężeniu, jest jedną z przyczyn wypalenia zawodowego i depresji wśród księży.

Klimat nieuprzejmości

Angielskie słowo *incivility* tłumaczy się jako „nieuprzejmość, niegrzeczność". Tego właśnie słowa literatura anglojęzyczna używa na określenie atmosfery panującej często w strukturach Kościoła i wpływającej negatywnie na dobrostan oraz zdrowie psychiczne księży. I nie chodzi tu o publicystyczną retorykę, ale o zjawisko, które jest przedmiotem licznych badań na świecie. O słowo, które najlepiej opisuje całokształt tego, w jaki sposób budowane są w Kościele relacje, przede wszystkim między duchownymi na różnych szczeblach – ale później, odbijając się rykoszetem, również między duchownymi i świeckimi.

Incivility nie jest tak silne jak mobbing, który stosowany jest wyraźnie w celu zaszkodzenia komuś. Nie jest tak wyraźne jak duchowa przemoc, z teologicznym legitymizowaniem toksycznych zachowań. *Incivility* to spirala drobiazgów sprawiających, że człowiek nieustannie czuje się zagrożony i spięty, choć nie potrafi wskazać jednoznacznych sytuacji, które do tego stanu go doprowadziły. Żeby to zrozumieć, trzeba by stanąć na jego miejscu.

„Nieuprzejmość" to zbiór dziesiątek mikroagresji, działań o niskiej intensywności, ale naruszających normy wzajemnego szacunku. Nie są jednoznacznie nakierowane na czyjąś szkodę, trudno udowodnić ich stosowanie. Pojedynczo każda z nich zdaje się ważyć niewiele. To lekceważenie, ostry ton, publiczne kpiny czy ironia. To powracająca krytyka, komentarze wywołujące niepewność, lęk i dyskomfort. To drobne upokorzenia, pozornie subtelne demonstrowanie, kto w domu ma władzę. To afronty, pomijanie kogoś w komunikacji lub komunikacja bezosobowa albo z pomocą kartek na lodówce. To złośliwości, które przecież są „tylko żartem".

Patrzcie, jak się kochają

Księża mówią wtedy, że czują się lekceważeni. Że proboszczowie czy biskup nie dopuszczają ich do głosu i przerywają. Że nie są ciekawi ich opinii i nie biorą ich pod uwagę. Że kiedy próbują zabierać głos w szerszym gronie, są umniejszani lub wręcz wyśmiewani. Ostatecznie wolą milczeć, żeby znów nie narazić się na zderzenie z „lożą szyderców". Wielu księży skarży się, że są upokarzani publicznie: przed pracownikami parafii lub w obecności ministrantów. Nie powierza im się odpowiedzialnych zadań w przekonaniu, że i tak sobie nie poradzą. Proboszczowie i biskup nie są postrzegani jako starsi, wspierający bracia, ale jako wrogowie: lepiej, żeby wiedzieli mniej, żeby jak najkrócej być na ich radarze.

THOOM / SHUTTERSTOCK

Ostatecznie nawet danie świadectwa o tym, jak wygląda takie życie, zostanie zdeprecjonowane jako „mazanie się" czy „użalanie się nad sobą". Ksiądz, jak każdy mężczyzna, ma być twardy i nie płakać – a dodatkowo jako ksiądz, z poczuciem misji, ma skupić się na Chrystusie, a nie na swoich problemach.

Kiedy Tertulian w II wieku opisywał życie chrześcijan, przeciwstawiając je pogańskim obyczajom, pisał w swoim „Apologetyku": „Ten sposób okazywania wielkiej miłości daje nam w oczach niejednych specjalną cechę. »Patrz – powiadają – jak ci się kochają nawzajem« (sami bowiem nienawidzą się między sobą), »i jak jeden za drugiego gotów jest umrzeć« (sami bowiem byliby raczej skłonni jeden drugiego mordować)".

Dziś tertulianowe „patrzcie, jak oni się miłują" często jest przez duchownych przywoływane. Tyle że ironicznie.

Święty spokój

W jednej z diecezji proboszczowie wyszli z propozycją, że chcieliby mieć możliwość oceny pracy wikariuszy. Prosili biskupa, żeby umożliwił im wypełnianie i przesyłanie do kurii ankiet, w których zrecenzują pracę i postawę swoich wikariuszy. Na szczęście pomysłowi szybko ukręcono głowę, bo nie miał szansy stać się niczym więcej, niż tylko kolejnym elementem systemu, w którym jeden ma ↦

↦ władzę i głos, a drugi nie ma nawet możliwości obrony, o wyrażeniu własnej opinii nie wspominając.

Owszem, ankiety oceniające pracę są dziś standardem, spotykanym powszechnie od wyższych uczelni po stacje kontroli pojazdów. Trudno jednak wyobrazić sobie działanie takiego standardu w środowisku, w którym jedynie wyższy pozycją recenzuje niższego. Jeśli takie rozwiązanie miałoby przynieść jakiekolwiek korzyści, to tylko wówczas, jeśli i wikariusze mieliby możliwość bezpiecznego zgłoszenia mobbingu ze strony proboszcza, jego romansów, choroby alkoholowej czy choćby postawy wobec wikariusza czy wiernych. W klimacie „nieuprzejmości" rozwiązanie to jest jednak zwyczajnie niemożliwe i zamiast być narzędziem wzajemnej pomocy, mogłoby zamienić się w narzędzie przemocy.

„Nieuprzejmość" czy „niegrzeczność" niesie ze sobą konkretne skutki, które również podlegają badaniom. Najważniejszym z tych skutków jest obniżenie satysfakcji z pracy, które w dłuższym czasie generuje wypalenie zawodowe i chęć odejścia. Księża, którzy opuszczają seminarium pełni nadziei i zapału, często już na pierwszej parafii boleśnie doświadczają, że lepiej jest się nie wychylać, robić tylko tyle, co się im każe, a potem mieć święty spokój. Po takim doświadczeniu trudno jest już wzbudzić w sobie na powrót entuzjazm: jeśli ktoś tego zrobić nie zdoła, zaczyna się jego długa i samotna droga w dół.

Przez polskie media przetoczyła się już dyskusja o kondycji psychicznej duchowieństwa, o przyczynach i możliwych rozwiązaniach. Jeśli warto dziś do niej wracać, to właśnie po to, by zwracać uwagę na inny, dalszy skutek owej „nieuprzejmości". Bo w dłuższej perspektywie staje się ona główną przyczyną nieskuteczności wszelkich form środowiskowej samopomocy, która ma kluczowe znaczenie dla zdrowia psychicznego: badania prowadzone na duchownych w USA wskazują, że im wsparcie środowiska jest większe, tym mniejsze jest ryzyko wypalenia zawodowego i depresji.

Samopomoc księżowska

Każda diecezja organizuje dla swoich księży różne formy tzw. formacji stałej. To regularne (choć niezbyt częste) spotkania duchownych (czasem tylko tych z najkrótszym stażem kapłańskim), mające na celu pogłębiać ich wiedzę teologiczną i formować duchowość. Zdarza się, że programy i nazwy tych spotkań brzmią atrakcyjnie, jak wrocławskie „Akademia duszpasterstwa" i „Laboratorium spowiednika". Często jednak są to towarzyskie spotkania z jednym, obowiązkowym wykładem i obiadem, czyli, jak mówi jeden z księży: „sposób na utrzymanie profesorów". Nie kwestionując merytoryki i sensu takich spotkań, trudno jest uznać, że zaspokajają one intelektualne i wspólnotowe potrzeby księży. A mogłyby stać się dla nich jedną z form samopomocy i wsparcia.

W niektórych diecezjach powoli zaczynają organizować się nieformalne grupy samopomocowe. Na początku lipca archidiecezja wrocławska informowała, że na jej terenie powstaje zespół wsparcia, którego kształt ma określić Rada Kapłańska. Celem zespołu ma być reagowanie w sytuacji „choroby kapłana, problemów natury ludzkiej, trudności z utrzymaniem parafii (...), problemów związanych z uzależnieniami, nałogami, trudnościami relacyjnymi". Dodatkowo jego zadaniem ma być również profilaktyka i zbudowanie bazy specjalistów i ośrodków pomocowych.

Pomysł ten miał zrodzić się oddolnie i być wyrazem braterskiego wsparcia. Informując o tej idei ks. Arkadiusz Kruk, wikariusz biskupi ds. stałej formacji kapłanów, zapewniał: „Ważny będzie każdy sygnał wskazujący na potrzebę interwencji. Robimy to, mając na uwadze dobro duchowieństwa, potrzebę braterskiego wsparcia oraz konieczność zapewnienia kapłanom odpowiedniej pomocy w różnych sytuacjach życiowych, chorobie czy kryzysie. Oczywiście z poszanowaniem godności każdego, jego wolności oraz dyskrecji". Diecezja informuje, że po wypracowaniu ostatecznego formatu działania zespół zostanie zatwierdzony przez abp. Józefa Kupnego.

Idea szczytna i budząca nadzieję. Tyle tylko, że pytani o nią księża diecezji wrocławskiej na razie nic o samopomocowym zespole nie wiedzą. Pozostaje kibicować, by pomysł nie zaginął w odmętach kurialnej biurokracji ani nie został wypaczony przez tych, którzy uczestniczenie w nim potraktują nie jako służbę braciom, ale kolejną formę władzy.

Formy samopomocy są i mniej oficjalne. Działająca od ponad roku na

Jak to robią inni

- **FRATERNIE** – trwałe grupy stałej formacji dla księży. Rozwiązanie znane w wielu krajach od lat 50., zwykle inspirowane postacią bł. Karola de Foucauld. Ich członkowie spotykają się zwykle raz w miesiącu, by wspólnie się modlić i dzielić doświadczeniem. Dają namiastkę wspólnoty zakonnej, choć na co dzień księża pozostają aktywni w swoich diecezjach i parafiach.

- **AMERYKAŃSKA ASSOCIATION OF U.S. CATHOLIC PRIESTS** to forum wsparcia, ale i dialogu: zrzesza tysiące członków, organizuje kongresy. Choć uważana jest przez niektórych za zbyt progresywną, przynajmniej części duchownych daje wartość bezcenną: poczucie, że nie są sami.

- **IRLANDZKA ASSOCIATION OF CATHOLIC PRIESTS** znana z tego, że w wielu sprawach zajmuje publicznie stanowisko, prowadzi też liczne konsultacje dotyczące Kościoła w Irlandii. Często wywołuje spory i polaryzuje – ale też sprawia, że cały czas, również między księżmi, odbywa się wymiana opinii.

- **POŁUDNIOWOKOREAŃSKA CATHOLIC PRIESTS' ASSOCIATION FOR JUSTICE** – w kraju, gdzie katolicy stanowią mniejszość, księża wspierają się wzajemnie wobec presji nakładanej na nich społecznie, ale też bronią praw demokratycznych.

- **AMERYKAŃSKI ST. LUKE INSTITUTE Z MARYLAND** powstał, by troszczyć się o wsparcie zdrowia psychicznego księży: prowadzi zarówno terapie, jak i szkolenia i kursy. Również amerykańskie **SERVANTS OF THE PARACLETE** (zgromadzenie zakonne) czy ośrodek **SAINT JOHN VIANNEY CENTER Z FILADELFII** powstały po to, by służyć duchownym z uzależnieniami. ©MB

portalu społecznościowym grupa „Ksiądz Spolsky” liczy dziś blisko 1500 członków. W ostatnim miesiącu opublikowano na niej 25 postów. Jako świecka nie mam tam wstępu. Z tego, co mówią znajomi księża, grupa jest bardziej przestrzenią wyrzucenia z siebie frustracji niż pozytywnego wsparcia. Choć może i to także jest duchownym potrzebne.

Z depresją do mamy

Czego nam jeszcze brakuje? Z pewnością brakuje solidnych i pełnych badań na temat szeroko pojętego stanu zdrowia psychicznego księży (poza prowadzonymi niedawno w archidiecezji katowickiej badaniami na temat jakości snu). Ich brak świadczy przede wszystkim o tym, że hierarchowie nie czują wagi i potrzeby prowadzenia takich badań – a to ostatecznie jest sygnałem, że zdrowie duchownych nie jest tym, co spędza im sen z powiek.

Brakuje również zintegrowanego systemu pomocy księżom. Oczywiście mogą oni szukać wsparcia psychologicznego i psychiatrycznego w ogólnie dostępnych poradniach, wciąż jednak brakuje w Polsce ośrodków czy klinik specjalizujących się w pomocy duchownym, na wzór choćby benedyktyńskiego „Recollectio-Haus” w Niemczech, który umożliwia księżom, diakonom, zakonnikom i innym pracującym w duszpasterstwie zregenerować siły fizyczne, psychiczne i duchowe po kryzysach i wypaleniu.

W żaden sposób systemowo nie jest uregulowana kwestia ponoszenia kosztów terapii księdza. Zdarza się, że pokrywa je biskup, choć częściej za swoją terapię płaci sam ksiądz. Niezależnie od przyjętego modelu warto rozmawiać o zastosowaniu jednolitej zasady – nie tylko na wypadek terapii, ale i długotrwałej choroby. Wysyłanie księży z depresją „do mamy”, gdzie pozostają bez środków do życia na czas nieokreślony, nie jest rozwiązaniem godnym ani chrześcijańskiej wspólnoty, ani dwutysiącletniej instytucji.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

DOMINIK GAJDA / REPORTER

Komu to nie na rękę

ARTUR SPORNIAK

INTERWENCJA | Przyjmujmy jak najbardziej licznie komunię na rękę – może choć trochę w ten sposób odklerykalizujemy polski Kościół.

Do naszej redakcji trafił przejmujący list od pani Anny, która na stałe mieszka w Irlandii, ale na wakacje przyjechała z dziećmi do Polski. „Moje dzieci przyjmują komunię św. na rękę. Księża w Małopolsce trzy razy odmówili im przyjęcia komunii na rękę. Moja młodsza córka ma 8 lat i nigdy nie przyjmowała komunii w inny sposób. Po trzech stresujących sytuacjach dziś odmówiła pójścia do komunii i zalała się łzami w kościele, a potem popadła w rozpacz w domu. Znam moje dziecko i wiem, że to zostanie w niej na długo. Serce mi pęka, że kilku księży swoim widzimisię zniszczyło w niej radość przyjmowania Pana Jezusa”. Kobieta dodaje, że wie, iż księża nie mają prawa odmówić komunii w tej formie, ale nie wierzy, by jej interwencja w krakowskiej kurii coś dała.

Miała rację. Trzy tygodnie temu wysłałem do biura prasowego kurii pytanie, czy w Archidiecezji Krakowskiej funkcjonują jakieś formalne rozporządzenia odnośnie do udzielania komunii dzieciom, w szczególności udzielania komunii dzieciom na rękę, i mimo upomnienia się o odpowiedź dotychczas jej nie otrzymałem. Nie odpowiedziała też Komisja Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, zapytana, czy są jakieś ogólnopolskie dyspozycje na ten sam temat. ↦

↦ Dodatkowo wysłałem tam fragment powyższego listu z prośbą o komentarz. Również bez jakiejkolwiek reakcji.

Kapłańska samowolka

Przypomnijmy zatem aktualne przepisy. Punkt 161 obowiązującego w Polsce od lutego 2004 r. Ogólnego wprowadzenia do Mszału rzymskiego stanowi: „Przystępujący do Komunii świętej odpowiada: Amen i przyjmuje Najświętszy Sakrament do ust lub, jeśli jest to dozwolone, na dłoń, według swego uznania". O tym, że jest to w naszym kraju dozwolone, zdecydował Episkopat, za zgodą Watykanu, we Wskazaniach do nowego wydania Ogólnego wprowadzenia do Mszału rzymskiego (z 9 marca 2005 r.), stwierdzając: „Jeżeli jednak ktoś prosi o Komunię na rękę przez gest wyciągniętych dłoni, należy mu w taki sposób jej udzielić". Biskupi stawiają tylko jeden warunek: „Przyjmujący winien spożyć Ciało Pańskie wobec szafarza".

Przeciwko temu zezwoleniu protestowały środowiska konserwatywne. W pandemii, gdy ze względów higienicznych przyjmowanie komunii na rękę stało się powszechne, pojawiły się oskarżenia, że jest to profanowanie Najświętszego Sakramentu. Wtedy interweniował przewodniczący Komisji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów bp Adam Bałabuch, pisząc w komunikacie z 3 października 2020 r., że „niewłaściwe i krzywdzące wiernych jest twierdzenie, że przyjmowanie Komunii świętej na rękę jest brakiem szacunku wobec Najświętszego Sakramentu".

Przepisy – jak widać – nie różnicują dorosłych i dzieci, jeśli chodzi o sposób przyjmowania komunii. Dzieci pierwszokomunijne przygotowywane są jednak w Polsce tylko do przyjmowania komunii do ust. Być może księży z Małopolski zaskoczyła ośmiolatka, która wyraźnie wysunęła ręce podczas rozdawania komunii. Ale sam ten gest powinien przekonać kapłana, że dziecko jest przygotowane do takiego przyjmowania komunii.

Czy dziecko jest odpowiedzialne

Gdy pytałem znajomych księży o sytuację opisaną w liście, zastanawiali się, czy dziecko jest na tyle odpowiedzialne, by mu bezpiecznie podać komunię do rąk. Taki argument, brany na poważnie, świadczyłby jednak o dużej niekonsekwencji. Do komunii dopuszcza się osoby, które potrafią zrozumieć jej istotę, zatem zakłada się, że rozumieją to już siedmioletnie dzieci. Nie powinno więc być problemu z odpowiedzialnym przyjmowaniem przez nich komunii na rękę.

> Za oboma sposobami przyjmowania komunii stoi różna symbolika, a co za tym idzie **– różna teologia i dwie różne wizje Kościoła.**

A co do ich odpowiedzialności – przypomina mi się sytuacja z mojego rodzicielskiego stażu. Gdy po narodzinach naszego trzeciego syna przywiozłem go razem z żoną ze szpitala do domu, obaj jego starsi bracia po kolei wzięli go na ręce. Siedmioletni Filip i sześcioletni Bartek trzymali z wielkim przejęciem kilkudniowego Jakuba. Czujemy z żoną, że ten pierwszy gest bliskości z nowo narodzonym bratem bardzo pozytywnie wpłynął na ich późniejsze relacje.

Dwie wizje Kościoła

Niechęć do rozdawania komunii na rękę wśród polskich księży jest – jak się wydaje – powszechna. Będąc na wakacjach w Krośnie na Podkarpaciu, cała moja rodzina przystępowała do komunii, przyjmując ją do ręki (robiliśmy to jako jedyni w kościele). Ksiądz wikary – podając hostię – fukał i robił grymasy. Wyraźnie dawał nam do zrozumienia, że nie podoba mu się ten sposób przyjmowania komunii (zdaje się, że chciał być ważniejszy od Pana Jezusa...).

Kapłani odmawiający komunii na rękę (albo choćby „fukający") tłumaczyć się będą troską o zachowanie jak największej czci dla Najświętszego Sakramentu. Jednak uzurpując sobie arbitralne rozstrzyganie, kto taką cześć okazuje, a kto nie, czynią siebie dystrybutorami i w pewnym sensie „właścicielami" komunii, a nie jej szafarzami (czyli sługami).

Mało się zwraca uwagi na to, że za oboma dopuszczonymi sposobami przyjmowania komunii stoi różna symbolika, a co za tym idzie – różna teologia i ostatecznie dwie wizje Kościoła. Postawa klęcząca z otwartymi ustami symbolizuje uniżenie i pokorę, ale także... infantylizm. Jasne, że w stosunku do Boga mogę uznawać się za „niemowlę" – pokora nie ma w tej relacji granic („prochem jestem i w proch się obrócę"), ale nie jestem „niemowlęciem" w stosunku do księdza rozdającego komunię. Chyba że go będę traktować jako „zastępcę Boga", ale w takim przypadku mamy do czynienia z jaskrawym klerykalizmem.

Podczas najważniejszego momentu mszy – w formule konsekracyjnej – powiedziane jest: „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy" – zatem „bierzcie", a nie „dajcie się karmić jak niemowlęta". Jezus nazywa nas przyjaciółmi. Na pewno Jego zamiarem przy ustanowieniu Eucharystii nie było to, by nas infantylizować.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa znano tylko jeden sposób przyjmowania komunii. Opisuje go np. w IV wieku w jednej z katechez Cyryl Jerozolimski: „Przystępując do ołtarza, nie wyciągaj gładko ręki i nie rozłączaj palców. Podstaw lewą dłoń pod prawą niby tron, gdyż masz przyjąć króla. Do wklęsłej ręki przyjmij Ciało Chrystusa i powiedz »Amen«. Uświęć też ostrożnie oczy swoje przez zetknięcie ich ze świętym Ciałem, bacząc, byś zeń nic nie uronił. To bowiem, co spadło na ziemię, byłoby jakby utratą części twych członków. Bo czy nie niósłbyś złotych ziarenek z największą uwagą, by ci żadne nie zginęło i byś nie poniósł szkody? Tym bardziej zatem winieneś uważać, żebyś nawet okruszyny nie zgubił z tego, co jest o wiele droższe od złota i innych szlachetnych kamieni" (tł. W. Kania).

To prawda, że Watykan nadal preferuje komunię do ust, nazywając ją „zwyczajną formą", i dopuszcza przyjmowanie na rękę, jeżeli ktoś o to prosi. To dopuszczenie można rozumieć zatem jako sytuację nadzwyczajną, ale takie różnicowanie dowartościowuje dominującą ciągle w Kościele rzeczywistość klerykalną. Zatem istnieje potrzeba rozwijania teologii eucharystycznej promującej większą dojrzałość religijną.

Na koniec dwa doraźne apele: do księży o powściągliwość adekwatną do bycia szafarzem, a do przyjmujących komunię – o jak najczęstsze i masowe przyjmowanie ją na rękę. Wtedy odrobinę uczynimy Kościół mniej klerykalnym.

©℗ ARTUR SPORNIAK

BASSO CANNARSA / OPALE / LEEMAGE / EAST NEWS

Raimon Panikkar. Włochy, lipiec 2001 r.

Dobra nowina z Varanasi

MACIEJ BIELAWSKI

PORTRET | Przez wieki chrześcijaństwo płynęło na fali filozofii greckiej. Dziś potrzebuje nowych prądów, które poniosą je w przyszłość. Znajdzie je na Dalekim Wschodzie – uważał Raimon Panikkar, który odkrył Chrystusa w hinduizmie.

Wyruszyłem jako chrześcijanin, po drodze odkryłem, że jestem hinduistą, wracam jako buddysta, nie przestawszy być chrześcijaninem". To jedna z jego najbardziej znanych, często powtarzanych i nie mniej często błędnie interpretowanych wypowiedzi. Nam posłuży za przewodnik po życiu i myśli jednego z najbardziej intrygujących i przejmujących myślicieli religijnych XX wieku.

Pisał, by lepiej żyć

Zacznijmy od końca. Raimon Panikkar zmarł 15 lat temu (26 sierpnia 2010 r.) w niewielkiej, liczącej ok. 150 mieszkańców miejscowości Tavertet w południowo-wschodniej Katalonii, jako znany i ceniony wykładowca, pisarz i myśliciel. Wpłynął na życie wielu osób, przyznano mu liczne nagrody i uhonorowano wyróżnieniami. Na jego temat powstały rozprawy naukowe i prace popularyzatorskie, biografie i filmy. Jego dzieło propagują fundacje i centra duchowości. Zbiór jego najważniejszych prac – tylko tych przygotowanych do druku – obejmuje około dwudziestu opasłych tomów. Wydawane były równolegle w pięciu co najmniej językach: włoskim, katalońskim, hiszpańskim, angielskim i francuskim.

Nie był jednak typem myśliciela, którego życie można redukować do bibliografii, choćby pokaźnej. Pisał dużo, ale – jak podkreślał – „nie żył po to, by pisać, lecz pisał, aby żyć lepiej i swoją myślą pomagać innym".

Spójrzmy jeszcze na początek jego historii. Raimon urodził się 3 listopada 1918 r. w Barcelonie. Matka, Carmen Magdalena Alemany, wywodziła się z szacownej rodziny mieszczańskiej, ojciec – Menakath Allampadath Ramuni Pániker – pochodził z Kerali (Indie), ale los rzucił go do Europy, gdzie został przemysłowcem.

Raimon był najstarszym z czwórki dzieci (trzech chłopców, jedna dziewczynka). Został ochrzczony w parafii katolickiej jako Raimundo Santiego Carlos Pániker, ale jako dorosły mężczyzna zaczął używać imienia Raimon, bo było katalońskie, a nie hiszpańskie. Z kolei nazwisko zmienił na Panikkar, uznając, że bardziej odpowiada hinduskiemu oryginałowi, a nie jego uzachodnionej i skolonizowanej wersji.

Kapłan Melchizedeka

W połowie lat 30. minionego wieku Raimon zapisuje się na wydział nauk ścisłych uniwersytetu w Barcelonie. Gdy wybucha wojna domowa, ucieka, wraz z rodziną, do Bonn, gdzie kontynuuje studia, a dodatkowo uczęszcza na wykłady z filozofii. Latem 1939 r. jedzie rowerem do Barcelony, gdzie będzie musiał zatrzymać się na dłużej, bo wybucha II wojna światowa. Poznaje ks. Josemaríę Escrivá de Balaguera ↦

↦ powstałego Opus Dei. Kończy studia chemiczne, filozoficzne, teologiczne i zostaje jednym z pierwszych kapłanów organizacji, do której przystał. Pracuje w Madrycie jako duszpasterz akademicki, kieruje wydawnictwem Patmos, głosi konferencje, ale też zaczyna interesować się kulturą kraju swojego ojca.

Po jego śmierci wyjeżdża na cztery lata do Indii, a po powrocie do Europy przeprowadza się do Rzymu. I znów jest duszpasterzem akademickim, równocześnie wykładając na uniwersytecie La Sapienza. Bierze też udział w pracach komisji Soboru Watykańskiego II, zdobywając sympatię Pawła VI (jego kandydaturę miano brać pod uwagę przy obsadzie nowego Sekretariatu ds. Niechrześcijan, dzisiejszej Dykasterii ds. Dialogu Międzyreligijnego).

Zaangażowanie we współpracę z przedstawicielami „frakcji progresywnej" na soborze – i poza nim – a także coraz bardziej niezależne poglądy Panikkara były coraz większym problemem dla władz tradycjonalistycznego Opus Dei. Po powrocie teologa z Indii tlący się konflikt przybrał na sile, w rezultacie Panikkar zostaje usunięty z organizacji i wyjeżdża do Varanasi nad Gangesem, gdzie inkardynuje się do tamtejszej diecezji. Napisze o sobie: *Raimon Panikkar, sacerdos secundum dharmam Melchisedech et diocesis Varanasi ad Gangem flumen* (Raimon Panikkar, kapłan wedle dharmy Melchizedeka i diecezji Varanasi nad rzeką Ganges).

Jest druga połowa lat 60. Od tej pory będzie część roku spędzał w Indiach, a część w USA – najpierw na Harvardzie, potem w Santa Barbara w Kalifornii – gdzie wykłada filozofię porównawczą. Można go też spotkać w wielu miastach Europy, Azji czy Ameryki Południowej na konferencjach i sympozjach. W połowie lat 80. wraca na stałe do Europy i osiada w Tavertet, u podnóża Pirenejów, gdzie zakłada rodzinę (patrz ramka) i przez następne ćwierć wieku poświęca się głównie redagowaniu swoich dzieł oraz tworzeniu intelektualnego i duchowego środowiska.

Nieznany Chrystus hinduizmu

Wróćmy jednak do zacytowanego na początku zdania. „Wyruszyłem jako chrześcijanin". Skąd i dokąd? Wydaje się oczywiste: z rodzinnej i katolickiej Hiszpanii. Ale nie tylko. Także z zasklepienia, które coraz mocniej zaczęło mu doskwierać. Po latach nazwie taki stan ducha „mikrodoksją", czyli wiarą skarłowaciałą, integrystyczną i ciasną, w której wszystko na pozór wygląda dobrze, ale nic tak naprawdę nie działa, bo nie ma w niej ożywczego powiewu nieskończoności, której potrzebuje ludzkie serce.

Pytał, czy chrześcijanin musi być **intelektualnie Grekiem, a duchowo Semitą?** Dostrzegał nowy wymiar chrześcijaństwa i sam go doświadczył.

Miejscem, ku któremu zmierzał w mentalnej wędrówce, są Indie, ojczyzna jego ojca, której do tej pory nie poświęcił zbyt wiele uwagi i czasu. Odbył tę podróż, zanim jeszcze nastała moda na duchowo-turystyczne pielgrzymowanie do Indii, w poszukiwaniu guru lub zaznania szczególnych przeżyć duchowych. Indyjski subkontynent przemierzał na motocyklu, który kupiła mu matka. Spotykał ludzi, poznawał nowe środowiska, obserwował, studiował, dokonywał entuzjastycznych odkryć, doznawał przykrych rozczarowań.

Owocem tej podróży, która w duchowym sensie nigdy się nie skończyła, było zgłębienie hinduizmu oraz poszerzenie własnego chrześcijaństwa. W jej trakcie stworzył między innymi antologię „Doświadczenie wedyjskie", utkaną ze starożytnych tekstów hinduizmu, które opatrzył cennymi komentarzami. Wedyjska mądrość wyzwoliła jego serce z typowego dla mentalności zachodniej lęku i przygnębienia oraz otwarła na uniwersalny wymiar natury i kosmosu.

Wtedy napisał też książkę o wymownym tytule „Nieznany Chrystus hinduizmu", w której opisuje, jak wejście w świat dalekowschodniej religii pozwoliło mu spojrzeć na własne chrześcijaństwo przez pryzmat wersetów z Brahma-Sūtry i odkryć, że także dla chrześcijan Chrystus pozostaje niezgłębioną tajemnicą. Rangę tej idei można by porównać chyba tylko do starożytnego spojrzenia na tajemnicę Jezusa Chrystusa przez pryzmat Logosu, poświadczoną słowami: „Na początku było Słowo (*Logos*), które stało się ciałem".

Bóg jest relacją

Tak czy inaczej w Indiach Panikkar doszedł do przeświadczenia, że nie można w pełni uświadamiać sobie własnej religii i pobożności, jeśli nie pozna się dogłębnie i osobiście innej, bo mówiąc krótko: religie są wypadkowymi wielowiekowych procesów interkulturowych, a sam „Bóg jest relacją".

Egzystencjalne i duchowe rzucenie się w objęcia innej religii nazywał dialogiem intrareligijnym. Dopełnia on dialog interreligijny (międzyreligijny), ograniczający się do zewnętrznej, historycznej i doktrynalnej znajomości oraz politycznej strategii. Na tym właśnie polegało odkrycie Panikkara, że jest hinduistą.

Oczywiście nie był ani pierwszym, ani jedynym w tych fascynujących i ryzykownych poszukiwaniach. W Indiach poznał się między innymi z katolickimi mnichami, którzy żyli w aśramach – Jules'em Monchaninem, Henrim Le Saux i Bedem Griffithsem. Trzeba też pamiętać, że nie wszystkim, tak w Europie, jak i w Indiach, podobały się, czy znajdowały zrozumienie, jego przemyślenia. Choć to przecież oczywiste.

Religijny ateizm

Potem przyszedł czas na buddyzm. Gdy Panikkar był w Varanasi, do leżącego w pobliżu Sarnath, gdzie Buddha wygłosił swe pierwsze kazanie, dotarł zbiegły z Tybetu Dalajlama. Raimon czytał już wcześniej prace na temat buddyzmu napisane przez Henriego de Lubaca, Daisetza Teitarę Suzukiego, Tiruppattura R. Venkatachalę Murtiego i innych autorów. Jeszcze mocniej zainteresował się naukami Oświeconego, gdy jako wykładowca pracował na uniwersytecie w Kalifornii, która w tamtym czasie stawała się zachodnim centrum buddyzmu.

Praktykował też medytację w stylu zen, w czym pomógł mu niemiecki jezuita Hugo Enomiya-Lassalle, poznany w Japonii. O swoim doświadczeniu medytacyjnym Panikkar pisał: „Czego szukam, gdy zasiadam do medytacji jeszcze przed świtem? Dlaczego wstaję tak wcześnie, choć poszedłem spać późno? Nie czynię tego, gdyż czegoś pragnę, ani dla uzyskania szczególnej formy świadomości, nie dla przyjemności, nie dla uspokojenia umysłu czy czegokolwiek innego. Niemniej jednak czuję nieodparty impuls, aby to czynić".

W buddyzmie pociągał go nade wszystko jego wymiar a-teistyczny. Warto to wyjaśnić. Jako baczny obserwator otaczającej go rzeczywistości Panikkar zdał sobie sprawę, że coraz powszechniejsze zainteresowanie buddyzmem na Zachodzie jest ściśle powiązane ze współczesnym ateizmem, tyle że rozumianym nie w sensie społeczno-politycznym, ale filozoficzno-duchowym, czyli z krytycznym potraktowaniem koncepcji Boga. Panikkar uważał, że modele Boga – zarówno antropomorficzny (na podobieństwo człowieka), jak i ontomorficzny (Bóg jako byt absolutny), są jedynie umysłowymi idolami i jako takie dawno uległy skostnieniu.

Mistyczny błysk

Ateizm i buddyzm pełnią więc we współczesnej kulturze funkcję katartyczną, oczyszczając ludzką świadomość z mentalnych bożków, ponieważ Bóg jest z natury niepojęty. Na tej tezie oparta została jego książka „Milczenie Buddy. A-teizm religijny", którą pisał blisko czterdzieści lat. Jest ona odczytaniem w nowym świetle teologii negatywnej i mistyki apofatycznej, wypracowanej choćby przez Pseudo-Dionizego Areopagitę czy Mistrza Eckharta – autorów cenionych i czytanych przez Panikkara, których spojrzenie starał się odświeżyć, spoglądając nań przez pryzmat buddyzmu.

W takim właśnie znaczeniu należy odczytywać jego zdanie o tym, że powraca jako buddysta, nie przestając być chrześcijaninem. Tak – jest w tym pewien błysk mistyczny, którego Panikkar się nie wyrzekał i nie przez przypadek pierwszy tom jego dzieł zebranych jest zatytułowany „Mistyka. Pełnia życia". Od niego zresztą pochodzi zdanie, które przytacza Karl Rahner (i błędnie mu przypisywane), że „chrześcijanin jutra będzie mistykiem albo w ogóle go nie będzie".

Nowa fala

Zdanie, które posłużyło nam za przewodnika, Panikkar wypowiedział, gdy dochodził do sześćdziesiątego roku życia. Potem przeżył jeszcze ponad trzydzieści twórczych lat, pogłębiając i rozwijając swoje doświadczenia i przemyślenia. Być może najlepiej wyraził je w swojej „sumie" zatytułowanej „Rytm bycia" (*The Rhythm of Being*). Wciąż jeszcze brakuje nam dystansu, by dobrze ocenić to dzieło, co jednak nie zwalnia nas z wysiłku, by tego dokonać.

Przydatna do tego może być analogia, którą już delikatnie zasugerowałem, mówiąc o Słowie (Logosie) otwierającym Ewangelię św. Jana. Już w pierwszych latach istnienia chrześcijaństwo wykorzystało falę platonizmu oraz greckiej paidei, na której płynęło przez kolejne stulecia. Potem ta fala została stłumiona przez racjonalizm i naukową mentalność, co doprowadziło do atrofii duchowości i zwyrodnienia struktur sakralnego porządku, na które nałożyły się jeszcze żądza władzy i upadek moralny.

Spotkanie kultury zachodniej z kulturami Dalekiego Wschodu, do jakiego doszło już w naszych czasach, wyznaczyło nowe trendy w poszukiwaniach duchowych czy filozoficznych. Być może to jest właśnie ta nowa fala, której znaczenia jeszcze w pełni nie doceniamy, ale nie powinniśmy jej ignorować. Raimon Panikkar zapytał kiedyś Pawła VI, czy chrześcijanin naprawdę musi być intelektualnie Grekiem, a duchowo Semitą? On należał do tych myślicieli, którzy dostrzegli nowy wymiar chrześcijaństwa, opisali go, a przede wszystkim – sami doświadczyli.

Jedna z ostatnich notatek, jakie po sobie zostawił, brzmi: „Uważam, że prowadzę życie kontemplacyjne, które jest czymś więcej niż zwykłym siedzeniem w medytacji: polega ono na zlaniu się z Misterium Życia. Jestem przeświadczony, że tym właśnie jest chrześcijaństwo, misterium Chrystusa. Ale nie jestem w stanie o tym mówić".

© MACIEJ BIELAWSKI

Autor jest teologiem, pisarzem, wykładowcą. Mieszka w Weronie. Jest autorem biografii Panikkara i wielu książek na temat jego duchowości (www.maciejbielawski.com).

Małżeństwo Panikkara – temat tabu

O ŚLUBIE 66-LETNIEGO teologa z Marią Gonzáles-Habą, 54-letnią filozofką, teolożką, pianistką i pisarką, wiedziało niewiele osób. Do dziś ten fakt jest pomijany lub podważany w biografiach. Znał Marię od 36 lat, choć nie należała do ścisłego grona osób, które z nim współpracowały. Małżeństwo cywilne zawarli 6 grudnia 1984 r. w Madrycie, po czym nastąpiła też „ceremonia religijna" z udziałem kilku księży.

ZGODNIE Z PRAWEM KANONICZNYM kapłan, który zawiera małżeństwo, jest automatycznie suspendowany. Tyle że o ślubie Panikkara mało kto wiedział, a on sam uważał, że porządek sakramentalny jest ważniejszy niż przepisy prawa, dlatego nadal odprawiał msze.

MARÍĘ uważano za jego sekretarkę, która jednocześnie prowadzi mu dom i jest organistką w kościele. Niejasnościom sprzyjał status znanego teologa, człowieka „który jest wszędzie i nigdzie": był inkardynowny do diecezji w Indiach, wykładał w USA, mieszkał w Hiszpanii i podróżował po całym świecie. Pogłoskom o jego ślubie nie wszyscy dawali wiarę, niektórzy je lekceważyli: biskup diecezji Varanasi, do której Panikkar należał, małżeństwo swojego kapłana określił jako „głupstewko". Do Watykanu informacje o hiszpańskim teologu docierały z opóźnieniem (oficjalna droga prowadziła z Hiszpanii do Indii, a stamtąd do Rzymu), dyskusje nad jego sytuacją trwały zaś latami i – o ile wiadomo – nigdy nie zakończyły się wydaniem dekretu o kościelnych sankcjach. Sytuacja skomplikowała się na przełomie lat 80. i 90. XX w., gdy para zdecydowała się adoptować dwoje hinduskich dzieci. Biskup diecezji Vic, do której należy Tavertet, zakazał Panikkarowi sprawowania sakramentów, ale tylko na podległym mu terenie. Od tamtej pory teolog unikał publicznych ceremonii i odprawiał msze w domu.

POD KONIEC ŻYCIA Panikkar poprosił władze kościelne o ponowne włączenie do grona kleru i w 2008 r. otrzymał dyskretną zgodę. María, wówczas już poważnie chora, mieszkała oddzielnie, co prawdopodobnie uznano za spełnienie warunku separacji, mimo że Panikkar odmówił wzięcia rozwodu i do końca swego życia opiekował się żoną. Formalnie był więc żonatym kapłanem.

DLACZEGO PANIKKAR zdecydował się na małżeństwo? Być może zaważyło poczucie odpowiedzialności za bliską osobę, która nie miała zabezpieczenia finansowego ani rodzinnego. Być może ślub był realizacją trzeciego hinduistycznego etapu drogi życia (Wanaprastha) – odejścia, wraz z żoną, na odosobnienie. Być może był to jego osobisty protest przeciwko celibatowi. A być może po prostu Marię pokochał. ©℗ EA

O. WACŁAW

Oszajca:
Słowo staje się ciałem

W tegorocznym orędziu na obchodzony 24 września Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu, napisanym jeszcze przez papieża Franciszka, czytamy: „Chrześcijanie nie są przede wszystkim tymi, którzy »mówią« o Bogu, lecz tymi, którzy odzwierciedlają piękno Jego miłości, nowy sposób przeżywania wszystkiego. Ta przeżywana miłość prowokuje pytanie i domaga się odpowiedzi: dlaczego tak żyjecie? Dlaczego tacy jesteście?”.

No i ludzie pytają. Jak to jest? Tak odklejeni jesteście od życia! Wszyscy wokół klaszczą z zachwytu, a wy nie klaszczecie. Wszyscy milczą, zerkają spode łba, umierają ze strachu, a wy, jakby nic strasznego się nie działo. Gadacie, jakbyście nie wiedzieli, że za takie gadanie słono się płaci. Albo inaczej, poetycko, za Janem Kochanowskim. Przede wszystkim duchownych, ale i świeckich. „Pytano kaznodzieje: Czemu to prałacie! / Nie tak sami żywiecie, jako nauczacie? / (A miał doma kucharkę) i rzecze: Mój panie! / Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset na nie; / A nie wziąłbych tysiąca, mogę to rzec śmiele, / Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele”.

Naiwnością byłoby oczekiwać, że jedni i drudzy któregoś poranka, po przepięknym i wzruszającym nabożeństwie, będą już bez „skazy czy zmarszczki, czy czegoś podobnego”. Zobaczmy zatem, co pracującym w mediach (i na ambonie, medium najstarszym) w ich święto radzą prorok Amos, psalmista i Jezus.

Prorok mówi: „Słuchajcie tego wy, którzy gnębicie ubogiego i bezrolnego pozostawiacie bez pracy”. Psalmista dodaje: Bóg „podnosi nędzarza z prochu, z gnoju dźwiga ubogiego, aby posadzić go pośród książąt, pośród książąt swojego ludu”. A Jezus przestrzega: „Żaden sługa nie może dwom panom służyć”.

Jako kaznodzieje, dziennikarze i dopisujący komentarze w social mediach nie możemy zapominać, że każde słowo staje się ciałem. Materializuje się w czynach. Nie zasłaniajmy więc oczu i nie zatykajmy uszu na skutki naszej pracy. Patrzmy, czy pomagają one w komunikowaniu się człowieka ze światem, czy przeciwnie – tę komunikację zaburzają. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Zmień język

Odwaga pokoju: tak brzmiał temat XII Zjazdu Gnieźnieńskiego, który przeżyliśmy w ubiegłym tygodniu. Bardzo trafny. Odwaga jest potrzebna nie tylko tym, którzy muszą iść na wojnę; odwaga konieczna jest także dla tych, którzy chcą wprowadzać pokój. Taką odwagę pokazał papież Franciszek, kiedy w swoim ostatnim przemówieniu bronił praw Palestyńczyków w Strefie Gazy i z niepokojem wyraził się o narastającym niemal wszędzie antysemityzmie. Podobną odwagę miał św. Jan Paweł II, kiedy w pierwszej reakcji na wojnę falklandzką (1982) zaprosił do siebie biskupów tak Argentyny, jak i Wielkiej Brytanii, aby razem z nim odprawili Eucharystię, modląc się o pokój między dwoma krajami. Taka sama odwaga cechowała dwie pielęgniarki – Ukrainkę i Rosjankę – które pierwszego roku wojny w Ukrainie chciały wspólnie odczytać rozważania jednej ze stacji Drogi Krzyżowej odprawianej w Koloseum. Cóż, takiego męstwa zabrakło organizatorom tej modlitwy, a dwie dzielne kobiety mogły jedynie razem ponieść krzyż... Prawdziwe dzieło pokoju musiało ustąpić, zakrzyczane przez protesty tych, którzy nawet modlitwę o pokój muszą poddać politycznym scenariuszom.

Odwaga pokoju. Dotyczy tak celu, jak i środków. Dążymy do pokoju – zgoda, ale czy czynimy to w pokojowy sposób? Szukając pokojowych narzędzi? Powszechny dyskurs o dochodzeniu do pokoju jest już w tej chwili właściwie jeden: pokój można zaprowadzić jedynie z pozycji siły. Każde inne myślenie jest uważane za oderwane od ziemi i szkodliwe marzycielstwo. „Z takim arsenałem, jakim dysponujesz, NIGDY nie zaprowadzisz pokoju”.

W krótkim wystąpieniu przesłanym do Gniezna kard. Pierbattista Pizzaballa, łaciński patriarcha Jerozolimy (nie mógł przybyć do Gniezna z powodu wojny!), postawił kompletnie inną tezę: „Chcesz pokoju? Zmień język, jakim wypowiadasz się na temat wojny, a przede wszystkim na temat swoich przeciwników i wrogów. Język, jakim się posługujemy, już dziś generuje wrogów w następnym pokoleniu”. To właściwa diagnoza. Konkretna i trzymająca się ziemi. Ostatecznie to ten, który się z nią nie zmierzy, jest szkodliwym marzycielem: z bronią w ręku obiecuje pokój, ale „wywalczy” jedynie krótkotrwały rozejm... Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój. Tak! Błogosławieni i bardzo odważni! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik:
Trolle w pokoju dziecka

„Szukam inspiracji na pokój dla chłopca, który lubi koparki" – pisze jedna. „Tak wygląda pokoik mojej dwulatki" – chwali się druga, radząc się innej użytkowniczki, co o nim sądzi i co zmienić. Szukają rady, inspiracji, pochwały. I dalej: „Sama zaprojektowałam", „Skąd ten dywanik?", „Jak się nazywa ta komoda?", „Czy sprawdza się wam ta biblioteczka?".

Co może być bardziej neutralnego niż internetowa grupa, w której kobiety dyskutują o dekorowaniu pokoi swoich dzieci? Owszem, udzielają się w niej pracownicy firm wnętrzarskich, co chwilę nachalnie proponując swoje tapety lub tapicerowane łóżka, ale oprócz nich chyba nikt – poza najbardziej zainteresowanymi – nie ma tu czego szukać.

Tak myślałam, aż drugiego dnia po nalocie rosyjskich dronów na Polskę któraś wrzuciła pytanie: „Czy warto urządzać pokój dla dzieci, skoro ma wybuchnąć wojna?". Z ciekawości zaglądam w komentarze, zwłaszcza że i tak stoję z wózkiem pod drzewem, chowając się przed przelotnym deszczem, a młoda śpi. W komentarzach, oprócz pocieszeń i zgryźliwego dystansu, również stwierdzenia dezinformujące. Ktoś pisze: „Skąd wiadomo, czy to rosyjskie, czy ukraińskie drony?". Ktoś inny: „Ale nie było naruszenia, to kolejna szopka, jak z covidem. Prowokacja". Ta od porównania z covidem jest bardzo aktywna w dyskusji, a dołączyła do grupy dzień przed nalotem dronów.

Wydawało mi się, że nie bywam w internecie w przestrzeniach, gdzie mogłabym spotkać dezinformację, o której czytam w gazetach i raportach. Trzeba oddać moderatorom sprawiedliwość, że usunęli ten wątek. Gdy wieczorem zajrzałam sprawdzić, jak rozwinęła się rozmowa, już go nie było.

Eksperci nazywają to z fasonem i groźnie „wojną kognitywną". Nazwę stworzyli autorzy raportu komisji ds. wpływów rosyjskich i białoruskich, opublikowanego na początku 2025 r. Ta odmiana wojny ma wpływać na percepcję wydarzeń oraz opinie i postawy Polaków. I jest to rodzaj niemilitarnej agresji. Deprecjonowanie Ukrainy, NATO i UE oraz pokazywanie zachodniej cywilizacji jako upadłej – to jej podstawowe narzędzia. Do tego dochodzi promowanie teorii spiskowych, zwłaszcza dotyczących zdrowia i szczepionek, by podważyć zaufanie publiczne.

Komisja ds. wpływów powołuje się na badania, według których „tylko nieco ponad 50 proc. populacji jest w stanie odróżnić w mediach prawdę od kłamstwa, jeśli ufa mediom społecznościowym. Nie ma przy tym różnic między kobietami a mężczyznami". Straszne. Zwłaszcza że moce internetu rosną, wraz z pojawieniem się AI i możliwością tworzenia głębokich fałszywek. Ofiarą takich działań padają działacze ukraińscy w Polsce, w których usta wkładane są rzeczy, jakich nigdy o Polakach nie mówili.

Jeżeli używamy sformułowania „wojna kognitywna", to dobrze byłoby mieć również narzędzia, by się w niej bronić. Narzędzia inne niż pukanie do bram firm technologicznych, które na nasze prośby i skargi odpowiadają bezosobowo, o ile w ogóle, a to, co zgłaszamy, zwykle okazuje się „nie naruszać standardów platformy". Wiadomo skądinąd, że także przed ostatnimi zmianami, które jeszcze zmniejszyły nadzór, treści nie były wystarczająco moderowane, a platformy reagowały powolnie lub wcale.

Skoro jesteśmy na kognitywnej wojnie, to zarówno produkty Mety, jak i wolnościowy X są miejscem potencjalnego spotkania z wrogiem. Powinniśmy brać to pod uwagę jako zwykli użytkownicy, nawet z grup poświęconych dekoracji dziecięcych pokoi. Powinni brać to też pod uwagę dziennikarze i politycy, wciąż w dużej mierze żyjący na X i tam komunikujący się z wyborcami i sobą nawzajem.

Czy wobec realnego zagrożenia wojną kognitywną instytucjom europejskim uda się w końcu wymusić moderację platform na amerykańskich firmach?

Swoją drogą, jeśli ich celem jest dzielić i mącić poprzez osłabianie wsparcia dla Ukrainy, UE, wątpienie w siłę NATO i europejską cywilizację, to mniej lub bardziej przypadkowych sojuszników tej strategii jest w polskim życiu publicznym mnóstwo. Zarówno w nowych mediach, jak i starych.

A skoro o strategiach informacyjnych mowa, to jednak frapujące jest, że gdy jestem w Polsce, oba moje numery telefonu dostają komunikaty RCB przed każdą większą burzą. Jednak w feralny poranek po nalocie dronów milczały. O tym, że lotnisko jest zamknięte, podobnie jak przestrzeń powietrzna nad Polską, dowiedziałam się, czekając na samolot przy bramce. I to nie od obsługi lotniska, lecz z gazety, do której zajrzałam z nudów, czekając na opóźniający się odlot. Obcokrajowczyni obok mnie nie miała pojęcia, dlaczego czekamy. Walka z dezinformacją powinna też zakładać sposób informowania o tym, co się dzieje. Bo w kryzysie informacji powinno być więcej, a nie mniej, by w szczeliny komunikatów nie wkradały się wątpliwość, kłamstwo i plotka. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

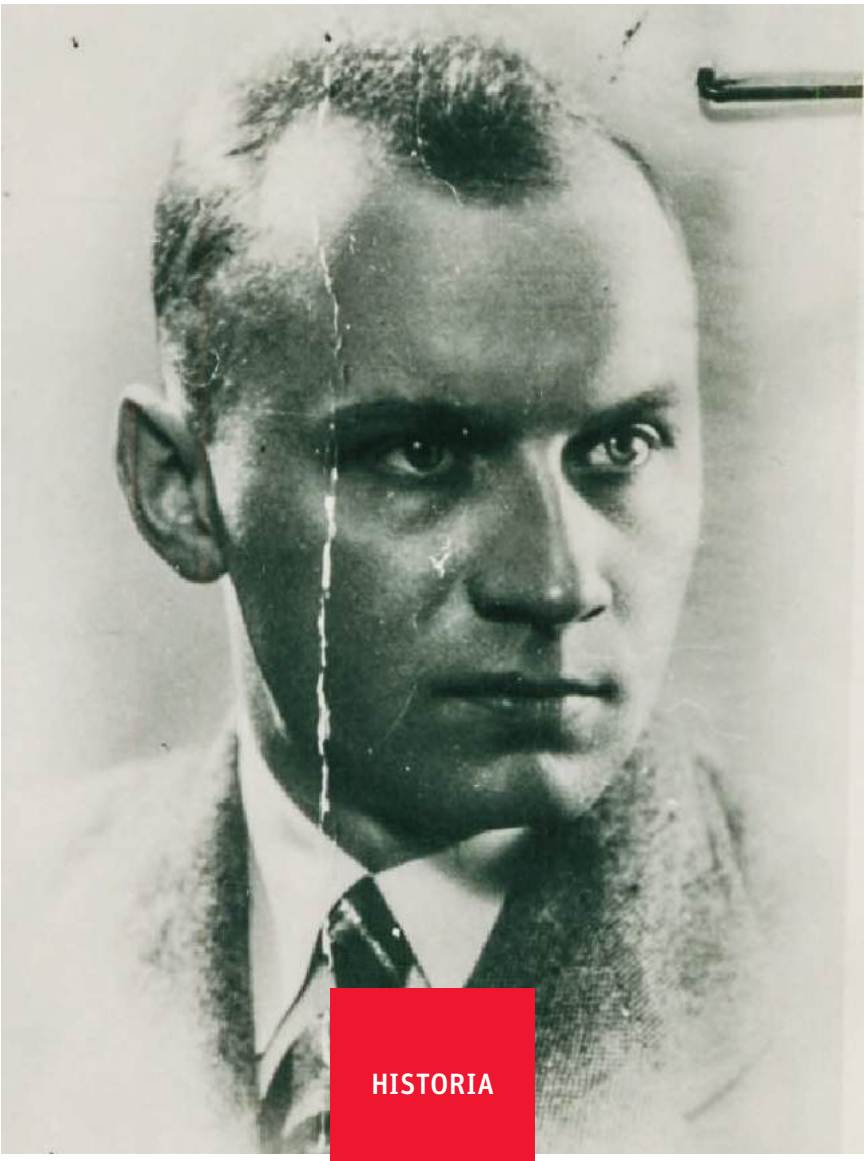

ZE ZBIORÓW RAFAŁA SIERCHUŁY

Zenon Ciemniejewski

HISTORIA

DAŁBYM SIĘ ZA NIEGO ZARŻNĄĆ

Był jednym z najcenniejszych agentów Gestapo w Wielkopolsce. Wydał Niemcom kilkuset ludzi, w tym własną żonę. Potem ślad po nim zaginął.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Problem z historią konspiracji w czasie II wojny światowej w Wielkopolsce jest taki, że niewielu z tych, którzy brali w niej udział, ocalało. Stąd fakty trzeba sztukować domysłami.

Niemcy szybko spenetrowali główne organizacje podziemne, które powstały na terenie Wielkopolski – jesienią 1939 r. wcielonej do III Rzeszy i nazwanej Warthegau. Jedną z nich była Narodowa Organizacja Bojowa, utworzona w listopadzie 1939 r. przez młodych działaczy Stronnictwa Narodowego.

Już w sierpniu 1940 r. SS-Standartenführer Ernst Damzog, szef policji w Warthegau, raportował do Berlina, że ma „dobre dotarcie do tej organizacji. Nie może właściwie zostać przedsięwzięte nic, o czym wcześniej nie wiedziałaby policja państwowa. Skoro tylko dochodzenia zostaną zakończone (...) planuje się (...) nagłą likwidację całej tej organizacji".

Konspiratorzy z NOB nie mogli przeczuwać, że jeden z ich grona – spośród tych, którzy wypowiadali przed krucyfiksem rotę przysięgi – już wkrótce, bo od stycznia 1940 r., stanie się wspomnianym przez Damzoga „dobrym dotarciem".

WNIOSEK | Teczka Gestapo, zawierająca *dossier* konfidenta zakwalifikowanego jako VM (*Vertrauensmann*, osoba zaufana), ma własną zaskakującą historię (o czym później). W teczce znajduje się wniosek o wpisanie jego oraz żony i czwórki dzieci, a także ojczyma na Volkslistę (Niemiecką Listę Narodowościową). Wnioskujący pisze, że jako Polak został wychowany przez rodziców w duchu niemieckim i nie odpowiadało mu złe nastawienie do Niemiec przedwojennych polskich władz.

Dlatego w 1937 r. zajął się działalnością polityczną, w której za swe zadanie uznał wzorowanie się na niemieckich porządkach w gospodarce i polityce. „Wstąpiłem więc do nacjonalistycznej organizacji – pisze V-Mann – której celem było utworzenie nowego państwa Polskiego na bazie nacjonalistycznej tj. chodziło nam między innymi o wyrugowanie wszystkich Żydów z czołowych pozycji w życiu gospodarczym i politycznym kraju, oraz zduszenie w narodzie wszelkiego ducha demokracji" (pisownia oryginalna).

Po 1939 r. wnioskujący postanowił przyłączyć się nie do tych, którzy występują przeciw III Rzeszy, lecz tych, którzy, jak

pisze, „uczestniczą w wielkim dziele budowy”. Zaświadczyć o nim może Gestapo: dzięki niemu osiągnęło wiele sukcesów w rozpracowaniu polskich organizacji.

We wniosku jest zapewnienie, iż aplikujący jest aryjczykiem i wyznaje narodowość niemiecką, a także przyrzeczenie, że chce „aktywnie uczestniczyć w wielkim dziele Führera”. Pod wnioskiem podpis: Zenon Ciemniejewski.

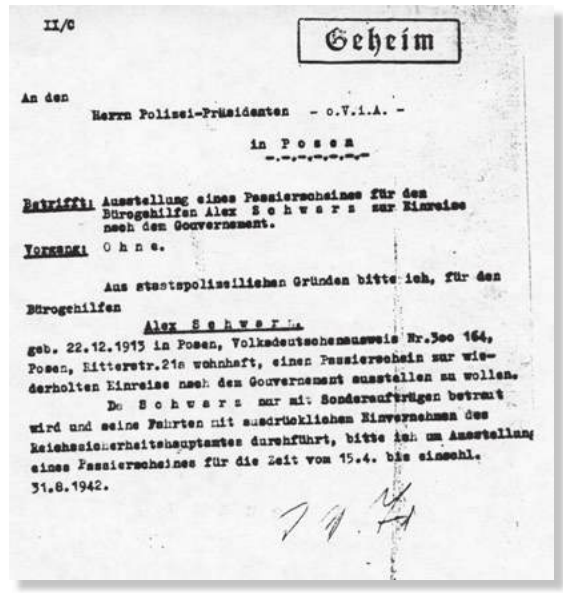

II/C

Geheim

An den

Herrn Polizei-Präsidenten - o.V.i.A. -

in Posen

Betrifft: Ausstellung eines Passierscheines für den Bürogehilfen Alex Schwarz zur Einreise nach dem Gouvernement.

Vorgang: Ohne.

Aus staatspolizeilichen Gründen bitte ich, für den Bürogehilfen

Alex Schwarz,

geb. 22.12.1913 in Posen, Volksdeutschenausweis Nr.300 164, Posen, Ritterstr.21a wohnhaft, einen Passierschein zur wiederholten Einreise nach dem Gouvernement ausstellen zu wollen.

Da Schwarz nur mit Sonderaufträgen betraut wird und seine Fahrten mit ausdrücklichem Einvernehmen des Reichssicherheitshauptamtes durchführt, bitte ich um Ausstellung eines Passierscheines für die Zeit vom 15.4. bis einschl. 31.8.1942.

ZBIORY AIPN

Pismo od poznańskiego urzędu Gestapo do szefa policji z prośbą o wystawienie przepustki pozwalającej na wielokrotny wjazd na teren Generalnego Gubernatorstwa dla Alexa Schwarza (tj. Zenona Ciemniejewskiego), który „wykonuje zadania specjalne”. Dokument z teczki Ciemniejewskiego.

DEZERTER | Wniosek V-Manna zawiera też odręczny życiorys. Dowiadujemy się z niego, że urodził się on w Poznaniu w 1913 r. Ojciec, z zawodu szewc, brał udział w I wojnie światowej, został ciężko ranny i zmarł. Matka wyszła ponownie za mąż.

Ciemniejewski ukończył szkołę podstawową w Poznaniu, a następnie przeniósł się do Kazimierza Biskupiego w powiecie konińskim. Tam uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. Studia podjął na Uniwersytecie Poznańskim na wydziale prawa. W 1936 r. powołany do służby wojskowej w 61. pułku piechoty w Bydgoszczy, po powrocie do Poznania nie mógł kontynuować przerwanych studiów, gdyż, jak pisze, był już żonaty i musiał utrzymać rodzinę. Zatrudnił się w miejskiej administracji.

Mając 26 lat, w sierpniu 1939 r. został zmobilizowany, ale, jak podaje, nie walczył, gdyż „mieliśmy wielkie braki w uzbrojeniu i od początku braki w organizacji”. Jego pułk krążył jakoby „bez celu tam i z powrotem”, dlatego go opuścił. Czytaj: zdezerterował.

Informacje uzupełniające ten życiorys znajdują się w „Encyklopedii konspiracji wielkopolskiej 1939-1945”, pracy zbiorowej pod redakcją Mariana Woźniaka. On też jest autorem biogramu Ciemniejewskiego. Podaje w nim, że był on „aktywnym działaczem Wydziału Młodych SN w dzielnicy Jeżyce, a jednocześnie współpracował ściśle z adwokatem Michałem Howorką w ramach Stronnictwa Wielkiej Polski”.

MENTOR | Ta informacja to ważny ślad. Howorka wyznawał poglądy skrajnie nacjonalistyczne, antysemickie i antydemokratyczne. Odżegnywał się od Stronnictwa Narodowego, do którego władz wojewódzkich pierwotnie należał, uznając jego sposób działania, dyktowany przez polityków starszej generacji, za nie dość radykalny. W broszurze „Walka o Wielką Polskę” z 1934 r. pisał, że „klika judeomasońska umacnia się w kraju, w społeczeństwie, a wielki obóz narodowy okazuje się niezdolny do rządzenia państwem”.

Howorka uważał, że „jaskółkami, które niosą wiosnę”, są zmiany w Niemczech pod rządami Hitlera. Jednak, ku jego ubolewaniu, zrozumienie ich istoty w Polsce jest utrudnione, gdyż „zręczna propaganda” polskich władz „wykorzystuje antypolskie hasła” Hitlera i „stwarza z nich ciemne okulary, przez które patrzymy na ruch hitlerowski”. Dlatego jego idee „nie mogą przeniknąć” do Polski tak szybko, jak by autor sobie tego życzył.

Howorka uważał, że społeczeństwo powinno zostać „odżydzone”: Żydów należy wypędzić, wpierw doprowadzając ich do ekonomicznego bankructwa. „Nie możemy ich inaczej wypuścić jak z dziadowskimi torbami” – postulował.

Wydaje się, że poglądy te mogły mieć wpływ na Ciemniejewskiego.

OSOBOWOŚĆ | Jak wynika z relacji konspiratorów, którzy ocaleli, w tle jakoby ideowych pobudek, które skłoniły Ciemniejewskiego do współpracy z Gestapo, kryła się skłonność do czynów przestępczych. Zapewne liczył, że taką współpracą zapewni sobie bezkarność.

Jeden z ocalałych relacjonuje: „Aparat fotograficzny ukryty za belką na strychu nie wpadł wprawdzie przy rewizji, ale potem Grzelnik i Ciemniejewski (...) wyłudzili go od mego szwagra i zabrali go chyba dla siebie, bo nie był dowodem przy przesłuchaniach. Obaj znani byli z tego, że nachodzili rodziny aresztowanych, by od nich wyłudzić różne dobra”. Co obiecywali w zamian? Prawdopodobnie pomoc w uwolnieniu aresztowanych, których sami uprzednio zadenuncjowali. To proceder znany z czasów okupacji.

Realia tamtego czasu mogły kusić Ciemniejewskiego możliwością wzbogacenia się. Polakom i Żydom konfiskowano sklepy i firmy, wysiedlano ich z mieszkań, nakazując zostawić mienie. Przejmowali je zarówno Niemcy, jak i ci Polacy, którzy zadeklarowali przynależność do narodu niemieckiego.

Dla takich jak Ciemniejewski nastały złote czasy. Można było obławiać się łupami z mienia po wysiedlonych, a wobec tych, których przestało chronić prawo, używać bandyckich wymuszeń.

PROWOKATOR | Antoni Wolniewicz, dowódca Narodowej Organizacji Bojowej, powierzył Ciemniejewskiemu funkcję inspektora rejonu Nowy Tomyśl-Wolsztyn-Kościan-Śrem. Stało się to w czasie, gdy konfident dostarczył już Niemcom wiele informacji o organizacji. Najwyraźniej nie miał oporów, że donosi na kolegów.

Ocalały świadek z Kościana tak opisuje swoje z nim spotkanie: „Dałbym się wtedy za niego zarżnąć. (...) Wzrost 1,70-1,75. Ciemny blondyn o pociągłej twarzy lekko zaokrąglonej. Swobodny, pewny siebie w obejściu. (...) Interesował się naszymi wojennymi przeżyciami z 1939 roku, ciekaw był dalszych naszych losów”.

Losy większości z tych, którzy w konspiracji zetknęli się z Ciemniejewskim, były tragiczne. W podległym mu rejonie ↦

stosował być może prowokacje, zachęcając do zakładania terenowych oddziałów. Stworzył sobie tym okazję do szantażu, gdy w grudniu 1940 r. Gestapo zaczęło rozprawę z NOB-em. To przypuszczenie, ale oparte na jego osobowości.

W efekcie jego agenturalnej działalności NOB został rozbity. Aresztowania były tak liczne, że ujętych Niemcy musieli umieszczać w więzieniach poza Poznaniem. Dowódców i wielu członków NOB-u skazano na śmierć.

ZBIORY AIPN

ZE ZBIORÓW RAFAŁA SIERCHUŁY

Od lewej: Antoni Wolniewicz, przywódca NOB-u. Michał Howorka z kobietą NN.

OFIARY | Tuż po rozpoczęciu akcji likwidacyjnej agentowi zmieniono tożsamość. Występować zaczął wpierw jako Zenon Bosiacki, a później Alex Schwarz. Powierzano mu zadania rozpracowania innych organizacji, także poza Wielkopolską. Dla kolejnych konspiratorów zakończyło się to utratą życia.

Losu tego nie uniknął też dawny mentor, który po niemieckiej napaści poszedł inną drogą niż jego młodszy o kilkanaście lat współpracownik: w 1939 r. Howorka uciekł przed Niemcami do Warszawy, wstąpił do ZWZ (poprzednika AK). Spotkany przypadkowo przez Ciemniejewskiego na ulicy w Warszawie, został przez niego zadenuncjowany. Aresztowany, trafił do Auschwitz, gdzie zginął w 1942 r.

Ofiarą agenta padła też jego żona. Obciążona przez niego jakimś oskarżeniem, miała zostać zamęczona – wedle jednego z przekazów – w poznańskim Forcie VII, który służył Gestapo za więzienie. Przypuszcza się, że powodem oskarżenia mogła być chęć pozbycia się żony, gdy rozochocony własnym powodzeniem Ciemniejewski przygarnął sobie kochankę.

To rozochocenie, a także coraz większa pewność siebie i bezkarność sprawiły, że stał się nieostrożny.

ZAGINIONY | Edward Serwański, członek podziemnych władz cywilnych, wspominał po wojnie rozmowy z gen. Tadeuszem Komorowskim „Borem" z dowództwa ZWZ-AK, w których pojawia się Ciemniejewski. Jego agenturalność była już najwyraźniej znana.

„Nakłaniałem go [„Bora" – red.] wielokrotnie, aby w trybie wojskowym spowodował akcję usuwania agentów niemieckich z Wielkopolski, ponieważ w istocie nie dało się już bezpiecznie pracować. (...) Kilkakrotnie przedstawiałem generałowi na przykład sprawę Ciemniejewskiego (...), bardzo niebezpiecznego konfidenta, który dziwnym sposobem stale ocierał się o poznańską konspirację. Podawałem jego personalia, dokładny adres w Poznaniu".

Serwański twierdzi, że „Bór" upoważnił go do stracenia konfidenta. Na co miał oświadczyć, że tego nie zrobi, gdyż nie ma wyroku sądu (poza tym likwidacja konfidentów nie leżała w kompetencji administracji cywilnej).

Zanim ten problem rozstrzygnięto, Ciemniejewski został latem 1943 r. aresztowany przez Gestapo. Dlaczego? Jeśli rzeczywiście Niemcy go aresztowali, powodem mogła być pazerność agenta. Wedle relacji świadka, gdy Ciemniejewski uznał kogoś za osobę zasobną, fałszywie go oskarżał, po aresztowaniu włamywał się do jego mieszkania i je okradał. Czy wszedł w drogę gestapowcom, którzy też byli żądni łupów? To jedna z hipotez.

Ale mogło być inaczej: może Niemcy uznali go za „spalonego" i wycofali, pozorując aresztowanie?

DOCHODZENIE | Historia ta miała ciąg dalszy. W listopadzie 1949 r. w komisariacie milicji w Poznaniu zgłosił się mężczyzna, który stwierdził, że w lokalu na Jeżycach natknął się na konfidenta Gestapo Ciemniejewskiego, przez którego wielu Polaków straciło życie.

Milicja wszczęła dochodzenie. Przesłuchano bliskich ofiar zdrajcy, poszukiwano go pod różnymi adresami. Ustalono, że występował pod nazwiskiem Schwarz. Odnaleziono jego dzieci i ojczyma (ten zeznał, że w sprawie pasierba było już jakieś śledztwo).

Milicja umorzyła sprawę, gdy z Urzędu Stanu Cywilnego otrzymała informację, że poszukiwany zmarł 29 lipca 1943 r. podczas przesłuchania na Gestapo.

Po wojnie komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa chętnie rekrutował byłych agentów niemieckich. W całej Polsce ubecy poszukiwali dotyczących ich archiwów – niemieckich oraz kontrwywiadu AK. W przypadku Poznania gmach Gestapo uległ w dużej mierze zniszczeniu w czasie walk o miasto w styczniu i lutym 1945 r. Miejska plotka niosła, że w ruinach gmachu znaleziono listę konfidentów, która trafiła do komunistycznych tajnych służb.

TECZKA | W finale tej historii jest jeszcze sprawa teczki zawierającej agenturalne *dossier* Ciemniejewskiego. Bo została ona po wojnie odnaleziona. Co zagadkowe, nie wykorzystano jej w milicyjnym śledztwie, jakby o niej nie wiedziano.

Wersje jej odnalezienia są różne. Wedle najbardziej prawdopodobnej pierwszy dokonał tego Nikodem Pałasik, ocalały członek NOB-u. Miał znaleźć ją w więzieniu przy ulicy Młyńskiej i sfotografował jej zawartość. W czerwcu 1956 r., gdy protestujący poznaniacy zajęli więzienie i wyrzucali przez okna dokumenty, na teczkę miał natrafić historyk Zdzisław Grot. Nie wiadomo jednak, co stało się dalej z jej oryginałem.

Obecnie dostępne są jedynie kopie. Poszukujący przez lata oryginału dziennikarz Jerzy Zielonka nigdy go nie odnalazł.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Korzystałem m.in. z akt IPN Po1468/1 oraz prac: A. Pietrowicz i R. Sierchuła „Ku armii narodowej"; „»Ojczyzna« 1939-1945" (2004); E. Serwański „W kręgu myśli zachodniej" (2003); J. Zielonka„Czarna teczka »Aleksa« (III)" („Panorama Leszczyńska" nr 6/1982).
Dziękuję dr. Rafałowi Sierchule z Oddziału IPN w Poznaniu za konsultacje.

Nike
Nagroda Literacka

PLEBISCYT Nike Czytelników

ZAGŁOSUJ

wyborcza.pl /nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 30 września

Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

REKLAMA

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENAS: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

PATRONI MEDIALNI: ams, GAZETA.PL, radio ZET, chillizet, tokfm

NAUKA

RASY NIE ISTNIEJĄ

Podręczniki do genetyki przekonują, że u ludzi rasa jest konstruktem społecznym, a nie biologicznym faktem. Jednak w badaniach biomedycznych nadal wykorzystuje się kategorie rasowe. To jak z tą rasą właściwie jest?

ŁUKASZ KWIATEK

Naukowcy używający pojęcia rasy w czasopismach czy podręcznikach akademickich poruszają się po grząskim gruncie. Oczywiście wiedzą, jakie awantury w społeczeństwie wywołują przekonania i mity na temat różnic rasowych, więc muszą liczyć się z tym, że ktoś oceni ich wypowiedzi jako nacechowane ideologicznie.

Ale jest i ważniejszy powód: rasa to termin po przejściach. W dawnych podręcznikach i publikacjach z antropologii czy genetyki roiło się od rasowych uprzedzeń. W ramach tzw. nauki o rasach biali naukowcy opiewali wyższość intelektualną przedstawicieli białej rasy, mniej lub bardziej intencjonalnie usprawiedliwiając nierówności rasowe, dawniej prawnie usankcjonowane.

Przykładowo, Thomas Jefferson, przyrodnik, trzeci prezydent USA oraz właściciel kilkuset niewolników, pisał w „Uwagach o stanie Wirginia" (1785) na temat czarnych Amerykanów: „ich egzystencja zdaje się bardziej opierać na doznaniach niż refleksji (...) Wydaje mi się, że w pamięci są równi białym; w rozumie – znacznie gorsi, gdyż, jak sądzę, trudno byłoby znaleźć czarnego, który byłby zdolny prześledzić i pojąć dociekania Euklidesa; a jeśli chodzi o wyobraźnię – są ociężali, pozbawieni smaku i osobliwi".

COMSTOCK / GETTY IMAGES

Z kolei w książce „Types of Mankind" (Typy człowieka) z 1854 r. znalazły się szkice anatomiczne przekonujące, że czaszki mieszkańców Afryki w większym stopniu przypominają czaszki szympansów niż Europejczyków. Autor rozdziału (Josiah C. Nott) przyznał, że nie wierzy w „intelektualną równość wszystkich ras", ale zażegnywał się też, że nie należy „do tych, którzy skłonni są degradować jakikolwiek typ ludzkości do poziomu stworzeń zwierzęcych". Sama książka przedstawiała ważną dla całej „nauki o rasach" teorię poligenistyczną – zgodnie z nią każda ludzka rasa wywodzi się z innej źródłowej populacji.

Pojęcie po przejściach

To historyczne obciążenie opisał z własnego doświadczenia Adam Rutherford, brytyjski genetyk o połowicznie hinduskim rodowodzie, w wydanej w 2020 r. książce „How to Argue with a Racist" (Jak się kłócić z rasistą). W młodości uczestniczył w badaniach prowadzonych w Laboratorium im. Galtona i chodził na wykłady pracowników katedry im. Galtona, wygłaszane w auli im. Galtona. To wszystko honorowało Francisa Galtona – badacza, którego intelektualne dziedzictwo obejmuje „mapy pogodowe, fundamentalne techniki statystyczne, daktyloskopię, a także naukowe podwaliny pod eugenikę – i samo to pojęcie".

Marzeniem Galtona było „wyhodowanie" optymalnej odmiany człowieka, poprzez selektywne krzyżowanie się osób obdarzonych wartościowymi cechami. Którzy ludzie mieli mieć najwięcej wartościowych cech – to już łatwo sobie dopowiedzieć, pamiętając o powszechnych wówczas uprzedzeniach wobec czarnych, zresztą wielokrotnie wyrażanych też przez Galtona (np. w listach z Afryki pisał, że pewna grupa osób zachowuje się podobnie do stada pawianów; sugerował też, by przesiedlić do Afryki grupę Chińczyków, bo „ci przedsiębiorczy ludzie" mogliby się tam rozmnażać i kiedyś zastąpić „podrzędną czarną rasę").

To historyczne obciążenie pojęcia rasy prowadzi nas do punktu, w którym nauka zderza się ze światopoglądem. Od II wojny światowej trwa walka o wymazanie z nauki śladów po dawnym rasizmie, co w Stanach Zjednoczonych wyraźnie przyspieszyło po zabójstwie George'a Floyda, które zapoczątkowało ruch Black Lives Matter (BLM). Przykładowo, redakcja „Nature" zapowiedziała rozliczenie się z promowaniem w przeszłości nauki o rasach, wśród swoich historycznych grzechów wymieniając publikowanie eugenicznych pism Galtona.

Ale zostawmy na boku moralne oceny postaci takich jak Galton i rozliczanie się z własną historią przez naukowe towarzystwa – kluczowe jest to, że Galton, Nott i Jefferson nie byli wyjątkami, lecz wyrażali poglądy powszechnie występujące w dawnej nauce i podpierane wynikami badań spełniających ówczesne standardy. Dziś te standardy się zmieniły, pojawiły się nowe techniki badawcze, a także wzrosła świadomość i wrażliwość moralna naukowców (i społeczeństwa). W efekcie rasa stała się pojęciem, którego użyteczność w nauce jest powszechnie kwestionowana. Jednak nie tylko z powodów historycznych i światopoglądowych. Przede wszystkim dlatego, że jest mętne.

Ile mamy ras?

Za jednego z pomysłodawców koncepcji ludzkich ras uważa się Karola Linneusza, pobożnego szwedzkiego przyrodnika, który mawiał skromnie: „Bóg stworzył, Linneusz uporządkował". W najbardziej znanej, dziesiątej edycji jego „Systema naturae" (1758), które dało początek nowożytnej systematyce biologicznej, do gatunku *Homo sapiens* wliczone zostały takie rasy / podgatunki jak: amerykańska, azjatycka, afrykańska, europejska oraz... potworna ↦

↦ (*Homo sapiens monstrosus*), reprezentowana przez osoby z karłowatością i legendarne stwory. Głównym kryterium podziału było oczywiście pochodzenie geograficzne i kolor skóry, ale poszczególnym rasom Linneusz przypisywał również cechy osobowości – np. kobiety rasy afrykańskiej miały być leniwe, przebiegłe, bezwstydne i kapryśne; przedstawiciele rasy azjatyckiej: surowi, wyniośli, chciwi i podatni na opinie innych; europejskiej: poważni, aktywni, bardzo inteligentni, pomysłowi, rządzeni prawami.

W ciągu następnych dwustu lat pojawiły się dwie kolejne wpływowe klasyfikacje uwzględniające pięć ras: niemieckiego przyrodnika Friedricha Blumenbacha (wyróżnił rasę kaukaską, mongoidalną, malajską, amerykańską i negroidalną, którym odpowiadały kolory skóry: biały, żółty, brązowy, czerwony i czarny) oraz amerykańskiego antropologa Carletona Coona (rasa kapoidalna – Afryka południowa i wschodnia; negroidalna – reszta Afryki; kaukaska – Europa; mongoidalna – Azja i Ameryki; australoidalna – Australia).

Kontynuuję te historyczne dygresje, ponieważ prowadzą nas do fundamentalnego pytania: jeśli przyjmiemy, że ludzkość można podzielić na rasy, to ile ich właściwie jest i jak przebiega podział? Bardziej współczesny tropiciel różnic rasowych, kanadyjski psycholog John Phillipe Rushton, wymieniał tylko trzy: białą, czarną i orientalną. Kto ma rację? Pytanie nie jest czysto akademickie – dla „nauki o rasach" jest fundamentalne, w końcu od tego, jak podzielimy ludzkość, zależy to, jakie cechy przypiszemy przedstawicielom poszczególnych grup. Bo przecież w klasyfikacjach rasowych nigdy nie chodzi tylko o kolor skóry.

Od II wojny światowej **trwa walka o wymazanie z nauki śladów po dawnym rasizmie,** co w USA wyraźnie przyspieszyło po zabójstwie George'a Floyda, które zapoczątkowało ruch Black Lives Matter.

Co robi różnice

Według Rushtona, różnice rasowe (między ludźmi „rasy czarnej, białej i orientalnej") są widoczne we wzorcach dojrzewania, długości życia, osobowości, funkcjonowaniu rodziny, przestępczości i odnoszeniu sukcesu w organizacjach społecznych. W książce „Race, Evolution and Behavior" z 1995 r. pisał m.in.: „Na całym świecie wśród Czarnych poziom przestępczości jest najwyższy, u Orientalsów – najniższy, a Biali są pośrodku. Czarni są najbardziej towarzyscy i mają najwyższą samoocenę; Orientalsi wykazują największą gotowość do odraczania gratyfikacji, a Biali (...) zajmują pozycję pośrednią. Czarni umierają najwcześniej, Biali później, Orientalsi żyją najdłużej – nawet przy zapewnionej dobrej opiece medycznej. Ów trójdzielny schemat rasowy utrzymuje się od kołyski aż po grób".

Rushton, który przez ostatnią dekadę życia przewodził proeugenicznej organizacji Pioneer Fund, próbował te różnice wyjaśniać odmiennymi strategiami reprodukcyjnymi, które wyewoluowały w każdej z tych ras (uważał, że Czarni próbują maksymalizować liczbę potomstwa, a Orientalsi – jego jakość), co spotkało się z druzgocącą krytyką. Antropolog Agustin Fuentes w książce „Race, Monogamy, and Other Lies They Told You" (Płeć, monogamia i inne kłamstwa, które ci zostały wmówione) z 2012 r. podsumował to tak, że Rushton łączył kiepską metodologię własnych badań z wybiórczym sięganiem po dane statystyczne publikowane przez innych.

Krytykom nie chodzi o to, że między rozmaitymi populacjami nie ma żadnych różnic – mnóstwo badań ujawnia, że one są – tylko że rozkład tych różnic w populacjach nie pokrywa się z żadnym proponowanym podziałem ludzkości na rasy. Istnieje przy tym wiele możliwych wyjaśnień różnic między populacjami – związanych ze środowiskiem, stylem życia, poziomem zamożności, kulturą itd. Pochodzenie genetyczne może mieć wpływ na jakąś cechę, ale w badaniach trudno odsiać pozostałe czynniki (bardzo problematyczne jest np. badanie czynników różnicujących poziom inteligencji). Rasa czy pochodzenie nie powinno być na pewno pierwszym wyjaśnieniem, które przychodzi nam do głowy.

Zresztą, sama wiedza na temat naszego pochodzenia nie sprzyja używaniu tradycyjnych kategorii rasowych.

Wyjście z Afryki

Rodzaj ludzki pojawił się ok. 2-3 mln lat temu w Afryce, wyodrębniając się spośród innych dwunożnych małp człowiekowatych. Ok. 2 mln lat temu nasi

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

BRUKSELA, środa 17 września godz. 18.00, spotkanie dyskusyjne „Samotność w epoce internetu i mediów społecznościowych". Prowadzenie: Magdalena Sapała, Maciej Szymański, Lodzkie House (Square Marie Louise 2)

GRUDZIĄDZ, czwartek 25 września godz. 17.30, spotkanie z Mirosławem Wlekłym, „Jaki papież? Znaki czasu czy znak czasów?", spotkanie współorganizowane z Biblioteką Miejską (ul. Legionów 28).

WARSZAWA, czwartek 25 września godz. 18.00, spotkanie z Przemysławem Wilczyńskim, redaktorem „Tygodnika Powszechnego": „Po co szkoła: rozmowa o edukacji", prowadzenie: Magdalena Dudek, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

PENTA SPRINGS / ALAMY / BE&W

Rasa amerykańska, malajska, kaukaska, mongolska i etiopska. Rycina z publikacji „Ssaki w ilustracjach według natury z opisami" Johanna Christiana Daniela von Schrebera, XIX w.

przodkowie zaczęli kolonizację Eurazji. Gdzieś w tym czasie stracili futra, co sprawiło, że ich skóra została wystawiona na promieniowanie słoneczne. Obronę przed jego szkodliwym wpływem zapewniał im barwnik – melanina. Ewolucja promowała więc jego większą ilość. Ludzie stali się czarni.

W ciągu kolejnych 2 milionów lat migracje z Afryki do Eurazji powtarzały się, a kolejni kolonizatorzy zastępowali dotychczasowych mieszkańców lub się z nimi mieszali. Ok. 300 tys. lat temu, także w Afryce, pojawił się nasz gatunek – *Homo sapiens*. A ok. 60-70 tys. lat temu miała miejsce kluczowa migracja: przedstawiciele naszego gatunku (możliwe, że zaledwie kilka-kilkanaście tysięcy osób), którzy wyruszyli z Afryki, trwale zastąpili wszystkie pozostałe populacje / gatunki człowieka mieszkające w Eurazji od setek tysięcy lat lub dłużej. Ok. 50 tys. lat temu ci ludzie dotarli, jako pierwsi, do Australii i (zaledwie 30-15 tys. lat temu) do Ameryk. Dopiero po owej kluczowej migracji ludziom żyjącym poza Afryką i wystawionym na mniejsze promieniowanie skóra pojaśniała.

Ten antropologiczny scenariusz, określany mianem „wyjścia z Afryki", jest dzisiaj doskonale udokumentowany i tłumaczy to, dlaczego globalnie ludzie są genetycznie bardzo podobni (dwoje losowych ludzi różni się tylko ok. 0,1 proc. DNA). Największe zróżnicowanie genetyczne występuje w Afryce, będącej naszą kolebką, ponieważ jej mieszkańcy mieli setki tysięcy lat więcej, by wytworzyć większą liczbę unikalnych wariantów genetycznych. Wszyscy ludzie będący „rdzennymi" mieszkańcami Europy, Azji, Australii i Ameryk dzielili tymczasem wspólnych przodków ok. 70 tys. lat temu, przez co ich poszczególne populacje miały znacznie mniej czasu, aby się genetycznie wyraźnie oddzielić.

Jeszcze pod koniec XX w. niektórzy antropolodzy próbowali bronić tzw. „hipotezy multiregionalnej", zgodnie z którą wspólnych przodków mieszkańców różnych kontynentów należy szukać w pierwszej migracji z Afryki, sprzed ok. 2 milionów lat. Potem ta populacja miała się rozdzielić i ewoluować osobno na każdym kontynencie, skąd wzięłyby się współczesne rasy (mamy tu więc znaną nam już koncepcję poligenistyczną przebraną w nowe szaty). Jednak dowody genetyczne nie pozostawiają wątpliwości, że to fałszywy scenariusz.

Krótko mówiąc, u ludzi nie zaszły warunki, które sprzyjałyby faktycznemu wyłonieniu się tradycyjnie rozumianych, mocno wyróżnionych ras.

Porzućmy rasę!

Nie powinno więc nas zbytnio dziwić, że dziś w wielu artykułach naukowych odnoszących się do pojęcia rasy można przeczytać, że „rasa i pochodzenie etniczne są konstruktami społecznymi, pozbawionymi naukowego czy biologicznego znaczenia". To często cytowane zdanie pochodzi z wytycznych dotyczących raportowania rasy i pochodzenia etnicznego opublikowanych w 2021 r. przez redakcję „Journal of the American Medical Association" („JAMA").

W literaturze naukowej zaroiło się też od apeli, by z pojęcia rasy całkowicie zrezygnować – ale odzwierciedlają one raczej dojrzewające od dawna przekonanie o nieużyteczności klasyfikacji rasowych, a nie jakiś nagły zwrot (np. powodowany ruchem BLM).

Z opublikowanej w 2021 r. przez Vence'a Bonhama i współpracowników analizy wynika, że przynajmniej genetycy stopniowo odchodzą od używania pojęcia rasy. Zespół przejrzał ponad 11,5 tys. artykułów opublikowanych w „The American Journal of Human Genetics" od początku jego istnienia (1949 r.) do 2018 r. W pierwszej dekadzie działalności słowo „rasa" pojawiało się częściej niż w co piątym artykule – w ostatniej dekadzie zaś: w co dwudziestym. Kategorie rasowe (jak rasa kaukaska / biała czy negroidalna / czarna) – początkowo występujące w odpowiednio 21 i 12 proc. artykułów, w ostatniej dekadzie pojawiały się w jednej publikacji na sto.

Można jednak zauważyć także inną tendencję, która na pierwszy rzut oka wydaje się trudna do pogodzenia z planami rugowania kategorii rasowych z nauki. Otóż środowiska genetyków i biomedyków bardzo zabiegają, by w badaniach uwzględniać przedstawicieli niedoreprezentowanych grup etnicznych. Genetycy starają się zmapować geny każdej grupy etnicznej, a firmy farmaceutyczne próbują testować leki na przedstawicielach jak największej liczby społeczności, po to, by wykluczyć, że na jakąś grupę zadziałają inaczej, ze względu na specyficzny profil genetyczny populacji.

Jak to zatem jest: czy skoro różnice genetyczne między przedstawicielami różnych populacji mają znaczenie dla medycyny, to może jednak jakiś sposób podziału ludzi na rasy ma duży sens? ↦

Faktem jest, że w badaniach biomedycznych nadal powszechnie stosuje się kategorie rasowe – zwykle prosząc uczestników o zaznaczenie deklarowanej rasy. Ale redakcja „JAMA" m.in. dlatego opublikowała swoje wytyczne, że takie deklaracje nie niosą zbyt wielu istotnych informacji; mało tego – mogą wypaczać wyniki badań.

W wieloetnicznych państwach, takich jak USA, deklarowana rasa czy grupa etniczna nie musi pasować do rzeczywistego pochodzenia i dziedzictwa genetycznego danej osoby. Dobrze znanym przykładem jest Barack Obama, czujący się Afroamerykaninem, mimo że jego matka, Ann Dunham, była białą Amerykanką, urodzoną w rodzinie imigrantów z Wielkiej Brytanii. Obama dzieli zatem połowę genów z mieszkańcami Europy. Etniczne deklaracje raczej pokazują więc osobisty związek z daną populacją, jej historią i kulturą – a nie przewagę odziedziczonych z tej populacji genów.

Opublikowane niedawno analizy w ramach programu „All of US", jednego z flagowych medycznych przedsięwzięć USA, potwierdziły, że deklarowana przynależność rasowa / etniczna tylko po części odpowiada temu, co o pochodzeniu mówią geny. W medycynie potrzebne są znacznie bardziej drobiazgowe klasyfikacje pochodzenia niż te tradycyjne. Np. przydatne jest odróżnianie osób o rodowodach wschodnioafrykańskim i zachodnioafrykańskim. Choć ludzie o obu takich rodowodach w USA byliby opisywani po prostu jako Afroamerykanie, to między tymi subpopulacjami występują różnice genetyczne, które mogły mieć znaczenie medyczne (zachodnioafrykańskie pochodzenie wiązało się z podwyższoną genetyczną predyspozycją do nadwagi, a wschodnioafrykańskie – z obniżoną).

Problem rasizmu nie polega na tym, że przypisujemy grupom ludzi prawdziwe cechy, ale na tym, że przypisujemy im nieprawdziwe cechy albo przypisujemy jakiekolwiek cechy z fałszywego powodu.

Powiem ci, skąd pochodzisz

Powtórzmy więc: wśród antropologów i genetyków istnieje w zasadzie konsensus, że dzielenie ludzi na tradycyjnie rozumiane rasy nie ma biologicznego sensu. Fakt, że populacje różnią się pod kątem występowania pewnych wariantów genów, może mieć znaczenie dla celów medycznych (to badania próbują ustalać), ale nie dowodzi istnienia ras, ponieważ wspomniane różnice nie układają się w żadne wzorce przypominające rasy. Te różnice układają się w ciągłe gradienty – im dalej od siebie geograficznie znajdują się grupy ludzi, tym większe średnie różnice genetyczne, ale nie ma nigdzie ostrych granic, które mogłyby wyznaczyć rasy.

Gdybyśmy zerknęli na badania genetyczne losowej osoby, to ze sporą dokładnością moglibyśmy wskazać na mapie, skąd się wywodzi (za co odpowiadają globalne wzorce ludzkich migracji). W 2008 r. John Novembre i współpracownicy pokazali, że w przypadku Europy da się to zrobić z dokładnością do ok. 500 km. Dzisiaj, gdy już miliony ludzi przekazało swoje dane genetyczne takim firmom jak Ancestry czy 23andMe – margines błędu byłby pewnie jeszcze mniejszy.

Ale gdyby ktoś chciał w ten sposób budować jakieś przekonania rasowe, to musiałby wykonać znacznie trudniejszą sztuczkę: przyporządkować osobę do jakiegoś miejsca na świecie (populacji) na podstawie jakichś cech fizycznych czy zespołu takich cech. W przypadku pojedynczych cech (takich jak iloraz inteligencji, wzrost, grubość kości itd.) to zupełnie niemożliwe – szpilkę zawsze moglibyśmy wbić w ogromną liczbę miejsc. Na dziś nie znamy też żadnej takiej kombinacji cech, które pozwoliłyby jednoznacznie wbijać szpilę w pewne obszary geograficzne, co uzasadniałoby mówienie o rasach.

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

WEEKEND Z SENSEM

Eseje, reportaże i analizy, które uczynią
Twoje wolne dni spokojniejszymi,
ciekawszymi i pełnymi dobrych myśli.

Prowadzi MICHAŁ SOWIŃSKI

Ktoś mógłby jednak zapytać, dlaczego podziału na rasy nie uzasadniają choćby tak rzucające się w oczy cechy jak kolor skóry. Czy różnice w tym zakresie nie wystarczą, by mówić o rasach?

Otóż nie, ponieważ kolor skóry nie niesie niemal żadnej dodatkowej informacji o danej osobie. Przykładowo, Aborygeni z Australii są genetycznie bliżej spokrewnieni z mieszkańcami Azji niż Afryki, a przecież kolorem skóry Aborygenom bliżej do Afrykańczyków niż Azjatów. Podobieństwo to wynika z życia w warunkach wystawienia na silne promieniowanie słoneczne, które sprzyja działaniu selekcji. Nie bierze się stąd, że Aborygeni stanowią jedną rasę z mieszkańcami Afryki.

Musimy zejść niżej

Dziś wiemy, że za kolor skóry odpowiadają dziesiątki różnych genów, których wpływ się kumuluje, a wzajemne powiązania między nimi są złożone. Z niemal każdą cechą człowieka jest podobnie – geny nie decydują w nas o wszystkim, bo znaczenie mają też czynniki środowiskowe, a przy tym niemal na każdą cechę wpływają dziesiątki, setki, czasem tysiące różnych genów. To geny rozdystrybuowane we wszystkich populacjach, w finezyjnych wzorcach, które nie oddają podziałów na rasę – choć odzwierciedlają ludzkie migracje i działanie selekcji.

Tzw. badania asocjacyjne całego genomu (GWAS), polegające na szukaniu takich genów, które statystycznie częściej współwystępują z danymi cechami – choć mechanizm działania tych genów w wielu przypadkach nie jest jeszcze znany – pokazują, że rozkład nawet tak mocno kojarzących się rasowo cech jak te związane z predyspozycjami do uprawiania sportu nie oddaje żadnych rasowych wzorców.

Ktoś mógłby się w tym miejscu zastanowić, czy nie próbuję tu przemilczeć kłopotliwego pytania: nawet jeśli koncepcja tradycyjnie rozumianych ras nie ma sensu, to czy tak wiele się zmieni, jeśli pogrupujemy ludzi w znacznie mniejsze, bliżej spokrewnione grupy etniczne – i jeśli kiedyś w tych grupach znajdziemy istotne różnice, np. w predyspozycjach do uprawiania sportu czy, nie daj Boże, inteligencji?

Po pierwsze, to jedno z pytań, na które – przynajmniej w kontekście medycyny – nauka będzie starała się odpowiedzieć, ale na razie nie mamy zbyt wielu danych na ten temat. Po drugie – absolutnie tak! Uważam, że w kluczowym kontekście – zjawiska rasizmu – to zmienia wszystko.

Problem rasizmu nie polega na tym, że przypisujemy grupom ludzi prawdziwe cechy, ale na tym, że przypisujemy im nieprawdziwe cechy albo przypisujemy jakiekolwiek cechy z fałszywego powodu. Spróbujcie sobie zresztą wyobrazić „podbudowane naukowo" uprzedzenia rasowe w świecie, w którym, by wykazać różnice między populacjami, trzeba brać pod uwagę setki, tysiące czy dziesiątki tysięcy małych grup ludzi – różniących się między sobą pod kątem całej masy cech – a przy tym te różnice można wyrażać wyłącznie wartościami procentowymi. I nie zapominajmy, że genetycznego pochodzenia osoby nie da się ocenić na oko.

Trzy procent Niemca

Pojęcie rasy nie wróci do łask w nauce – z powodów historycznych, światopoglądowych i dlatego, że nie niesie ono użytecznych biologicznie informacji. Zapewne nie zniknie z niej kategoria pochodzenia genetycznego czy etnicznego, ale nie wywróci ona do góry nogami naszego świata. Zmieni go medycyna spersonalizowana, celowana pod geny konkretnego pacjenta. Lekarzy przyszłości nie będzie szczególnie interesować to, że 62 proc. moich genów pochodzi z Europy wschodniej, 20 proc. znad Bałtyku, 15 proc. z Bałkanów, a 3 proc. z Niemiec – bo za tymi geograficznymi etykietami nadal mogą kryć się rozmaite warianty genetyczne. Doczekamy się zapewne innych genetycznych klasyfikacji, wyrażających liczbowo podatność do zapadania na jakieś choroby albo przypominających klasyfikację grup krwi, choć znacznie bardziej złożonych.

Idea rasy u ludzi umrze nawet na naszych oczach. Ale rasizm – zapewne nie. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA

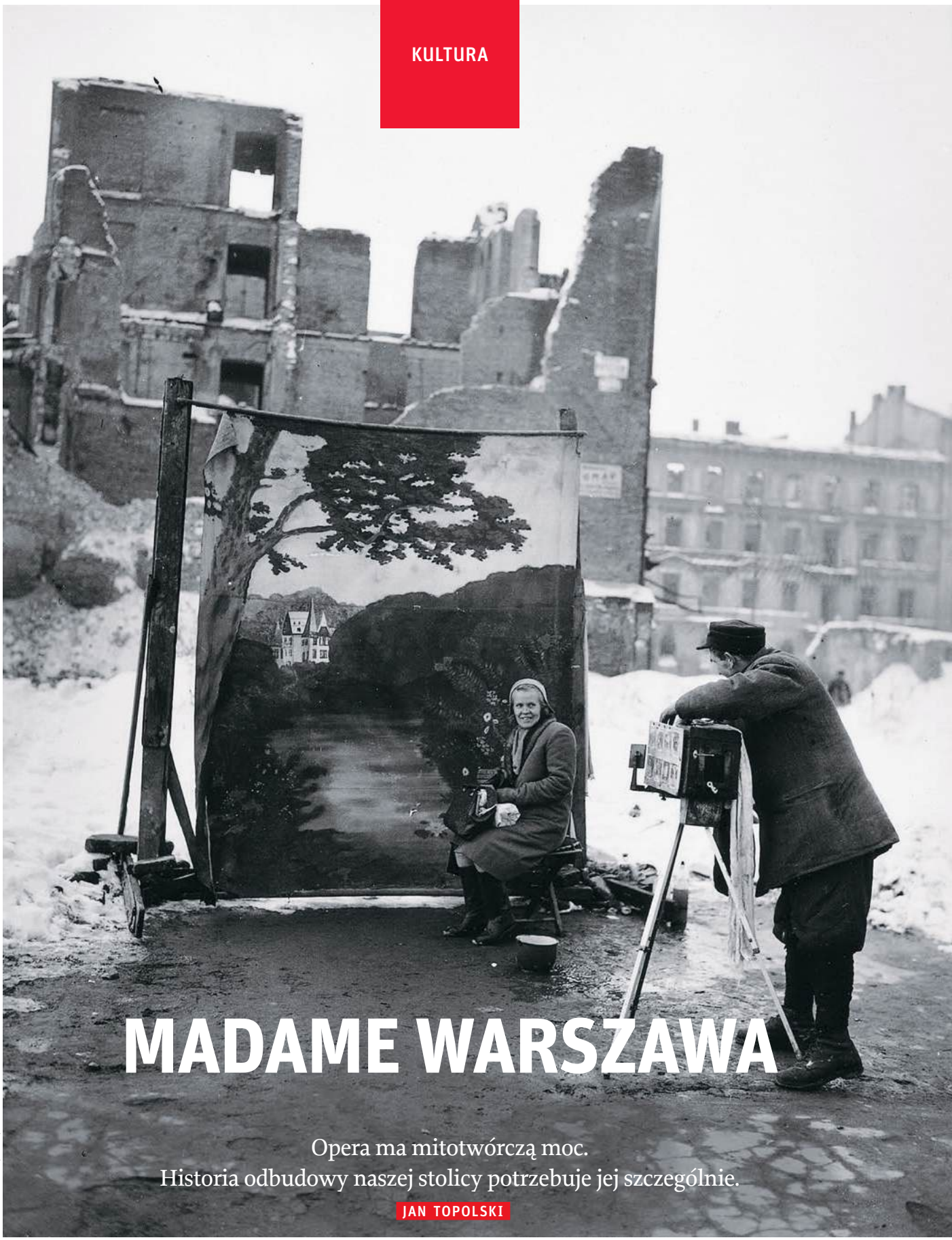

MADAME WARSZAWA

Opera ma mitotwórczą moc.
Historia odbudowy naszej stolicy potrzebuje jej szczególnie.

JAN TOPOLSKI

MICHAEL NASH / AP / EAST NEWS

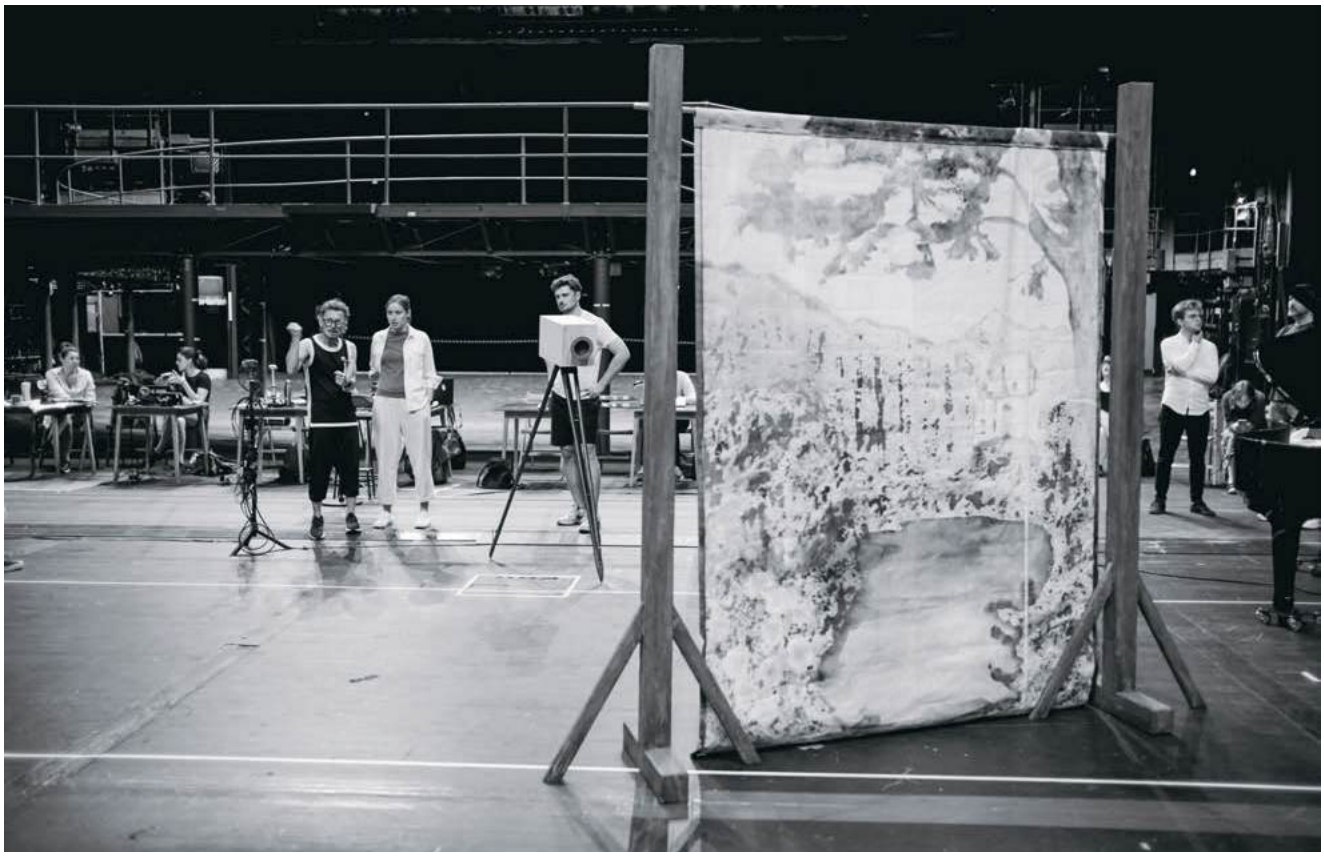

TEATR WIELKI / MATERIAŁY PRASOWE

Do niedawna historyk sztuki i kurator Jarosław Trybuś był wicedyrektorem Muzeum Warszawy, zlokalizowanego w jedenastu kamienicach północnej pierzei Rynku Starego Miasta. To tzw. ściana Dekerta, która w części ocalała z pożogi powstania warszawskiego dzięki żelbetowej konstrukcji stropów. W książce Grzegorza Piątka „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949" (2020) można znaleźć zdjęcie paru ostańców w morzu ruin. Odbudowany po wojnie Rynek otwarto w 1953 r. Jak wiele innych obiektów, dokładnie w komunistyczne święto 22 lipca.

Trybuś w rozmowie z „Tygodnikiem" przekonuje, że opera zachowała mitotwórczą moc, której potrzebuje historia odbudowy stolicy, awers dziejów zniszczenia i śmierci. Temat na bieżąco pojawiał się w dziesiątkach propagandowych produkcji, choć dziś rażą one uproszczeniami i sentymentalizmem. Filmy takie jak „Przygoda na Mariensztacie" (1954), czy spektakle w stylu „Wodewilu warszawskiego" (1950) pisane były ku pokrzepieniu serc, którego dziś już nie potrzebujemy.

– Jako społeczność dojrzeliśmy do tego, by zacząć mówić o odbudowie jako udanym projekcie – opowiada Trybuś. – Mamy już wobec niej odpowiedni dystans czasowy. Ośmielę się powiedzieć, że ten proces skończył się na naszych oczach. To, w jakim stanie znajduje się obecnie Warszawa, jest znakomitym świadectwem udanej odbudowy. Ponieważ w naszej historii wiele jest zwycięstw moralnych, a niewiele realnych, to akurat wielka rzecz: udało się.

Konkurs na operę

Na pomysł przedsięwzięcia, które finalnie zaangażuje ponad pół tysiąca osób, Trybuś wpadł parę lat temu. Będąc na spektaklu w warszawskiej operze, zauważył, że repertuar podobnych placówek budują dzieła sprzed co najmniej wieku. Dawniej były to tylko współczesne utwory, nierzadko pisane na zamówienie i w kontekście lokalnej historii („Aida" Verdiego miała uświetnić otwarcie Kanału Sueskiego w Operze Kairskiej).

Choć projekt „Najlepszego miasta świata. Opery o Warszawie" mógł utknąć na biurkach decydentów, wszyscy reagowali entuzjastycznie. Szybko zaangażowali się Jerzy Kornowicz (dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień), Janusz Marynowski (szef Sinfonii Varsovii, czyli miejskiej orkiestry) i Waldemar Dąbrowski (były już dyrektor naczelny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej). W 2023 r. zorganizowano zamknięte konkursy na libretto i kompozycję: zaproszeni uczestnicy przedstawiali ogólną koncepcję i parę próbek. W obu jury zasiadali Kornowicz, Marynowski i Trybuś, a poza nimi wiele innych ważnych postaci (m.in. Krzysztof Knittel i Elżbieta Sikora w jury muzycznym, a Piotr Gruszczyński i Małgorzata Sikorska-Miszczuk w literackim).

Wygrali twórcy niezwiązani z Warszawą i bez doświadczenia w utworach operowych o podobnej skali. Zarówno Cezary Duchnowski, jak i Beniamin Maria Bukowski to jednak artyści nagradzani, wszechstronni i odważni. Pierwszy od lat współpracuje w teatrze z Mają Kleczewską. Jest również mistrzem muzyki elektronicznej i algorytmicznej, a także pianistą i improwizatorem. Drugi to niezwykle aktywny dramatopisarz, dramaturg i reżyser, od niedawna także dyrektor Teatru Polskiego w Bydgoszczy. ↦

Sesja zdjęciowa z tłem maskującym ruiny Warszawy. Listopad, 1946 r.

Powyżej: Przygotowania do spektaklu „Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie". Czerwiec, 2025 r.

↦ Kiedy pytam librecistę „Najlepszego miasta na świecie" o wspomnienia z konkursu, przyznaje, że jako operowy debiutant nie wierzył w powodzenie swojego projektu. Podobnie jak inni uczestnicy konkursu literackiego, także Bukowski zmagał się z polifoniczną narracją i mnogością szczegółów książki Piątka. Trybuś tymczasem przypomina sobie, że jej wybór jako opracowania zarazem syntetycznego i obrazowego miał być dla kandydatów ułatwieniem. Finalnie Bukowski wygrał, choć z zastrzeżeniem, że musi znaleźć nieco inny patent na „Najlepsze miasto". Wtedy z konkretnym pomysłem przyszedł wyłoniony w równoległym konkursie muzycznym Duchnowski.

Dziennikarka i Architektka

W operze pojawią się dwa istotne głosy kobiece, Dziennikarka i Architektka: Joanna Freszel i Agata Zubel, laureatki paszportów „Polityki" i czołowe sopranistki polskiej muzyki współczesnej, każda obdarzona inną barwą i temperamentem. Pierwsza występuje w klasycznym repertuarze oraz pieśniach, druga znana jest przede wszystkim jako kompozytorka (i połowa Elettrovoce, duetu z Duchnowskim). Do tego dochodzą biograficzne koincydencje: baryton i reżyser Franciszek Freschel, przodek Joanny, w międzywojniu był gwiazdą Teatru Wielkiego. Librecista pomysł podchwycił i zdecydował się na dość linearną historię dwóch kobiet.

– My oczywiście tych postaci nie nazywamy wprost, bo też Dziennikarka i Architektka nie odtwarzają wiernie biografii, na których bazują – zaznacza Bukowski. – W opowieści o odbudowie stolicy przez bardzo długi czas pojawiało się niewiele bohaterek, nasze przedsięwzięcie wpisuje się w trend pisania *herstorii*, przywracania kobiecych głosów. Mamy dwie biografie, które się przecinają, zmierzając w przeciwnym kierunku. Jedna płynie od zachłyśnięcia komunistyczną ideologią do pewnego nią rozczarowania. Druga – od nieufności do poddania się pokusie zostania architektką reżimu.

Biografie kobiet spotykają się tylko w libretcie, bo w rzeczywistości spotkać się nie mogły. Amerykańska korespondentka, Anne Louise Strong (1885-1970) wyjechała z Warszawy, zanim dotarła do niej Helena Syrkusowa (1900-1982), żona Szymona i przyjaciółka Le Corbusiera, późniejsza projektantka wielu modelowych osiedli robotniczych. Anne przybyła z Armią Czerwoną, oglądała z praskiej strony dopalającą się łunę powstania warszawskiego, potem napisała reportaż „I Saw The New Poland" (1946). Druga zaczynała jako zapalona modernistka, ale po socrealistycznym zwrocie w polskiej architekturze złożyła głośną samokrytykę.

„Le Corbusier stał się dla nas jeszcze bardziej obcy, ponieważ nie wziął udziału w Kongresie Wrocławskim i odmówił udziału w Paryskim Kongresie Pokoju" – grzmiała Syrkusowa w roku 1949. – Dlatego trudno nam obecnie z ludźmi o tego rodzaju postawie politycznej prowadzić »twórcze« dyskusje. Wydaje mi się, że obowiązkiem moim jako świadomego członka PZPR jest wyraźne ustosunkowanie się do wymienionych w poprzednich referatach prądów, które uważamy obecnie za przejaw destrukcyjnego kosmopolityzmu, od którego jako partyjni architekci musimy i pragniemy się odciąć".

Biuro Odbudowy Stolicy opisane w książce Grzegorza Piątka to arena ścierania się różnych postaw i wizji – od chęci odtworzenia wszystkich zabytków po radykalne plany przebudowy. Utopia szkicowana na deskach kreślarskich zderza się z żywiołem powracających do miasta mieszkańców, zaś w libretcie Bukowskiego partytura zestawiona zostaje z improwizacją. Autor podkreśla, że jego dramat zaczyna się od rozpadu, który wymyka się językowi, jak druga „scena bez tekstu, która wprawdzie wydarza się, ale nie może zostać właściwie wysłowiona".

Stąd w dramacie pojawiają się dwie ikoniczne fotografie zrobione w Warszawie pierwszych lat po wojnie. Na jednym z nich kobieta pozuje przed Michaelem Nashem na tle kiczowatego landszaftu zasłaniającego wszechobecne ruiny. Na drugim David Seymour uchwycił, jak mała dziewczynka, poproszona o narysowanie domu, maże kredą po tablicy chaotyczne kręgi przypominające drut kolczasty.

Zdjęcia do dziś, w czasach Aleppo, Mariupola i Gazy, porażają – nazwy tych miast pojawiają się zresztą w operze. Zarówno Bukowskiemu, jak i Duchnowskiemu zależy na podkreśleniu współczesnego i uniwersalnego charakteru tej historii jako przestrogi.

Najważniejszy jest chór

Z kompozytorem spotykam się w lobby Polonia Palace. Gospodarze chyba dobrze przemyśleli ten wybór, bo 80 lat temu budynek należał do nielicznych ostańców i jako pierwszy wrócił do swojej funkcji po wyzwoleniu miasta. Jak czytam u Piątka, „Hotel Polonia, obsadzony przez dyplomatów, dziennikarzy i innych zagranicznych gości, stał się centrum życia warszawskich elit, ale na chodnikach i w ruinach dokoła niego panowały demokratyczna równość i wolnorynkowa konkurencja. Miejsce przed wejściem, w samym centrum stolicy socjalistycznego państwa, okupowali pucybuci".

Dziś zamiast pucybutów krzątają się goście restauracji z kuchnią całego świata: można spróbować Turcji, Gruzji, Korei. Duchnowski, podobnie jak Bukowski, podkreśla perspektywę osób spoza Warszawy w powstawaniu „Najlepszego miasta na świecie". Żartuje, że nie chodzi przy tym o żadne rozliczenia za cegły wywożone na odbudowę stolicy z ruin jego rodzinnego Elbląga czy Wrocławia. Absolwent i profesor tamtejszej akademii muzycznej wierzy w dzieła przemyślane i wyrafinowane. W przypadku tego zamówienia podkreśla jednak ambicję jego komunikatywności i emocjonalności.

– Nie chciałem większej ilości solistów, tak naprawdę w tej operze najważniejszy jest chór. W jego partii pojawia się dużo ekspresyjnych środków wydobycia dźwięku głosem: szeptanie, skandowanie. W teatrze pracowałem już z takimi technikami – wyznaje kompozytor. – Tu mogę sobie jednak pozwolić na wyższy stopień komplikacji pod kątem rytmu czy kontrapunktu. Chór wciela się w różne społeczności: mieszkańców, architektów, polityków. Jest dzielony i scalany na nowo, bo dla mnie lekarstwem na zniszczenie jest budowanie i spotkanie. Szczególnie w dzisiejszych czasach bardzo podzielonego społeczeństwa.

W orkiestrze symfonicznej nie zabraknie też (jak to u Duchnowskiego) elektroniki, choć będzie ona po prostu jednym z instrumentów. Pianiści grają na klawiaturach midi pod batutą dyrygenta – Bassema Akikiego, doświadczonego we współczesnym repertuarze. Do tego dochodzą elektroniczne przekształcenia głosów i orkiestry, choć kompozytor nie chce zdradzić wszystkich niespodzianek. Część spektaklu wciąż kształtuje się na próbach, bo jakkolwiek libretto i partytura pozostają precyzyjne, decydujący głos ma reżyserka.

TEATR WIELKI / MATERIAŁY PRASOWE

Przygotowania do spektaklu „Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie". Czerwiec, 2025 r.

Idea i materia

Barbara Wiśniewska wygrała trzeci i ostatni konkurs przeprowadzony w 2024 r. przez Teatr Wielki – Operę Narodową. Dla niej samej to miejsce szczególne, tu zaczynała karierę jako asystentka ówczesnego dyrektora artystycznego Mariusza Trelińskiego. Dobrze zna zakamarki gmachu przy placu Teatralnym, podobnie zresztą jak stołeczne zaułki – jest warszawianką od wielu pokoleń. W wywiadzie dla „Vogue'a" wspominała, że jej dziadek został rozstrzelany w powstaniu warszawskim, babcia natomiast projektowała instalacje elektryczne dla odbudowywanego Mokotowa. Wiśniewska od początku czuła więc, że historia „Najlepszego miasta na świecie" to jej historia.

Spotykamy się w przerwie jednej z prób, jeszcze w sali kameralnej, w niewielkim składzie. Już za chwilę ekipa będzie ćwiczyła wielkie sceny zbiorowe, w których udział bierze po sto osób. Technicy przychodzą po instrukcje, czy na pewno mają wznosić dekoracje. Przecież za chwilę, przed wejściem dziecięcego chóru, znów trzeba by je zdemontować.

Wiśniewska zwraca uwagę na to, że wielu przedwojennych architektów marzyło o uzdrowieniu ówczesnej, gęstej i chaotycznej zabudowy. Sen okazał się koszmarem.

– Jest takie powiedzenie, że dobry kompozytor to martwy kompozytor – prowokuje reżyserka w kuluarach. – Ale my się cieszymy, że Cezary żyje, bo to człowiek teatru, który widzi i rozumie, co dzieje się na scenie. To chyba jedyny znany mi kompozytor, który cieszy się na to, że zmiany scenografii wydają dźwięki. Nie narzeka na hałas i nie ścisza wszystkich, przeciwnie, mówi, że nagra i zwielokrotni hurgot, a potem wykorzysta go w muzyce.

Analogicznie do Duchnowskiego, który za główne tematy „Najlepszego miasta na świecie" uważa budowanie i spotkanie, Wiśniewska dzieli przestrzeń na dwa plany: materii i idei. W pierwszym dominuje gruz i praca fizyczna, w drugim wspomnienia i plany. Oba korespondują zarazem z bohaterkami opery: idealistką Strong i pragmatyczką Syrkusową. Reżyserce pasuje, że nie chodzi tu o pomnikowe postaci z pierwszego planu, bo nie chciałaby robić spektaklu dokumentalnego. Bez obciążenia archiwami można pofantazjować.

Będą oczywiście konkretne odniesienia – do wspomnianych fotografii, wielkiej makiety Warszawy, autentycznych postaci. Wiśniewska jako inspiracje wymienia kroniki filmowe i zdjęcia, a także publikacje o historii stolicy z ostatnich lat: Błażeja Brzostka („Wstecz"), Andrzeja Skalimowskiego („Sigalin. Towarzysz odbudowy"), Haliny Syrkusowej („Archipelag CIAM. Listy"), katalogi wystaw „Zgruzowstanie" w Muzeum Warszawy i „Warszawa zapamiętana. Powroty 1945-1946" w Domu Spotkań z Historią. Mimo wszystkich źródeł twórcy chcą opowiedzieć tę historię obrazem i metaforą, czysto teatralnymi środkami.

Na koniec rozmowy Wiśniewska, niczym postać z Kroniki Filmowej, chwali ducha kolektywnej pracy. Trybuś z kolei przyznaje, że w aranżowanym zespole twórczym wiele spraw mogło nie wyjść. Duchnowski zwykle tworzy w gronie zaufanych współpracowników, więc ten model pracy stanowi dlań wyjście ze strefy komfortu. Z kolei Bukowski, wyjątkowo, w próbach nie bierze udziału i ekscytuje się, że przyjedzie dopiero na premierę.

W narodowej sprawie

Gdy wychodzę z labiryntu korytarzy opery, przystaję przy tabliczce wmurowanej w ścianę: „Teatr Wielki zbudowała Warszawa w latach 1825-1833. Projektował Antoni Corazzi. Teatr zniszczony w latach 1939-1945 przez hitlerowskiego najeźdźcę wzniosła z ruin ofiarność całego Narodu przy udziale SFOS. Nową formę gmachu Teatru Wielkiego projektował architekt Bohdan Pniewski. Teatr został otwarty 19 listopada 1965 roku, by służył narodowej sprawie i sztuce".

Był jedną z najmocniej zniszczonych budowli Warszawy – bombardowany, wysadzany i palony. Przetrwał tylko okopcony fronton, a całość wedle świadków przypominała ruiny Koloseum. Porównanie to nabrało tragicznego sensu w pierwszych dniach powstania warszawskiego, gdy na widowni Niemcy rozstrzelali kilkuset okolicznych mieszkańców. Odbudowa gmachu rozpoczęła się w roku 1951 i trwała półtorej dekady. Symboliczne miejsce dla premiery „Najlepszego miasta na świecie": 60 lat po tamtym otwarciu, 200 lat od rozpoczęcia budowy.

© JAN TOPOLSKI

Prapremiera opery **„NAJLEPSZE MIASTO ŚWIATA. OPERA O WARSZAWIE"** już 19 września na deskach Opery Narodowej.

JACEK TARAN

MARCIN MROCZKOWSKI urodzony w 1976 r. w Krakowie. Ukończył z wyróżnieniem krakowską ASP w pracowni prof. Sławomira Karpowicza. Wystawiał m.in. w Fabryce Schindlera, w Galerii Novej, bielskim i legnickim BWA czy w Junge Kunst Aus Polen we Frankfurcie nad Menem. Mieszka i maluje na krakowskich Dębnikach, tworząc m.in. dla prywatnych kolekcjonerów.

Na zdjęciu: w swojej pracowni. Kraków, 10 września 2025 r.

Moment zagapienia

MARCIN MROCZKOWSKI, MALARZ:

PRACOWNIA | Kiedy intensywnie się czemuś przyglądasz, wychodzisz trochę z siebie. To jest w dużym stopniu sens malarstwa i samego malowania.

MARCIN TUSIŃSKI: Kto Ty jesteś?

MARCIN MROCZKOWSKI: Rocznik 76, dziecko epoki Gierka. Krakus z dziada pradziada. Staram się być malarzem. Nie byłem nim przez ostatnie dwadzieścia lat z przyczyn życiowych i bardzo mi tego brakowało. To specyficzna działka sztuki, w której nieustannie rozmawia się ze sobą. Kiedy pracowałem w firmach projektowych i jeździłem w delegacje, żal mi było pejzaży, na które patrzyłem, i myśli, które pozostawały bez śladu.

Myślisz o sobie: artysta?

Artysta to człowiek, który poszukuje wolności wyrazu, pozostając jednocześnie bezbronnym wobec różnych opinii i gustów, od których często zależy jego byt. Nieustanne balansowanie pomiędzy całkowitą niezależnością a daleko idącą zależnością. Sztuka jest próbą przekładania idei na praktykę, co często okazuje się bolesne.

Ukończyłeś z wyróżnieniem Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, wygrałeś konkurs na debiut roku. Miałeś wystawę w legnickim BWA. A jednak porzuciłeś malarstwo. Dlaczego?

Rysowałem od najmłodszych lat, jeszcze zanim zacząłem mówić. W domu był szacunek dla malarstwa. Ale początek lat dwutysięcznych był w naszym kraju czasem wybuchu kapitalizmu i trzeba było się orientować. Wylądowałem w firmie, która zajmowała się handlem, zacząłem projektować wnętrza, design,

ARCHIWUM PRYWATNE

Marcin Mroczkowski, Bez tytułu, 2025 r.

grafikę dla sieci sklepów. Po paru latach pojawiła się kolejna firma, większa, z ambicjami.

Gdy przyszedł czas pandemii, pewne możliwości się pozamykały, ale pojawiła się też okazja na przemyślenie życia i spróbowanie czegoś, co dawałoby więcej wolności. Przez całe lata realizowałem się jako mąż i ojciec, ale jednak czegoś mi brakowało.

W Twoich obrazach wyraźnie odznaczają się perspektywa i przestrzeń. Puste stadiony, samochody bez kierowców, maszyny rzucone z rozmachem na duże płótna. Co to jest? Czego szukasz?

Namalowałem na przykład obraz, na którym widać półki sklepowe w supermarkecie. Opowiada o tym, że patrzysz na jedno, ale myślisz o czymś innym. Oba te światy funkcjonują na płótnie jednocześnie. Obiekty kolejnych warstw spotykają się ze sobą i tworzą nowe, zaskakujące związki. Inny przykład to tłumy na stadionach, które są wielowarstwowym tworem: piętrzysz chaos plam, które rozlewają się i mieszają barwnie jak zbiorowe emocje, a potem przeciwstawiasz go monotonnemu rytmowi trybun. Deklaratywne spotyka się z tym, co ukryte. Szukam prawdy na granicy tych światów. Ale kiedy zaczynam o tym mówić, czar pryska.

Czy to nie doprowadza Cię do czegoś, co Antoni Rząsa nazywał terrorem abstrakcji?

Abstrakcja jest silnym, ale tylko jednym z wielu wyrazów tajemnicy. Problem misterium dotyczy jej tak samo jak innych: w chwili, gdy artysta lub odbiorca czują, że wyczerpali drogę interpretacji, tajemnica znika.

Mam takie doświadczenie z „Tancerką przed oknem" Edgara Degasa, którą widziałem trzy razy w niedługim odstępie czasu. Pośrodku pokoju tańczy młoda kobieta. Pierwszy raz coś mnie przy niej zatrzymało, ale nie wiedziałem co, więc poszedłem dalej. Za drugim – dotarła do mnie jej samotność. Za trzecim razem nie musiałem myśleć, po prostu ją czułem.

Tak, to trzeba bardziej odczuć, niż zrozumieć.

Siedzimy w Twojej pracowni na krakowskich Dębnikach.

Dokładnie w miejscu, w którym mój prapradziadek miał swoją pracownię. Pod koniec XIX w. kupił tu ziemię i wybudował dom. Budynek został zdmuchnięty wybuchem bomby podczas wojny, ale ziemia przy dzisiejszej ulicy Czarodziejskiej pozostała. Moi rodzice od wielu lat chcieli tutaj postawić swój dom i z pewnością duch prapradziadka miał w tym swój udział. Trudno powiedzieć, żebym brał pod uwagę jakąś inną możliwość.

Twój prapradziadek Aleksander Mroczkowski był słynnym pejzażystą. Jego prace można oglądać m.in. w Muzeum Narodowym w Krakowie.

On był z pokolenia, które w drugiej połowie XIX w. włączyło się w nurt współtworzenia polskiej sztuki. Po powstaniu styczniowym spora część młodych ludzi tworzyła w duchu pozytywizmu, to się wiązało z przemianą społeczną, podział na szlachtę i inne stany zaczął się zacierać. ↦

↦ Mieszczaństwo wyszło z defensywy. Mój dziadek był jednym z wielu symboli tego procesu.

Jak jest wspominany?

Jako ktoś wyjątkowy, kto starał się pokonywać swoje słabości i robić coś ważnego, dobrego. Jeśli wiesz, skąd się wziąłeś, to daje poczucie, że nie jesteś pierwszy i nie jesteś sam, bo twoi przodkowie też na swój sposób zmagali się z życiem.

Aleks ożenił się z córką włoskiego kupca z okolic Trydentu. Nazywała się Biasion. To spolszczenie od Biazon. Ta rodzina kupiecka miała sklepy w Krakowie, sprowadzała m.in. farby. Prawdopodobnie tak dziadek poznał się ze swoją żoną. W tym samym sklepie zaopatrywał się Matejko, u którego po powrocie z Monachium studiował przez jakiś czas Aleks. I tak właśnie brat mojej praprababki August Biazon znalazł się na „Hołdzie Pruskim", pozował Matejce.

Poza tym legenda o dziadku w rodzinie jest współbieżna z tym, jak jest opisywany. Był niezłym pejzażystą, który fascynował się Tatrami. W owym czasie to była alternatywa dla typowego malarstwa historycznego. We mnie to gra po nim, mam do pejzażu szczególny stosunek. Szukanie przestrzeni to nasza wspólna cecha. Nie wiem, może to jakaś pamięć genetyczna.

Dowcip polega na tym, że wiele z jego obrazów jest – jak na kogoś po surowej i realistycznej monachijskiej szkole – intuicyjnie skierowana w stronę abstrakcyjnej przestrzeni. Góry są u Aleksandra rzeźbami, to widać w wielu jego obrazach. Gdy sztafaż schodzi na dalszy plan, wszystko zaczyna się sprowadzać do czystszej formy, układu plam, brył i kształtów. Być może wybierając te góry, szukał odejścia, oderwania od symbolu bezpośredniego.

Czego Ciebie to jego poszukiwanie nauczyło?

Wyobraź sobie, że wsiadasz na statek kosmiczny i lecisz na obcą planetę. Wiesz, że tam jest jakaś cywilizacja, lądujesz i wszystko jest dla ciebie szokujące i nowe. Widzieć to potrafić się dziwić temu, na co się patrzy. Uznać cud codzienności, którą przeżywamy.

Mam taką skłonność, że kiedy nie bardzo coś „ogarniam", staram się, wejść piętro wyżej i popatrzeć na to z góry. Kiedy tak pomedytujesz, zawieszasz się patrząc na coś, wychodzisz trochę z siebie. To jest w dużym stopniu sens malarstwa i w ogóle malowania, że się trochę wychodzi z siebie.

Chodzi o moment: zagapisz się i łapiesz na tym, że się zagapiłeś. Chwytasz potok doznań i myśli, zastanawiając się, co to jest. Wyrywasz się spoza czasu, bo malarstwo jest jednak trochę bezczasem.

Czy to nieco jak z muzyką, która jest zamknięta w czasie i przestrzeni pięciolinii, a jednak służy temu, żeby zabrać nas poza czas i przestrzeń?

Tak, ale to jest pięta achillesowa malarstwa. My jako ssaki mamy szczególną czułość na ruch. To się wiąże z zagrożeniem albo okazją do upolowania ofiary. Myślę, że w człowieku ciągle żyją te atawizmy. A malarstwo to medium, które kompletnie nie operuje w tej płaszczyźnie. Ono po prostu daje ci zatrzymany w czasie układ linii, figur, kompozycję. To rodzi pytanie: jak trafić do odbiorcy, żeby go uwieść?

Kiedy słyszysz muzykę, zwłaszcza rytmiczną, nogi same chodzą. Kiedy oglądasz film, masz masę fajnych możliwości, można cię przestraszyć, wzruszyć albo rozśmieszyć. Masz wytyczoną ścieżkę, którą powinieneś przejść. Podobnie w literaturze. Nawet jeśli próbujesz ją przejść na różne sposoby. A w malarstwie to wyjątkowo ciężkie. Dlatego odbioru obrazu trzeba się nauczyć.

JACEK TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

PRACOWNIA
to nowy cykl rozmów „Tygodnika Powszechnego".

- Odwiedzamy artystki i artystów w przestrzeniach, gdzie sztuka nabiera kształtu.
- Zajrzyj z nami za kulisy twórczości.
- Odkryj, jak rodzą się idee, które kształtują współczesną kulturę.

Rodzice dosyć sceptycznie podchodzili do Twoich planów życiowych.

Mnie dobrze szło z matmy. Stryj jest naukowcem, fizykiem. Rodzice chyba chcieli, żebym poszedł podobnym torem. Bali się o mnie, bo życie tych przed-pokoleń pokazywało, że utrzymanie się ze sztuki jest pełne zagadek i niebezpieczeństw. Rozumiem, że z ich punktu widzenia był to przejaw najwyższej troski. W pełni to doceniam. Natomiast moja babcia bardzo wspierała mnie w malowaniu. Rozumiała, że wchodząc na ścieżkę sztuki, trzeba mieć sporo hartu ducha i wiary w to, co się robi. Więc jak masz babcię, która cię wspiera, to jest ci o wiele łatwiej. A potem zagryzasz wargi i działasz, albo musisz się jakoś ustawić.

Kiedyś malowali głównie najbogatsi.

Nadal dobrze jest mieć zaplecze finansowe, które daje poczucie bezpieczeństwa. To był przedmiot rozmów i wątpliwości w rodzinie. Pamiętam taką zabawną sytuację z moim ojcem. Lata temu przy wykańczaniu domu kładliśmy razem płytki. Ojciec zajmował się tym zawsze precyzyjnie i z namaszczeniem. Kiedy zobaczył, jak ja to robię, rzucił: to nie malarstwo!

Jesteś w stanie się z tego utrzymać?

Funkcjonuję w dużym stopniu dzięki wsparciu żony i rodziny. Dzięki temu, że mnie kochają, mówiąc wprost.

Uczysz dzieci malarstwa.

To jest fajny sposób, żeby mieć kontakt z dziećmi, które są fantastyczne, wolne od rzeczy, które nas, dorosłych, ograniczają. Są bardziej spontaniczne. Pewne obszary w ich umysłach są bardziej aktywne, nieprzyćmione przez pragmatyzm. Wiele się od nich uczę.

Jakie wartości chcesz im przekazać?

Malarz David Hockney powiedział, że przestrzeń to jest Bóg. Ja bym chciał, żeby to, co robię, było oknem, przez które można popatrzeć.

Jest taki obraz niemieckiego malarza Neo Raucha, na którym widać artystę z wykrywaczem min – najwyraźniej facet szuka czegoś po omacku. Tymczasem pozostawioną przez niego sztalugę razi piorun. Czytam to tak, że w tym, co się robi, trzeba pozostać prawdziwym. Tego bym sobie życzył.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

25 WRZEŚNIA
w siedzibie Radia Kraków
(al. Juliusza Słowackiego 22)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury".

Porozmawiamy o dziedzictwie i tożsamości kulturowej miasta, dostępności kultury dla mieszkańców, nowych wyzwaniach twórców i przemysłów kreatywnych oraz o polityce kulturalnej Krakowa.
Szczegóły w serwisie
www.tygodnikpowszechny.pl

BĄDŹ Z NAMI, JEŚLI CHCESZ WSPÓŁTWORZYĆ KRAKOWSKĄ KULTURĘ!

PROGRAM KONFERENCJI

W ramach wydarzenia odbędą się cztery panele dyskusyjne z udziałem krakowskich instytucji kultury, muzeów, galerii, bibliotek, teatrów, wydawnictw, organizacji pozarządowych i uczelni.

Panel I: Dziedzictwo i tożsamość kulturowa Krakowa

Panel poświęcony znaczeniu dziedzictwa materialnego i niematerialnego w kształtowaniu tożsamości miasta. Reprezentanci muzeów, instytucji zajmujących się ochroną zabytków oraz badacze z uczelni dokonają bilansu dotychczasowych działań na polu zachowania i popularyzacji krakowskiego dziedzictwa.

Panel II: Kultura dla mieszkańców: dostępność, uczestnictwo i dialog

Panel skupiony na odbiorcach kultury i zaangażowaniu społeczności lokalnej. Przedstawiciele bibliotek publicznych, organizacji pozarządowych oraz miejskich domów kultury podzielą się doświadczeniami w upowszechnianiu uczestnictwa kulturalnego.

Panel III: Twórcy i przemysły kreatywne: nowe wyzwania

Panel koncentrujący się na współczesnej twórczości artystycznej i sektorach kreatywnych w Krakowie. Wezmą w nim udział reprezentanci galerii sztuki współczesnej, teatrów, wydawnictw oraz inicjatyw z pogranicza kultury i nowych mediów.

Panel IV: Polityka kulturalna Krakowa: partnerstwa i rozwój

Panel poświęcony zarządzaniu kulturą w mieście oraz planowaniu jej przyszłości. Do dyskusji zaproszeni zostali przedstawiciele samorządu, dyrektorzy instytucji kultury oraz eksperci zajmujący się strategią rozwoju miasta.

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy pobrać darmową wejściówkę

ORGANIZATOR TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER GŁÓWNY Kraków

PARTNER Radio Kraków

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE WARNER MUSIC

Utwór „Apt." wykonywany przez Rosé i Bruno Marsa zdobył tytuł Piosenki Roku podczas gali MTV Video Music Awards 2025, która odbyła się 7 września w Elmont na Long Island.

W co gra Korea

DOMINIKA CHYBOWSKA-JANG

TRENDY | Piosenkę roku wedle MTV zaśpiewała Rosé, członkini k-popowej grupy Blackpink. To pierwszy raz, gdy tę nagrodę przyznano artystce spoza Stanów Zjednoczonych. Nic dziwnego – popularność południowokoreańskiej muzyki wciąż rośnie.

Grupa Blackpink zadebiutowała w roku 2016 pod skrzydłami jednej z największych seulskich wytwórni YG Entertainment. To oni stworzyli Big Bang i 2NE1 – dwie z najpopularniejszych grup k-popowych tzw. drugiej generacji (tak określa się artystów debiutujących w latach 2003-2012). Szersza publika, nawet w Polsce, może kojarzyć jednego z członków Big Bang, rapera T.O.P., który wystąpił w drugim sezonie kultowego serialu „Squid Game" w roli Thanosa.

„Boombayah" (2016), debiutancki singiel Blackpink, był pierwszym k-popowym teledyskiem, który zdobył miliard wyświetleń na YouTubie. To jednak nie jedyny ich rekord, także kolejne utwory dziewczyn zdobywały szturmem listy przebojów na całym świecie. „Kill This Love" (2019) i „How You Like That" (2020) pobiły rekord wyświetleń w ciągu pierwszej doby od premiery na YouTubie.

W 2019 r. jako pierwsza k-popowa grupa w historii Blackpink wystąpiły na głównej scenie Coachelli, a w roku 2022 pojawiły się na okładce pisma „Rolling Stone" jako trzecia grupa żeńska od momentu powstania magazynu, po Spice Girls i Destiny's Child. Blackpink mają na koncie współpracę z Lady Gagą, Duą Lipą, Seleną Gomez czy Cardi B. Łączna liczba odtworzeń ich utworów na platformie Spotify przekroczyła 15 miliardów, czyniąc je tym samym najchętniej odtwarzaną grupą kobiecą w historii serwisu. Pod koniec 2023 r. Blackpink zostały honorowymi członkiniami Orderu Imperium Brytyjskiego, odbierając odznaczenia od króla Karola III podczas uroczystości w Pałacu Buckingham. W lipcu tego roku po niemal trzyletniej przerwie powróciły z utworem „Jump", ponownie zajmując wysokie miejsca na międzynarodowych listach przebojów.

Blackpink od samego początku kariery trzymają się konceptu „girl crush". Nie ma tu miejsca na urocze miny, cukierkowe brzmienia i aurę dziewczęcej niewinności. Przedstawicielki tego nurtu wyróżniają się nieco mocniejszym brzmieniem, ich piosenki mają pazur i nie stronią od rapowych wersów. Prezentują odważniejszy styl, co sprawia, że trafiają w dużej mierze do żeńskiej publiki. Koncept ten jest dość charakterystyczny dla artystów związanych z YG Entertainment. W wielu utworach produkowanych przez wytwórnię można zauważyć mocny wpływ hip-hopu.

Rosé, a właściwie Roseanne Chae-young Park, przyszła na świat w Auckland w Nowej Zelandii, ale większość życia spędziła w Australii. To właśnie tam wzięła udział w castingu organizowanym przez YG Entertainment, który otworzył jej drzwi do międzynarodowej kariery z grupą Blackpink. W 2021 r. Rosé wydała swój pierwszy solowy album. Przełomem w jej karierze okazała się jednak współpraca z Bruno Marsem i ich wspólny utwór „Apt." inspirowany jedną z koreań-

skich gier alkoholowych. „Apt.” okrzyknięto piosenką roku na gali MTV Video Music Awards dosłownie kilka dni temu.

Piosenka stała się viralem, podbiła serca słuchaczy na całym świecie, docierając również do Polski. Według oficjalnych statystyk sprzedażowych prowadzonych przez polski Związek Producentów Audio-Video utwór utrzymuje się na listach od 45 tygodni, w szczycie popularności dotarł na 3. miejsce. Album „Rosie”, z którego pochodzi, ukazał się w grudniu 2024 r. i zadebiutował na 3. miejscu amerykańskiego „Billboard 200”, sprzedając się w ponad 100 tys. kopii w pierwszym tygodniu po premierze. Płyta pokryła się podwójną platyną w Korei Południowej i zdobyła status złotej płyty w Kanadzie, Francji i Nowej Zelandii.

Nie tylko Roseanne radzi sobie świetnie – jej koleżanki z zespołu również robią zawrotne kariery. Jennie wystąpiła w serialu „Idol” produkcji HBO u boku Lily-Rose Depp i The Weeknda, a jej solowy album „Ruby” z 2025 r. rozszedł się na świecie w ponad milionie kopii. „Rolling Stone” i „Billboard” okrzyknęły go jednym z najlepszych albumów roku. Jennie jest muzą projektantów Chanel i pełni rolę globalnej ambasadorki marki. Jako jedyna z całej czwórki doczekała się też ogólnoświatowej trasy koncertowej. Jisoo wydała swój solowy album w roku 2023, a poza karierą muzyczną rozwija się też jako aktorka. Jest ambasadorką Diora.

Świetnie radzi sobie też pochodząca z Tajlandii Lisa, która w grupie pełni rolę raperki. Karierę solową rozpoczęła już w roku 2021, jednak prawdziwym hitem okazał się wydany w lutym tego roku album „Alter Ego”. W utworach wystąpili gościnnie Doja Cat, Rosalia czy Megan Thee Stallion. Płyta zadebiutowała na 7. miejscu „Billboardu”, znalazła się również w pierwszej dziesiątce najlepiej sprzedających się albumów w kilku państwach.

Polska publika także nie oparła się urokowi Lisy – „Alter Ego” jest obecnie dziesiątym najlepiej sprzedającym się albumem w naszym kraju (w sieci salonów Empik płyta znalazła się w pierwszej trójce popowych bestsellerów minionego półrocza). Podobnie jak pozostałe członkinie Blackpink, również i Lisa współpracuje ze znanymi markami, a w tym roku zadebiutowała jako aktorka, występując w „Białym Lotosie” produkcji HBO. To właśnie tej artystce przypisuje się zapoczątkowanie mody na posiadanie maskotek Labubu. Nic dziwnego – na Instagramie Lisę obserwuje ponad 106 mln użytkowników, co czyni ją najpopularniejszą k-popową gwiazdą tej platformy.

A czego słuchają Koreańczycy? Na większości list przebojów króluje obecnie soundtrack z „K-popowych łowczyń demonów”, animowanego fenomenu Netfliksa. Jak na ojczyznę k-popu przystało, Koreańczycy słuchają głównie rodzimych artystów. W tej chwili wśród setki najpopularniejszych utworów według serwisu Melon (największej platformy streamingowej w kraju) znajduje się tylko jeden zagraniczny utwór – „Die with a Smile” w wykonaniu Lady Gagi i Bruno Marsa.

Popularnością cieszą się jednak nie tylko artyści wykonujący skoczne piosenki. Koreańczycy mają wyjątkową słabość do ballad. Lim Young Wook powrócił w tym tygodniu na listy przebojów po wydaniu nowego albumu. Z piosenkarzy mających w repertuarze spokojniejsze utwory można znaleźć tam również Roya Kima i Paula Kima. W Korei chętnie słucha się również soundtracków – utwory z najnowszych dram, czyli południowokoreańskich seriali, bardzo często okupują wysokie miejsca w rankingach.

Zachodni piosenkarze mają tu co prawda grono swoich wielbicieli, choć skala popularności niektórych z największych światowych gwiazd bywa nieproporcjonalnie mała. Ogromną sympatią cieszy się Coldplay – w kwietniu tego roku zespół zagrał aż sześć koncertów pod rząd w podseulskim Goyang, gdzie znajduje się największa scena koncertowa w kraju. To jednak rzadkość, bo choć Korea to ogromny rynek, największe sławy bardzo często zupełnie pomijają kraj podczas swoich tras lub występują w klubach.

Uwagę zwraca też dysproporcja między popularnością niektórych k-popowych artystów za granicą i na rodzimym rynku. Chociaż Blackpink i BTS odnoszą podobny sukces po obu stronach granicy, wiele grup wyprzedających zagraniczne koncerty nie jest dobrze znana w Korei. Przesyt oraz zdominowanie rynku przez artystów z największych wytwórni sprawia, że część z nich nawet nie próbuje szczęścia i celuje od razu w odbiorców zagranicznych.

Całkiem możliwe, że również dzięki temu coraz częściej da się zauważyć większą różnorodność w tej kategorii. Dotychczas dominowali oczywiście Koreańczycy, ale zdarzali się również Chińczycy, Japończycy, Tajowie czy Amerykanie azjatyckiego pochodzenia. Obecnie istnieje kilka grup składających się głównie z obcokrajowców: Katseye, VCHA czy Black Swan. To jednak budzi pewne kontrowersje i rozbudza dyskusje wśród fanów: czy takie grupy można nazywać k-popowymi? Co tak naprawdę pozwala zaklasyfikować artystę do tego gatunku – narodowość, język, w którym śpiewa, czy adres siedziby wytwórni? ©

Czytaj „Tygodnik”...
bo świat nie jest czarno-biały, lecz barwny

TYGODNIK POWSZECHNY
MICHAŁ KUŹMIŃSKI
P.O. REDAKTORA NACZELNEGO

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ostatni rave

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Ta historia wdziera się pod skórę niczym pustynny piach i uwiera jeszcze długo po wyjściu z kina.

MATERIAŁY PRASOWE / STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY

W szwajcarskim dokumencie „Raving Iran" (2017) Susanne Reginy Meures można było zobaczyć, jak wyglądają nielegalne imprezy techno organizowane przez młodych Irańczyków na pustyni. Oglądaliśmy weekendowych uciekinierów z opresyjnego systemu, którzy pokazywali mu z oddali środkowy palec, podrygując godzinami przy transowych bitach, pod wpływem różnych, także zakazanych substancji. W samym zaś centrum znajdowali się niestrudzeni organizatorzy tychże rave'ów, ryzykujący najwięcej.

A kim są, od czego uciekają i czego szukają bohaterowie „Sirât", kiedy bawią się w tłumie innych Europejczyków na skalisto-piaszczystych bezkresach Atlasu? W filmie Ólivera Laxe'a wiele pytań pozostanie zawieszonych, a najbardziej zdesperowany poszukiwacz już na początku drogi straci najwięcej. I będzie to zaledwie warstwa powierzchniowa tej historii, która wdziera się pod skórę niczym pustynny piach i uwiera jeszcze długo po wyjściu z kina.

Ale co pośród tego barwnego, ekstatycznego tłumu robi normals w średnim wieku, w dodatku z dzieckiem i psem? Znany hiszpański aktor Sergi López wciela się w postać Luisa, który poszukuje zaginionej córki, a jej tropy zawiodły go właśnie do południowego Maroka, w sam środek rave'u. Można odnieść wrażenie, jakby się tam z nim było, trochę w tłumie, a trochę jednak obok, jako że paradokumentalne zdjęcia Mauro Herce Miry dopiero z czasem nabierają w pełni immersyjnej mocy. Oczywiście wespół ze ścieżką dźwiękową, gdzie pulsujące rytmy Davida Letelliera będą się przenikać z odgłosami cywilizacji i natury. Jest to bowiem film, który zasysa stopniowo i nieodwołalnie – tym dotkliwsze są te momenty, kiedy widz zostaje gwałtownie wybity ze swojego transu. Droga przez pustynię i dla niego ma być tytułowym *sirâtem*, czyli – według islamu – cieniutkim i ostrym jak brzytwa pomostem wiodącym do raju, ale zawieszonym tuż nad piekłem.

Najpierw wybucha wojna i wojsko rozpędza rave. Wraz z grupką imprezowiczów Luis wyrusza dalej, ku granicy z Mauretanią, licząc naiwnie, że gdzieś tam przebywa jego córka. Jednakże opowieść coraz bardziej gubi swój początkowy cel, zastyga, to znów wybucha, słowem: prowadzi na manowce. Meandruje między dramatem rodzinnym, filmem drogi, historią o przetrwaniu w ekstremalnych warunkach, postapokaliptyczną jazdą w stylu „Mad Maxa", aż po filozoficzną przypowieść, w której pustynia może oznaczać wszystko. Lecz żadna z tych gatunkowych ram nie ogarnia dzikiej, acz precyzyjnie odmierzanej energii „Sirât". Nawet kiedy Luis i piątka jego przypadkowych towarzyszy podróży, w obliczu rozmaitych deficytów, niebezpieczeństw i trudów, zaczynają tworzyć coś na kształt nowej rodziny, złożonej z „ostatnich ludzi". Gdy brakuje paliwa i wody, gdy świat stanął w ogniu i odcięto ostatnie drogi ucieczki, a do tego los zadrwił sobie z głównego bohatera najokrutniej, pozostaje mu już tylko to – owa milcząca wspólnota outsiderów słuchających dziwacznej dla niego muzyki.

Zresztą Laxe podsuwa rozmaite tropy, a nawet miny, i nie tylko w sensie dosłownym. Oto rave jako utopia wolności i wspólnoty gwałci dziewiczy pejzaż Maroka. I choć trzeba przyznać, że widok gigantycznych agregatów i kolumn ustawionych na tle nagich skał czy karawana sunących przez pustynię furgonetek robi potężne wrażenie, wydaje się, że natura musi wziąć odwet. Podobnie jak nieliczni na ekranie tubylcy, zdystansowani i mało skorzy do pomocy. Ale ta filmowa jazda nie potrzebuje wspomagania w postaci krytyki społecznej, ekologicznej czy geopolitycznych diagnoz, przynajmniej nie wprost. Przemawia już samo miejsce (Afryka Północna – stąd się raczej ucieka, niż tutaj ucieka) i czas (przed nami bardzo realne *political fiction*, podszyte jakże współczesnymi lękami). Albowiem prawdziwy filmowy hardkor wcale nie będzie potrzebował wielkich konfliktów; wystarczy ironia losu bądź zwykły przypadek, by wyzbyć się resztek arogancji.

Mimo że zatracanie się pośród dudniących sound systemów okazuje się ucieczką pozorną i nie przynosi wyzwolenia, reżyser zdaje się wierzyć zarówno

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

SIRÂT
– reż. Óliver Laxe. Prod. Hiszpania/ /Francja 2025. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 19 września.

Óliver Laxe, urodzony we Francji hiszpański reżyser i scenarzysta, zaczynał od zrealizowanego w Maroku dokumentu „Wszyscy jesteście szefami" (2010), uhonorowanego przez krytykę w Cannes. Jego filmy fabularne, czyli „Mimosas" (2016), „Siła ognia" (2019) i najnowszy „Sirât", również były w konkursach tego festiwalu i za każdym razem otrzymywały tam ważne nagrody.

Kadr z filmu „Sirât"

w siłę elektronicznej muzyki, w piękno surowego pejzażu, jak i moc filmowej kinetyki. Oraz w coś jeszcze, co wydawało się pozorne w rave'owym zbiorowisku. „Sirât" to bowiem kino katastroficzne szukające na gruzach śladów ludzkich. Jest ascetyczne i jednocześnie intensywne, „wysokooktanowe", na dodatek czerpiące z wielu źródeł. Z dawkowanego po szatańsku napięcia, z audiowizualnego oddechu i ciężaru niedopowiedzeń, zmuszających do wyświetlania sobie w głowie równoległego filmu. Takiego, w którym nie chodzi wyłącznie o przeżycie na pustyni, odnalezienie dziecka czy ucieczkę przed wojną, ale o wyrażone bez krzty patosu duchowe poruszenia i tęsknoty. Łatwo było je zagadać, zatupać, zasłonić publicystycznym bądź efekciarskim naddatkiem. Laxe potrafi jednak sprawić, że niespodziewana eksplozja jest wbijającym w fotel efektem specjalnym i zarazem egzystencjalnym znakiem.

Jako film „Sirât" również balansuje na ostrzu brzytwy i w swojej nieprzewidywalności sam bywa polem minowym. Reżyserowi zarzuca się, że uprawia „emocjonalne porno", bo nazbyt swobodnie i radykalnie igra reakcjami widzów. Zaiste, w tej samowolce wielokrotnie przypomina Laxe drapieżnego kota, który zbyt długo i leniwie bawi się swoją ledwo żywą ofiarą. Albo złośliwego demiurga, który z nudów gra sobie w strzelankę i chwilami można poczuć się w kinie tak, jakby i nas brał na muszkę. Dlatego pierwotny, wręcz organiczny odbiór tego filmu wywołuje bezradność, zawstydzenie czy wręcz irytację – co on, do diabła, z nami robi?!

Tymczasem między górnolotną refleksją „do czego zmierza nasz świat" a trzewiowym i dziwnie trzeźwym dreszczowcem rozgrywa się wspaniałe, intensywne kino, pozwalające na gołej skórze odczuć dokonujące się na ekranie procesy: pustynnienia, ubywania, redukcji, ciągłego „ćwiczenia się z utraty". W skali indywidualnej i globalnej.

Najważniejsze, że film nie zostawia nas całkowicie bezradnych, oszołomionych tym zmierzaniem ku nicości, jak robił to choćby Béla Tarr w genialnym skądinąd „Koniu turyńskim" (2011). Zanim kolejny przeładowany pojazd stoczy się prosto w przepaść, może ktoś zdąży w porę zaciągnąć hamulec ręczny. Lub przynajmniej zauważy, że wszyscy w gruncie rzeczy jedziemy na tym samym wózku. ©

Lektor:
Budowanie tratwy

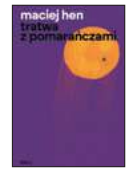

Maciej Hen
TRATWA Z POMARAŃCZAMI
Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2025, ss. 312

Maciej Hen zadziwia – przebiegiem pisarskiej kariery i różnorodnością swoich książek. Najpierw był późny debiut pod pseudonimem, potem olbrzymia „Solfatara", dziejąca się w XVII-wiecznym Neapolu, „Deutsch dla średnio zaawansowanych" – rzecz współczesna, ale z rozmaitymi kluczami i zaskoczeniami (wątek Szeli!), reportaż o Beatlesach w Polsce, „Segretario" – kolejna doskonała powieść historyczna, z wątkiem feministycznym, a teraz autobiografia. Świetnie i lekko napisana, choć – paradoks – udźwignęła temat ciężki.

Jak mówi autor, „jest to w gruncie rzeczy książka o Marcu '68, który, prawdę mówiąc, nie zaczął się wcale w 1968, ani się też w 1968 nie skończył". Czytałem ją z tym większymi emocjami, że z Maciejem Henem jesteśmy rówieśnikami. Więc z jednej strony docenić mogłem oddanie bliskiego mi klimatu dzieciństwa w inteligenckiej rodzinie epoki Gomułki, a z drugiej – zrozumieć, czym było doświadczenie codziennego antysemityzmu dla dorastającego ciemnowłosego i ciemnookiego chłopca, który stopniowo uświadamia sobie swoje pochodzenie. Szczególnie przerażające są niektóre szkolne scenki, a Zygmunt Przeworski, kolega, u którego Maciek znajduje pomoc i opiekę, w Marcu okazuje się też Żydem. Bardzo to gorzkie. Rodzina Przeworskich wyjedzie, podobnie jak zaprzyjaźnieni z Henami Stroynowscy. I wielu innych. Na roku 1968 zresztą opowieść się kończy.

Dodać trzeba koniecznie, że ta książka to wielka pochwała miłości rodzinnej. Rodziny, małej komórki, która daje oparcie i ratunek. Małej, bo żyje już tylko jedna babcia, matka ojca, ale w Izraelu, a rodzina ukochanej matki (jakże piękny jest jej portret!) zginęła w Zagładzie. Ocalały wujek Sewek mieszka w Ameryce, a gdy przyjeżdża, wspomina swoje wojenne losy w formie makabrycznawych anegdot (jak ta o zakonnicy, która umierającego niemal z głodu żydowskiego robotnika przymusowego chciała napoić... olejem rycynowym, albo o groźnym psie, który uciekającemu udzielił schronienia w swojej budzie).

Zresztą umiejętność samego autora, by zmieniać rejestry i przełamywać nastrój, wzbudza podziw. „Tratwa z pomarańczami" daleka jest od martyrologii: to opowieść o poznawaniu świata, dziecięcych fascynacjach i pierwszych wtajemniczeniach erotycznych (od zauroczenia Grace Kelly poczynając). I o tym, jak można budować własną tratwę „Kon-Tiki" z deszczułek po skrzynce, w której ciotka przysłała pomarańcze z Jaffy. Nic z tego nie wyjdzie, ale i tak warto. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Siła posiłku

Dziewięć milionów razy wyświetliły się polskim użytkownikom Youtube'a propagandowe filmiki o restauracjach i targach w Strefie Gazy, zrealizowane przez agendy izraelskiego państwa i rozreklamowane za pieniądze tegoż – tak by dotrzeć do użytkowników, którzy niekoniecznie szukali materiałów o wojnie i destrukcji, a wręcz mają te sprawy w nosie. I słusznie kierowano ten potok bzdur szczególnie do nich, bo przekaz był tak jawnie sprzeczny z całą wiedzą, jaką da się poskładać na temat tego, co się tam dzieje, że każdego, kto próbuje sobie wyrobić przybliżony obraz sytuacji, musiała kłamliwość suflowanej narracji odrzucać. A mogłaby nawet śmieszyć, gdyby tępy ból bezradnego sumienia zostawiał jakąś przestrzeń dla śmiechu.

Nie może być tematem felietonu i złośliwości skala nagiej przemocy, od dawna wyglądającej nie jak uzasadniona samoobrona czy choćby zemsta za własne ofiary, tylko walka o przetrwanie cwanej kliki złożonej z facetów, którzy, gdyby ich przenieść w nasze strony, mogliby spokojnie zasiadać w jednej ławie z Grzegorzem Braunem i świetnie się z nim dogadywać. Fakt, że to coś tak ogromnego, że nie nadaje się do rozmowy przy stole, nie oznacza, że o tym nie pamiętamy. Obiecałem tu sobie i Wam niedawno, że co jakiś czas jednak będę dla porządku przypominać. My tu gawędzimy w kuchni, a w pokoju wciąż stoi ten słoń, jak pięknie określają Anglosasi niewymowną historię, która ciąży nad nami. Przypominać o sztucznie wywołanym głodzie, który w każdych okolicznościach, jeśli użyty jest do walki politycznej, staje się prostą zbrodnią. Bez wchodzenia w drugorzędne kwestie, co i jak można zakwalifikować jako ludobójstwo i co by na to powiedział Rafał Lemkin. Toż to tylko bałamutne wykręcanie prawniczym sianem.

O tym, jak głód pustoszy ciało i podcina umysł, o tym, jak przynosi zagładę miastom i ludom – niech piszą lekarze, reporterzy, może też kiedyś coś do powiedzenia będą mieć sędziowie trybunałów. My na naszą skromną miarę w dyskusyjnym klubie śniadaniowym zwróćmy przy okazji tej nieszczęsnej propagandy uwagę, że nasza codzienność i sposób życia ulegają przemianie szybciej niż co pokolenie – a tymczasem żywność i posiłek wciąż tkwią w pierwszej trójce najgłębszych archetypów, przy pomocy których najskuteczniej można ludźmi manipulować. Stąd te filmiki pokazujące przyjemne i dobrze działające lokale w Strefie Gazy oraz targi pełne towaru. Proszę, siedzą i biesiadują, czyli jest im dobrze i bezpiecznie. Bo obraz ludzi wokół zastawionego stołu budzi skojarzenia z bezpieczeństwem i dobrem. Ustępuje w swej mocy chyba tylko zdjęciom matki tulącej śpiące dziecko.

MAJDI FATHI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Z drugiej zaś strony, ten multimedialny przekręt mimochodem wyświadcza przysługę prawdzie o niezłomności podstawowych ludzkich pragnień. Albowiem ujęcia lokali nie były same w sobie fałszem, przynajmniej niektóre. Pokazywały istotnie działające w Strefie resztki gastronomii. Paru dziennikarzy spróbowało pójść tym tropem i bez trudu możecie znaleźć relacje, w których właściciele opowiadają o walce o przetrwanie w coraz bardziej zdemolowanym otoczeniu, kiedy już nie da się zdobyć prawie niczego, co trzeba wsadzić do kotła, a cena jedzenia sprawia, że prawie nikt już nie ma dość pieniędzy, żeby je kupić. O beznadziejnych staraniach, by się utrzymać, i równie beznadziejnych wysiłkach nielicznych klientów, by zachować resztkę pozorów normalnego życia, kiedy cała rodzina kupuje jeden placek na spółkę, bo na tyle ją stać.

Przy okazji tej kampanii dezinformacji przypominano o tym, że w najgorszym koszmarze gett działały restauracje, kafejki i dansingi, i że nigdy nie jest tak, by wszyscy cierpieli tak samo, bo przecież wojna tylko wyostrza podział klasowy i majątkowy. Wolę nie sięgać po te przykłady, bo lepiej w ogóle omijać konteksty holokaustowe, unikać grząskich moralnie konceptów typu „ofiara stała się katem". Przykłady dzikiej energii życiowej, widocznej wbrew okrutnej wojennej opresji, można znaleźć w relacjach z każdej, także bliższej nam czasowo wojny. Życie społeczne jest jak chwast wyłażący z każdej szpary w chodniku i nie zadepczesz każdego jego odrostu. Wyraża się w kilku rytuałach, pośród których wspólny, publiczny

Palestyńczycy z dystrybuowaną żywnością. Gaza, 17 marca 2025 r.

posiłek jest jednym z najbardziej uniwersalnych i prostych do odtworzenia. Mieliśmy tego dowody pięć lat temu, na szczęście bez wojny – kiedy w pandemicznych lockdownach pojawiały się pirackie restauracje i bankiety. Jakkolwiek źle oceniać łamanie prawa, była w tym siła czegoś więcej niż tylko reakcji na nudę ludzi zamkniętych w domach i chęci zysku chciwych restauratorów.

Na drugim końcu tego spektrum, tak groteskowym, że aż głupio to zestawiać, syci ludzie z dobrych dzielnic wielkich miast Ameryki czy Europy aplikują sobie kosztowne zastrzyki odbierające apetyt. Odechciewa im się zatem jadać, a jednak wciąż potrzebują „wyjść na kolację". Stąd już zauważalny w wyższych segmentach gastronomii ruch w stronę tworzenia specjalnej oferty dla „ozempikowców", czyli mikroporcyjek jeszcze skromniejszych od tego, co się zwykle w eleganckich przybytkach podaje. Albo, żeby nie stracić klienteli, lokale idą w stronę potraw do współdzielenia – korzyść jest taka, że każdy sobie skubie po trochu i nie czuje się głupio, że zostawił pół swojego dania na talerzu. Jeść już nikt nie chce, ale siąść za stołem z bliźnimi wciąż tak. I to jest w tym szaleństwie pocieszające.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Piemoncki flan z porów

Pozostańmy jeszcze przez chwilę w Piemoncie i wykorzystajmy ponownie brytfannę, w której tydzień temu piekliśmy w kąpieli wodnej deser o nazwie bonet. Tym razem zrobimy słoną, bardzo słoną przekąskę.

SKŁADNIKI:
3 duże albo 4 małe pory 3 jajka 150 ml mleka
150 ml śmietanki 3 łyżki parmezanu ▪ oliwa
▪ sól i pieprz ▪ masło do smarowania

Na sos:
6 filecików anchois 200 ml śmietanki 50 ml mleka
1/2 łyżeczki skrobi ▪ ząbek czosnku

Siekamy cieniutko białe części porów, dusimy na średnim ogniu na oliwie pod przykryciem z odrobiną wody, co jakiś czas mieszając, przez ok. 15 minut, aż całkiem zmiękną. Studzimy, ważymy – potrzebujemy 300 g uduszonego pora.
Łączymy w misce mleko, śmietankę i jajka. Dodajemy pory, miksujemy na gładką masę. Dodajemy tarty parmezan, mieszamy łyżką, doprawiamy solą i pieprzem. Smarujemy masłem foremki lub ramekiny – ceramiczne lub, jeszcze lepiej, silikonowe – o pojemności 125-150 ml, wypełniamy je masą do 1 cm poniżej krawędzi. Wstawiamy do brytfanny wypełnionej gorącą wodą do połowy wysokości foremek. Pieczemy w 160 st. C przez ok. 40 minut, aż dobrze stężeje. Studzimy i odwracamy na talerzykach.
Robimy sos: na 1 łyżce oliwy podgrzewamy delikatnie rozgnieciony ząbek czosnku, dodajemy anchois, mieszamy drewnianą łyżką, aż się rozpuści. Wlewamy mleko i śmietankę, zagotowujemy delikatnie, dodajemy skrobię rozrobioną w łyżce zimnego mleka, mieszamy i dalej podgrzewamy, aż zgęstnieje. Flany wyjęte na talerzyki polewamy sosem. ©℗

PAWEŁ BRAVO

PSYCHE

CHROŃ GŁOWĘ

PAULINA PIASECKA, EKSPERTKA DS. BEZPIECZEŃSTWA:
Wobec prowokacji Rosji musimy budować społeczną odporność na panikę, którą próbuje w nas zasiać.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Kilka godzin po zestrzeleniu rosyjskich dronów pojawiły się zarzuty, że SMS-y od Rządowego Centrum Bezpieczeństwa dotarły do ludzi dopiero rano, jak było już po wszystkim. Że państwo znów nie zadziałało tak, jak powinno.

PAULINA PIASECKA: Te wiadomości nie miały ostrzegać przed atakiem dronów, tylko przed tym, co z tych dronów zostało po zestrzeleniu. A to znaczy, że wiadomości pojawiły się wtedy, kiedy powinny. Można oczywiście pytać, czy wcześniej nie powinno się pojawić ostrzeżenie, że te drony lecą. Tylko jak taki SMS miałby brzmieć? „Nie wychodźcie z domów"? W środku nocy większość ludzi i tak w nich była, a taki komunikat tylko by pobudził ciekawość i zapewne, przynajmniej niektórzy, z domów by powychodzili. Efekt byłby więc odwrotny do zamierzonego.

A co właściwie powinniśmy zrobić, gdyby w środku nocy rzeczywiście dotarły do nas SMS-y z ostrzeżeniem, że nadlatują drony?

Coś, co stoi w absolutnej sprzeczności z naszym narodowym instynktem: powinniśmy zachować się dokładnie tak, jak państwo nam mówi, że mamy się zachować.

Trudno ufać państwu, jeśli regularnie mamy poczucie, że w czasie kryzysów nas zwodzi. Podczas pandemii jednego dnia słyszeliśmy, że maseczki nie zapobiegają zakażeniu, następnego – że najlepsze są plastikowe półmaski, a zaraz potem, że półmaski są bez sensu i trzeba nosić szmaciane. Przykłady można mnożyć.

Tu tkwi sedno problemu: społeczeństwo nie ufa państwu, a państwo nie umie komunikować zagrożeń w taki sposób, żeby nie wywoływać paniki i jednocześnie traktować obywateli jak sojuszników.

Kilka lat temu, gdy największym zagrożeniem był terroryzm, prowadziliśmy kampanię informacyjną, która uczyła, że w systemie antyterrorystycznym zasobem jest każdy. Dziś, w obliczu ryzyka ze strony wojny hybrydowej, należałoby uczyć, że każdy jest – a przynajmniej powinien być – zasobem w systemie bezpieczeństwa państwa.

Co to znaczy?

Że każdy powinien mieć świadomość potencjalnych zagrożeń i wiedzieć, jak się w ich obliczu zachowywać, by nie stać się źródłem jeszcze większych zagrożeń.

Trzeba być przygotowanym zarówno na to, jak działać, zanim jeszcze zareaguje państwo, jak i na to, jak zachować się, gdy rozpocznie ono akcję antykryzysową. Eksperci nazywają to – dość paskudnie, ale trafnie – „zdolnością absorpcji pomocy". Chodzi o to, byśmy potrafili początkowo poradzić sobie sami, a później współpracować ze służbami ratowni-

P. DZIURMAN / REPORTER

Jako społeczeństwo mamy już przećwiczone takie zagrożenia jak powódź czy pandemia. Na groźbę agresji militarnej jesteśmy nieprzygotowani. Ścinawa nad Odrą, wrzesień 2024 r.

czymi i innymi instytucjami, zamiast „plątać się im pod nogami".

Powódź czy pandemię mamy już „przećwiczone" i mniej więcej wiemy, jak reagować. Konflikt z Rosją, szczególnie teraz, gdy eskaluje, jest całkiem inny.

Nie będę oryginalna, jeśli powiem, że działania, które wobec nas prowadzi Rosja, toczą się przede wszystkim w naszych głowach. To właśnie tam przebiega linia frontu – być może najważniejsza w tej wojnie. I wyjątkowo często pokrywa się ona z linią podziałów i napięć w naszym spolaryzowanym społeczeństwie.

Rosjanie bardzo starannie wybrali to miejsce, bo my sami chętnie podważamy zaufanie do własnego państwa i jego instytucji. Przykład? W latach 90. policja, uważana wówczas za spadkobierczynię aparatu bezpieczeństwa PRL, zaczęła mozolnie odbudowywać zaufanie wśród obywateli. Ogromny wysiłek, w tym m.in. walka z przestępczością zorganizowaną, sprawił, że zawód policjanta zaczął odzyskiwać szacunek. W pewnym momencie ten kapitał został jednak roztrwoniony w rozgrywkach partyjnych, a policji użyto do spraw, które naturalnie budzą emocje. Po czymś takim trudno się dziwić, że ludzie nie słuchają funkcjonariuszy, gdy ci proszą np. o odsunięcie się od miejsca wypadku.

W jaki sposób Rosja nas rozgrywa?

Center for European Policy Analysis już w 2016 r. opublikował raport, który pokazywał, jak Polacy są rozgrywani przeciwko sobie i swojemu państwu w ramach rosyjskich operacji informacyjnych. Wskazano, że Kreml nie musi nawet wprowadzać nowych narracji – wystarczy, że wykorzystuje już istniejące. Bywało to wręcz groteskowe, choć absolutnie nie śmieszne, gdy do polskiej memosfery trafiały obrazki z hasłami w rodzaju: „Ej, Paliaki, wyobrażacie sobie, że ktoś wam ↦

↦ przyjdzie z pomocą? Zostaniecie jak zwykle sami".

Dziś prowadzone są przeciwko nam działania długofalowe i znacznie poważniejsze, oparte na faktycznie istniejących w Polsce emocjach. Stąd wspierane przez Rosję narracje, takie jak: „to nie nasza wojna" czy „rządzący służą obcym interesom". Im mocniej utrwala się taki sposób myślenia, tym łatwiej postrzegać polityków nie jako służących państwu i jego obywatelom, ale jako agentów, którzy rozkradają majątek albo oddają kraj pod cudze panowanie. Choćby „europejskiego sowchozu" – tak właśnie narracje rosyjskie próbują przedstawiać Unię Europejską, podważając sens naszych międzynarodowych sojuszy.

Które z tych narracji są najgroźniejsze?

Amerykanie opisują środowisko informacyjne – czyli obszar, w którym toczy się wojna kognitywna – w trzech wymiarach. Pierwszy to wymiar fizyczny, czyli nośniki informacji: gazety, telewizja, media społecznościowe. Drugi to wymiar „datacentryczny" – przestrzeń cyfrowa i wirtualna, w której te informacje krążą. I wreszcie trzeci, najważniejszy: wymiar kognitywny, czyli nasze umysły, przekonania i postawy. To one decydują, jak reagujemy na bodźce informacyjne.

Operacje prowadzone w tej ostatniej sferze są niezwykle złożone. Mogą polegać na podważaniu zaufania do państwa albo do sojuszy międzynarodowych. Co trzeba zrobić, żebyśmy zaczęli patrzeć na partnerów – sojuszników czy instytucje międzynarodowe – jak na wrogów? Świetnym narzędziem jest ksenofobia: narracje mówiące, że jesteśmy inni, lepsi, że trzeba się odciąć od „obcych". Bardzo skuteczne są też hasła antyimigracyjne, które trafiają w czułe punkty dużych grup społecznych.

Co jeszcze przydaje się Rosjanom?

Często wskazuje się, że przygotowanie wojny hybrydowej jest tym łatwiejsze, im bardziej spełnione zostaną warunki wstępne: spadek wiarygodności administracji publicznej, nasilający się konflikt wewnętrzny, istnienie partykularnych grup interesów podatnych na zewnętrzne wsparcie. A jeśli spojrzymy na całość naszej debaty publicznej i posłuchamy tego, co mówią politycy – nie będę wymieniać nazwisk – którzy w chwili, gdy Polska staje się celem rosyjskich dronów, opowiadają, że prawdziwym zagrożeniem jest ekonomiczna wojna z Niemcami, to trudno nie zadać sobie pytania, czy naprawdę chodzi im o bezpieczeństwo i stabilność Rzeczypospolitej.

Tylko co w takiej sytuacji może zrobić zwykły obywatel?

Pierwszą rzeczą, którą powinien zrobić, jest policzenie do dziesięciu i wzięcie głębokiego oddechu, zanim zareaguje. Znakomita część rosyjskich operacji ma na celu wywołanie reakcji, najczęściej powiedzenia czy zrobienia w emocjach tego, co od razu przychodzi człowiekowi do głowy. To właśnie w ten sposób przeciwnik sprawdza, gdzie będzie mógł następnym razem uderzyć jeszcze celniej.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

DR PAULINA PIASECKA jest dyrektorką Centrum Badań nad Terroryzmem i prorektorką ds. dydaktycznych Uniwersytetu Civitas. Zajmuje się nauką o bezpieczeństwie, wojną i zagrożeniami hybrydowymi.

Podam przykład, jak takie operacje działają. Kiedy w internecie zaczęło huczeć od informacji, że w bankomatach wkrótce zabraknie pieniędzy, ludzie rzucili się, żeby je wypłacać. A ponieważ ilość gotówki w bankomatach jest analizowana i na tej podstawie są one zasilane, gdy na gwałt zaczęto wypłacać pieniądze, rzeczywiście ich w bankomatach zabrakło. To z kolei stało się paliwem dla internetowych podszeptów, że pierwsza informacja okazała się prawdziwa, a druga jest taka, że system ekonomiczny państwa upada.

W sytuacji, gdy społeczeństwo staje się celem tego typu operacji, musimy po prostu starać się budować społeczną odporność na panikę, którą ktoś próbuje w nas zasiać.

A jest kraj, w którym taką odporność udało się zbudować? Mamy z kogo brać przykład?

Są państwa z dobrą tradycją komunikacji kryzysowej, ale nawet tam system nie zawsze działa bezbłędnie. W Wielkiej Brytanii przez dziesięciolecia budowano BBC, która miała być wolna od wpływów politycznych i obdarzona społecznym zaufaniem. Mimo to rosyjskie narracje przed głosowaniem w sprawie brexitu weszły jak nóż w masło.

Złotych recept więc nie ma?

Każde państwo musi szukać rozwiązań dostosowanych do własnego społeczeństwa, ale jak długo nie zbudujemy systemu, w którym obywatele czują się traktowani jak poważny partner, a państwo komunikuje zagrożenia w sposób transparentny i wiarygodny, będziemy przegrywać w wojnie hybrydowej z Rosją. Piłka jest po stronie rządu i administracji, ale także po stronie wszystkich aktorów życia publicznego. Zabrzmi to pewnie jak frazes, ale odpowiedzialność za słowo, w szczególności w obszarze bezpieczeństwa państwa, dotyczy wszystkich.

W USA Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego publikuje listy, poradniki oraz instrukcje dotyczące tego, jakie rzeczy każdy obywatel powinien zgromadzić czy jak ma reagować na fizyczne zagrożenia. A w Polsce?

U nas hasło „plecak ewakuacyjny" najczęściej kojarzy się z reklamą drogiego zestawu, który ktoś próbuje nam sprzedać.

Nie jestem przeciwniczką plecaków ewakuacyjnych. Ale to państwo, a nie jakieś firmy, powinno nam powiedzieć, jak mamy taki plecak przygotować. Im więcej państwo nam powie, jak możemy zadbać o swoje bezpieczeństwo, tym mniej będziemy podatni na manipulacje.

W każdym domu powinien być plecak ewakuacyjny, ale bynajmniej nie dlatego, że spodziewamy się przedzierania po nocach z latarkami czołowymi przez bagna, tylko dlatego, że

Jak być odpornym

- **ZANIM ZAREAGUJESZ NA INFORMACJĘ**, która wzbudza silne emocje – najczęściej strach albo wściekłość – sprawdź, czy jest prawdziwa. Zweryfikuj, czy podają ją wiarygodne źródła. Jeśli tak, przeczytaj uważnie i samodzielnie wyrób sobie opinię. Pamiętaj: twoja reakcja też jest elementem systemu obrony, a spokój działa jak tarcza.
- **MYŚL DŁUGOFALOWO**. Rosyjska wojna hybrydowa to maraton, nie sprint. Wygrywa wytrwałość. Przygotuj sobie plan: co zrobię, jeśli zabraknie prądu, internetu, albo gdy nie zadziała bankomat. To daje poczucie kontroli w chwili kryzysu.
- **JEŚLI CHCESZ SIĘ DOWIEDZIEĆ WIĘCEJ**, wpisz w wyszukiwarkę „ministerstwo spraw wewnętrznych poradniki". To krótkie materiały – część informacji, które zawierają, pewnie już znasz, ale pozwolą ci usystematyzować wiedzę. Na stronie Rządowego Centrum Bezpieczeństwa znajdziesz natomiast „Poradnik na czas kryzysu i wojny", gdzie opisano m.in., jak przygotować plecak ewakuacyjny.

panika to reakcja na nieznane, z którym nie umiemy sobie poradzić. Jeżeli mam przekonanie, że wiem, co robić i sobie poradzę w trudnej sytuacji, to będę reagować znacznie spokojniej, gdy zagrożenie rzeczywiście się pojawi. Będę też ze znacznie większą intelektualną stabilnością czekać na instrukcje od mojego państwa. A z pewnością nie będę panicznie reagować na wszystko, co mi się wyświetli w internecie.

Skoro nie ma państwa, które może nam świecić przykładem całościowo, to może przynajmniej są kraje, które mają jakieś wyjątkowo udane rozwiązania?

W Estonii działa Liga Obrony Cyberprzestrzeni, która ma swoją genezę w 2007 r., kiedy Rosjanie – w odpowiedzi na decyzję o przeniesieniu pomnika czerwonoarmisty, tzw. Żołnierza z Brązu – zaatakowali kraj cybernetycznie. Wówczas do obrony zorganizowali się ludzie, którzy mają kompetencje w branży IT, pracują w prywatnych firmach i zapewne państwa nie byłoby stać, żeby płacić im tyle, ile tam zarabiają.

Od tego czasu Estonia ma w razie potrzeby do dyspozycji armię ludzi, którzy na co dzień zajmują się cyberbezpieczeństwem i są w stanie w bardzo krótkim czasie reagować na zagrożenia. Co więcej: każdy może do nich dołączyć, a państwo zapewnia dodatkowe szkolenia i odpowiednie struktury, by wiedza i umiejętności każdego obywatela mogły być wykorzystane dla dobra wspólnego. Estończycy rozumieją, że w cyberprzestrzeni każdy może i powinien być zasobem. I nie jest to tylko puste hasło, ale element systemu bezpieczeństwa, w którym państwo i obywatele wzajemnie się wspierają. Nie chodzi ani o „obawę przed wrogiem", ani o „panikowanie", ale o racjonalną odpowiedź na realne zagrożenie.

Nie reagować spontanicznie na polityczne awantury. Nie kupować gotowego plecaka ewakuacyjnego, tylko skompletować go samemu. Co jeszcze można dla siebie zrobić?

Śledzić informacje, które są przekazywane przez instytucje bezpieczeństwa państwa, jak RCB czy MSW. Sprawdzić – na stronach rządowych są takie informacje – jak w danej sytuacji reagować na zagrożenia.

Kto ma czas, żeby samemu znaleźć i przeczytać te wszystkie instrukcje? Czy to nie obowiązek państwa, żeby nam to powbijać do głów? Na przykład, żebyśmy wiedzieli, że kiedy nagle wyłączą prąd i przestaną działać telefony, choćby z powodu cyberataku, to najważniejsze komunikaty usłyszymy w Polskim Radiu?

Mimo że bezpieczeństwem zajmuję się od lat, byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że dźwiękowe systemy ostrzegawcze – te nadawane przez syreny, których rodzajów musieliśmy się uczyć na przysposobieniu obronnym – dziś są zupełnie inne. Jesteśmy społeczeństwem niedoinformowanym w kwestii tego, jak będziemy poinformowani o zagrożeniach, mimo że to element systemu bezpieczeństwa.

Z tym doinformowaniem społeczeństwa wiąże się jednak pewien paradoks. Jeśli bowiem za największe zagrożenie uznaje się teraz niestabilność wywołaną paniką, to uruchomienie wielkiej kampanii typu „przygotujcie się na koniec świata" samo w sobie może wywołać panikę. Kluczowe jest więc to, czy państwo wie, kiedy powinno zintensyfikować komunikację z obywatelami i doedukować ich w kwestii, jak się będzie z nimi komunikować, gdy za największe zagrożenie zostanie uznane coś innego.

Zmęczenie wojną w Ukrainie nie osłabia naszej gotowości?

Z jednej strony możliwe, że wiara w to, że u nas w Polsce nic złego się nie wydarzy, jest sposobem na zachowanie zdrowia psychicznego, ale z drugiej zachowujemy się, jak byśmy mieli syndrom gotującej się żaby. Ze zdumieniem słuchałam ostatnio osób dyskutujących o tym, że rosyjskie drony wleciały do Polski, które traktowały te informacje na zasadzie: „no, wlecieli, ale wylecieli". Oczywiście ludzie nie mogą wpadać w amok przy każdym sygnale zagrożenia, ale musimy umieć racjonalnie oceniać, co i w jakim stopniu nam grozi. A to wymaga opracowania nie tylko systemu komunikowania się ze społeczeństwem, ale też formułowania komunikatów tak, by nie wywołując paniki, motywować ludzi do działania. Na razie tego u nas nie ma.

Nie ma też racjonalnych postaw obywateli?

Kilka dni temu rozmawiałam z mężczyznami, którzy twierdzili, że powinniśmy pójść z Rosją na wojnę, „bo NATO przykryje Rosję czapkami". Na pytanie, czy są gotowi iść na front, moi rozmówcy odpowiadali, że nie, bo od tego są zawodowi żołnierze, którzy dostają za to pieniądze. Czyli mają nas bronić inni, my sami mamy nie robić nic.

To pokazuje, że chociaż czujemy się zagrożeni, nie czujemy się osobiście odpowiedzialni za nasze państwo. Nie czujemy z nim związku na tyle silnego, by uznać, że mamy również wobec niego obowiązki. I tu nie chodzi o zaufanie do takiego czy innego polityka i do tego, jak jesteśmy rządzeni, tylko o to, na ile cenimy nasz język, historię, tradycję. Jeśli tego w nas nie ma, możliwe, że jest to największe ze zwycięstw Kremla.

© Rozmawiali AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Katar i klimat*

Pod koniec lipca Reuters ujawnił list, który katarskie ministerstwo energii przesłało w maju do belgijskiego rządu. Podpisany pod nim minister Saad al-Kaabi stwierdzał, że jeśli Unia Europejska zamierza utrzymać w mocy dyrektywę w sprawie należytej staranności przedsiębiorstw w zakresie zrównoważonego rozwoju (CSDDD) – która jest częścią Zielonego Ładu – Katar zrezygnuje z zaopatrywania Europy w gaz. A dokładniej – ale i enigmatyczniej – rzecz ujmując, „poważnie weźmie pod uwagę inne rynki, poza Unią Europejską". Przypomnijmy: w dyrektywie, obejmującej szereg zagadnień, mowa m.in. o przeciwdziałaniu ociepleniu klimatu większemu niż 1,5 stopnia Celsjusza – wedle założeń porozumień paryskich z 2015 r. – i dążeniu do osiągnięcia neutralności klimatycznej w 2050 r. Minister al-Kaabi, skądinąd zasiadający jednocześnie w fotelu prezesa koncernu QuatarEnergy, który dostarcza krajom unijnym gaz, podkreślił, że ani jego państwo, ani jego koncern nie planują żadnej neutralności. Krótko mówiąc: nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?

Nie chodzi tu oczywiście wcale o Katar (dostawy skroplonego gazu z tego kraju to 14 proc. całego europejskiego rynku), lecz w ogóle o fatalną sytuację, w jakiej się jako ludzkość znajdujemy. List od ministra al-Kaabiego jest tylko wymowną tego ilustracją. A można na niej dostrzec jeszcze m.in. Rosję, Chiny, Indie i, o ironio, Stany Zjednoczone (przynajmniej dopóty, dopóki prezydentem jest Donald Trump). Słowem, kraje, które ujmują kwestię ludzkiego wpływu na klimat w modelu postmodernistycznym. Jako narrację, jedną z wielu. A skoro jest to wyłącznie narracja, wówczas można i należy traktować ją w kategoriach jak najściślej narracyjnych. To znaczy – przeciwstawiać jej inne narracje, być może znacznie bardziej, z perspektywy określonych interesów, pożyteczne. To właśnie zrobił minister al-Kaabi, choć niewykluczone, że nie wiedział, iż mówi prozą.

Nasz – ludzkości – kłopot polega oczywiście na tym, że stawka jest tutaj dalece nienarracyjna. Kiedy bowiem temperatura rośnie, to krew gęstnieje, oddech przychodzi z trudem, rosną ryzyka udarów, zdarzeń sercowych, a także, nie oszukujmy się, zgonu. O katastrofach żywiołowych, pożarach i innych drastycznościach nie wspominając. W takich okolicznościach nie mamy już do czynienia z narracją – a w każdym razie nie tylko z nią – lecz, jak mawia Bohdan Chwedeńczuk, z rzeczywistą rzeczywistością.

Cóż jednak zrobić, jeśli co do tego, gdzie rzeczywista rzeczywistość jest, czy w ogóle jest i jaka jest, nie potrafimy już się prawie w ogóle porozumieć? W dzisiejszym świecie liczy się w pierwszej kolejności nie to, jak jest, lecz jak ludzie myślą, że jest. To zaś, co ludzie myślą, daje się – w epoce postępującego odrealnienia – bardzo sprawnie modelować.

W przeciwieństwie jednak do naszych umysłów, nasze ciała tym procesom odrealnienia skutecznie się opierają. Żadne perswazje i interpretacje, żadne hermeneutyki i heurystyki, żadne najbardziej nawet wysublimowane środki propagandowe nie sprawią, że poddawane wysokiej temperaturze ciało zacznie się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. No, chyba że mówimy o ciele tybetańskiego mnicha wyspecjalizowanego w praktyce tummo. Choć, z drugiej strony, praktyka ta polega na rozgrzewaniu się w zimnie, nie zaś na schładzaniu w upale. Ale nawet jeśli ów mnich potrafiłby się równie skutecznie schładzać, co nagrzewać, proces ten i tak natrafiałby ostatecznie na jakieś granice. Nie ma rady: rzeczywistość się liczy, rzeczywistość prędzej czy później upomina się o swoje. Realne zawsze powraca. Z tym większym skądinąd impetem, z im większą intensywnością staraliśmy się wcześniej nie przyjmować go do wiadomości.

Efektywne działanie w rzeczywistości wymaga zatem uznawania rzeczywistości. Efektywne zapobieganie albo już tylko minimalizowanie skutków wpływu człowieka na klimat wymaga podstawowego epistemologicznego i ontologicznego – jak to się w filozoficznym żargonie mawia – konsensusu. Czyli po prostu zgody co do tego, jakimi metodami najskuteczniej poznajemy rzeczywistość oraz jaka ta rzeczywistość jest. W przypadku zaś, o którym rozmawiamy, wymaga to również opartej na tym konsensusie globalnej kooperacji pomiędzy państwami. Kooperacji, w ramach której wszystkie podmioty występują w najszerzej pojętym, wspólnym interesie całej ludzkości. A w każdym razie jej wcale pokaźnej części zamieszkującej tereny, których parametry, nazwijmy to, surwiwalowe będą się pod wpływem zmian klimatycznych pogarszać.

Osobliwa to sytuacja. Pod względem politycznym i kulturowym (powtórzę: *dictum* katarskiego ministra jest wyłącznie hologramem odbijającym całość) jesteśmy dziś jak najdalej od potencjalnego globalnego porozumienia ponad podziałami. Jak najdalej od możliwości powołania nie tyle nawet światowego rządu, ile choćby federacji państw na rzecz pokoju i pomyślnego współistnienia. Takiej, jaką 230 lat temu wyobrażał sobie Kant w eseju „O wiecznym pokoju". Jednocześnie zagęszczenie teorii spiskowych przestrzegających przed takim scenariuszem jest również bezprecedensowo duże.

Co z tym więc zrobimy? Obawiam się, że widoki są marne. List z Kataru nie napawa optymizmem, zwłaszcza jeśli faktycznie jest symptomem – w tym przypadku niestety – wspólnej i globalnej mentalności. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Adam Mickiewicz
PAN TADEUSZ
Reżyseria: Wojtek Klemm
PREMIERA: 10 października 2025
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
Duża Scena
teatrwkrakowie.pl
REKLAMA
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNERZY TEATRU
BMW M-Cars Group
Bielenda
Santander Private Banking
PATRONI MEDIALNI PREMIERY
ELLE
GLAMOUR
PATRONI MEDIALNI TEATRU
TVP3 KRAKÓW
TEATR DLA WSZYSTKICH

REKLAMA

MUZEUM MIASTA ŁODZI

KARSKI — MARGOLIS -EDELMAN

wystawa czynna od 04.10.2025 r.

Muzeum Miasta Łodzi

ul. Ogrodowa 15

www.muzeum-lodz.pl

ORGANIZATOR
MUZEUM MIASTA ŁODZI
Łódzkie Fenomeny

PATRONAT HONOROWY
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PREZYDENT MIASTA ŁODZI

FINANSOWANIE
ZADANIE WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW MIASTA ŁODZI.
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO W RAMACH PROGRAMU NARODOWEGO CENTRUM KULTURY: KULTURA - INTERWENCJE. EDYCJA 2025
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY

PATRONAT MEDIALNY
kalejdoskop
TYGODNIK POWSZECHNY